



Nazwa instytucji

Książnica Cieszyńska

Tytuł jednostki/Tytuł publikacji

Żabi kraj : opowiadania śląskie / Ludwik Kobiela.

Liczba stron oryginału

198

Liczba plików skanów

198

Liczba plików publikacji

199

Sygnatura/numer zespołu

C I 003454

Data wydania oryginału

[1936]

Zdigitalizowano w ramach projektu pt.

**Udostępnienie cieszyńskiego dziedzictwa
piśmienniczego on-line**



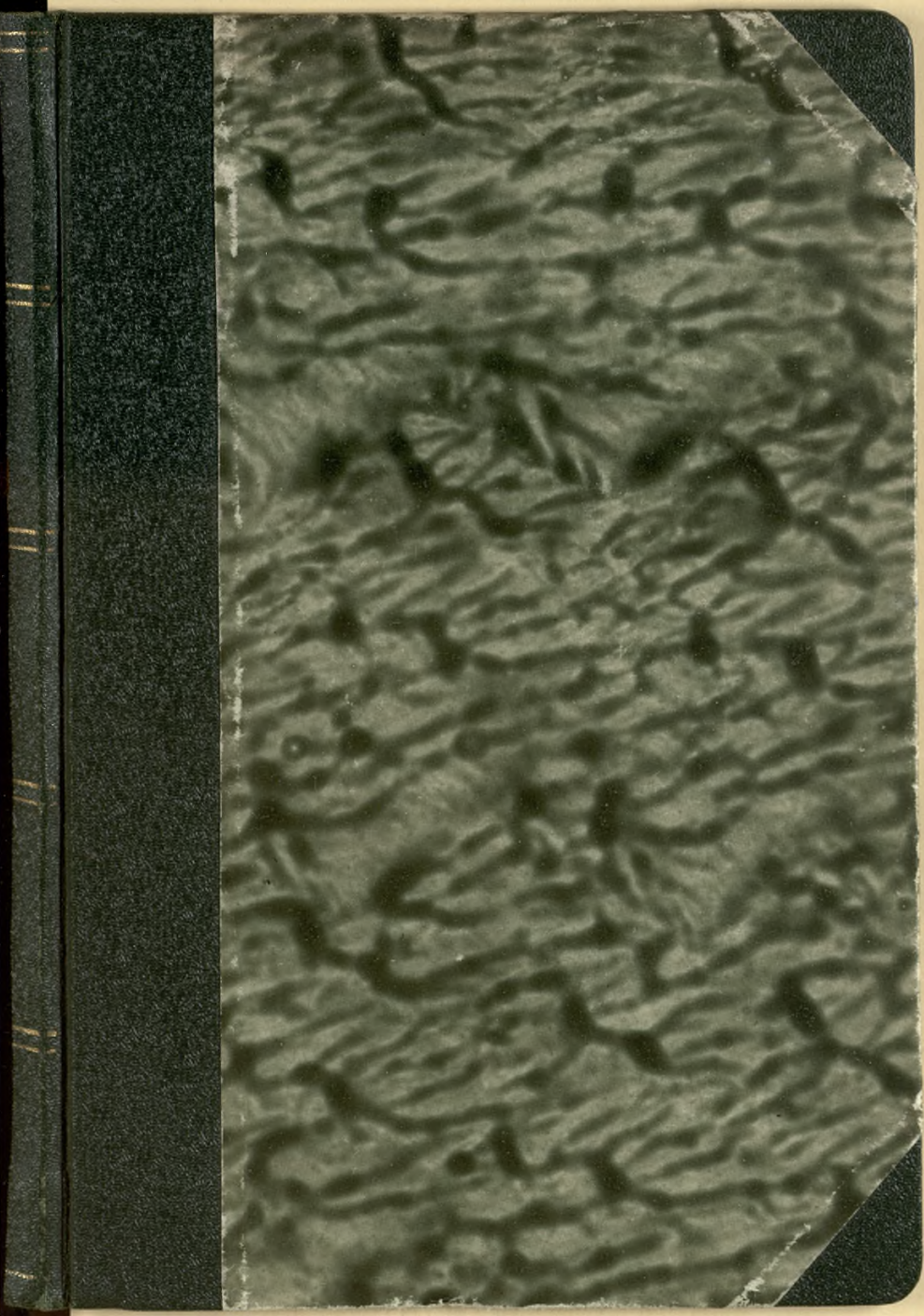
**Fundusze
Europejskie**
Program Regionalny

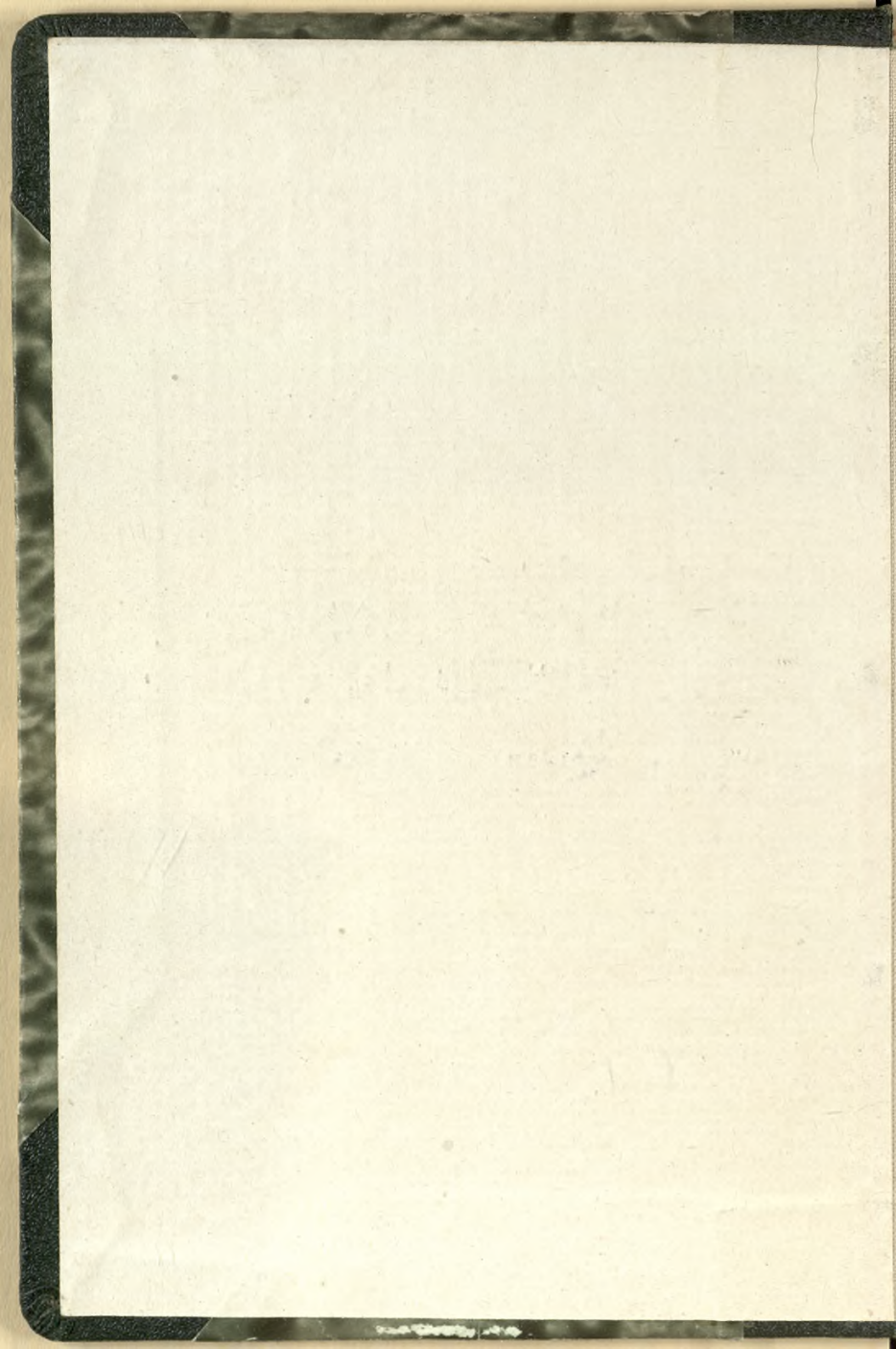


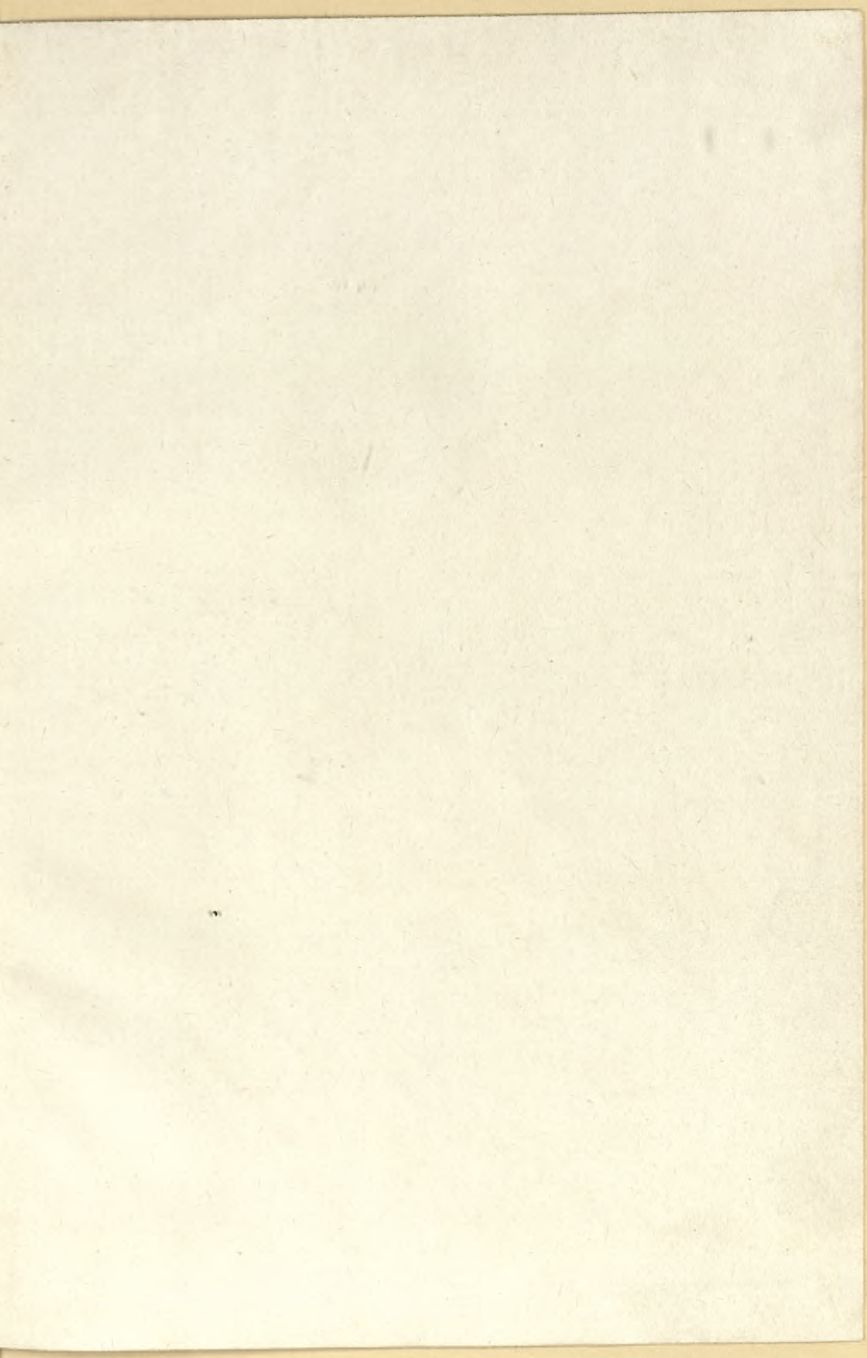
Śląskie.

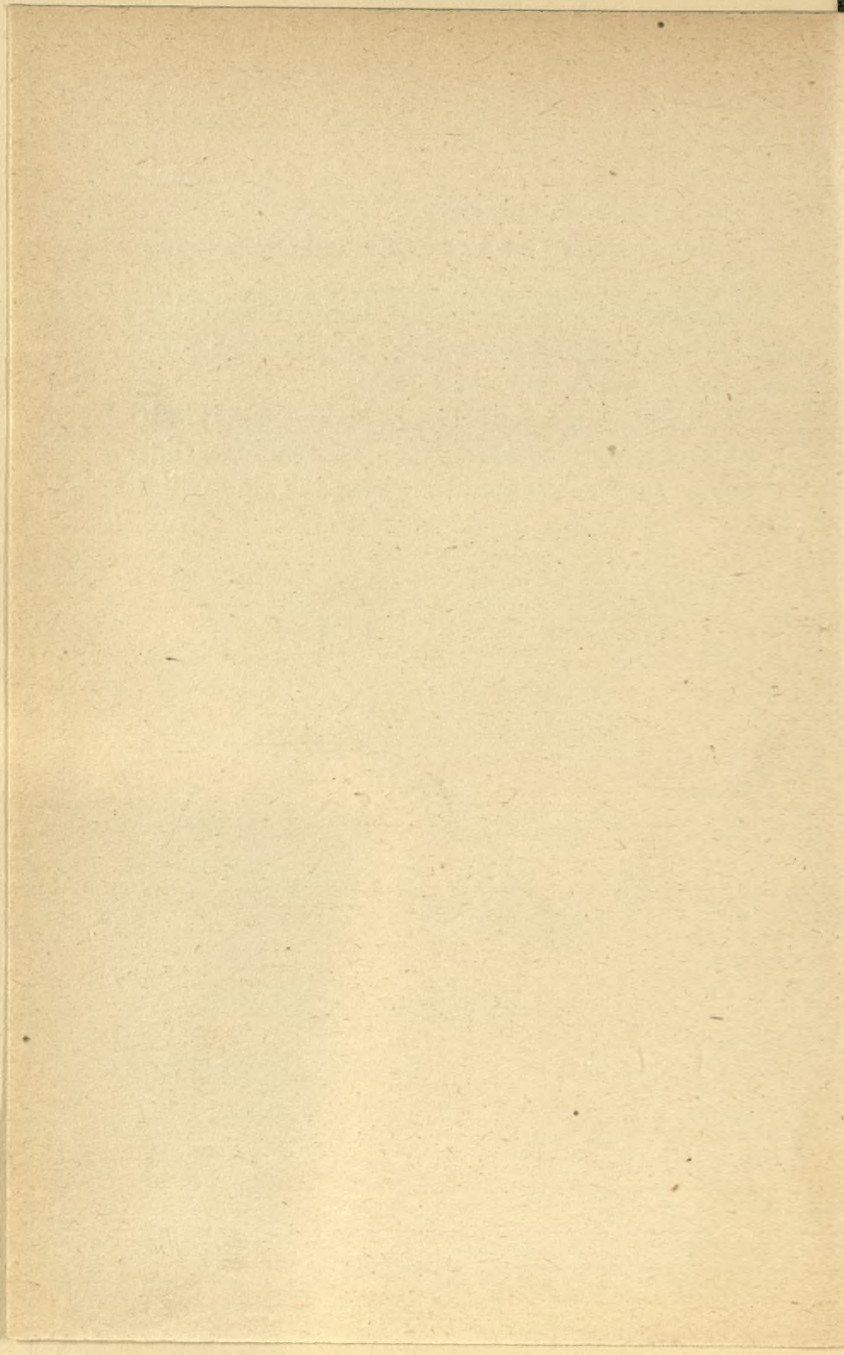
Unia Europejska
Europejski Fundusz
Rozwoju Regionalnego









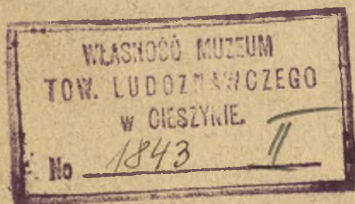


C. 100
3

LUDWIK KOBIELA

ŻABI KRAJ

OPOWIADANIA ŚLĄSKIE



Nakładem „Dziedzictwa bl. Jana Sarkandra“ w Cieszynie.

E.2

82-3° 1918/1945" SL

C.003454



MIĘDZY LASAMI.

Jędrys Szwiec służył u Gzela niemal od dziecka, najpierw jako pasterz, potem jako pogonicz, wreszcie jako pacholek.

Gzel należał do najbogatszych gospodarzy w Gołyszu, a że był chorowity, więc nieraz wyręczał go Jędrys, który był jego rówieśnikiem i od dziecka się razem chowali.

Mając osiem lat, dostał się Jędrys jako sierota do domu Gzelów, pokochał ich, jak rodziców, a z ich synem zżył się, by z bratem. Nawzajem traktowany był przez nich, jak członek rodziny, podczas gdy obcy naśmiewali się niejednokrotnie z jego krótszej nogi, a zwłaszcza z jego garbu. Jużto przyjemności nie zaznał Jędrys i, gdyby nie dobre serce chlebobawców, byłby się czuł bardzo osamotnionym na świecie. Dziś jest już starszy i nauczył się nie robić sobie nic z losu, ale dawniej... Gdy wspomni swoje lata chłopięce i młodzieńcze, płakać mu się chce. A najczęściej przychodzi mu na pamięć Kasperkowa Hanna, która nie poradziła zrozumieć, że człowiek kula wy i z garbem także ma serce. Hej, miły Boże, gdzie te czasy? — wdychał niekiedy Jędrys i — przeciwnie niż ogół ludzi — cieszył się, że młodość już nie

wróci, że teraz oto może żyć spokojnie, że jego ułomność jest już nareszcie dla ludzi obojętna. Oswoił się też z życiem, ze swoim garbem, i z myślą, że szczęście jest dla innych, nie dla niego, i że nie dla niego też była Kasperkowa Hana.

Dawniej, gdy dzieci droczyły się z nim, rzucali się na nie z wściekłością i potęgował dopiero radość tych młodych psotników i utrapieńców. Naśmiewały się też z niego, naśmiewały.

— Puklaty Jędrys! — wołały.

— Jędrysie, gryźmy sie!

— Idzie chromy, co mu domy?

— Kuszytk, kuszytk, kuszytk!

— Jędrys, mosz jedną nogę krótszą!

— Nieprowda! Mosz jedną delseą!

— To jest tak — godził waśniących się chłopów trzeci — on mo jedną krótszą, ale zato mo drugą delseą, toż razem to tak wyglądo, jakby miał równe.

— Ha, ha, ha, ha — buchnęli śmiechem wszyscy.

Jeden z nich tak się zakrztusił śmiechem, że stracił zmysł orientacyjny i dostał się w łapy Jędrysa.

— Ty urwipołciu zatracony! Ty bicwoniu! Mosz pukiel! Mosz krótszą nogę!.. Mosz!.. Mosz!.. — krzyczał Jędrys i okładał pięścią chłopaka, mszcząc się za wszystkie czasy.

Na szczęście nadbiegł chłop z pobliskiej chałupy i przerwał ten samosąd, przyczem tak silnie palnął Jędrysa, że ten stracił na chwilę przytomność. Wdodatku musiał się Jędrys w niedzielę po rannem

nabożeństwie stawić w szkole przed radą gminną, która go skarciła ostro, skazała na zapłacenie kosztów leczenia i zagroziła oddaniem do zakładu karnego, gdyby coś podobnego miało się powtórzyć.

Przez szereg miesięcy musiał potem Jędrys służyć zadarmo, gdyż jego pieniądze pobierał od Gzela ojciec pobitego chłopca. Nie mógł tego nijak zrozumieć, że innym wszystko wolno, jemu natomiast nic, bo chłopiec go tak ciężko znieważył, a on mu tylko połamał kości i już wszyscy hajda na niego. Od tego czasu nie mścił się doraźnie na tych, co mu dopiekali, ale starał się o ludziach wogóle nie myśleć.

Jedynie tylko Hana nie mogła mu wyjść z pamięci i, chociaż go skrzywdziła, nie czuł do niej urazy, przeciwnie pieścił wspomnienia o niej, tem chętniej, że były to jedyne pieszczoty w jego życiu. Zczasem przekonał się, że człowiek bez ludzi żyć nie może i na dłużej nie może być dla nich obojętny, chociażby oni płacili mu pogardą, a nawet nienawiścią. Poczul dziwną sympatję do takich, jak on. W świecie jego pojęć prawdziwymi ludźmi byli biedni, kaleki, wyszydzani i pogardzani, a właśnie tacy nie stronili od niego, co był garbaty i kulawy. Okazywał im też serce. Często nie dojadł, by dzielić się strawą z jakimś przygodnym żebrakiem, a bywało, że nawet obdarzył jakim takim groszem, zbieranym z biczówki. Zbiegiem czasu przyzwyczaiła się biedota i przychodziła do niego po jałmużnę, ilekroć dokuczał jej głód, a nigdy nie odchodziła bez wsparcia. Latem jadał Jędrys zwykle za stodołą, aby

gazda nie widział, z kim się dzieli jedzeniem, bo nużby mu to wziął za złe, nużby uważał, że przez niedojadanie nie ma odpowiednich sił i praca jego nie jest tak wydajna, jakby być powinna? Istotnie on sam miał te skrupuły i harował, jak tylko mógł, więcej niż wymagano od niego, by snać pracodawca nie był poszkodowany. Kromy chleba przechowywał w wozowni, w suchem i przewiewnym miejscu, aby nie spleśniały, a choć niekiedy stwardniały na kość, mogła je biedota użyć na wodzionkę.

Największą przyjemnością Jędrysa było chodzenie po odpustach. Był człowiekiem bogobożnym, więc czynił to głównie ze względów religijnych, zresztą wśród obcych czuł się lepiej, a nie stronił także od godziwej rozrywki i chętnie pałł oczy tem, co się działo między kramami i przy karuzelach. Schodził już wszystkie okoliczne kościoły, zapuszczał się także do Pszowa, do Frydku, do Piekar, na Kalwarję Zebrzydowską, a wreszcie postanowił dopiąć szczytu swych marzeń i pewnego razu rzekł do Gzela.

— Gazdoszku, kiebyście sie nie gniywali, tobych wom coś rzek.

— Tela roków ech sie nie gniywół. Cózby to mogło być takigo?

— Żniwa już skończone — zagadywał Jędrys.

— Dyć jo wiem o tem.

— Ziemioków sie jeszcze nie kopie, jest teraz mało końskij roboty...

— Jędrys, czyś z byka spod? Co sie tak ciaćkosz z tem? Prow przeca, co i jak!

— Bez porę dni możebyście se poradzili beze mie.

— Żenisz sie, czy co?

— No, toście też, gazdo, zgodli! Na moi stare roki? Ap, — machnął ręką — chciołech pójść na pać do Częstochowej.

Gzel zgodził się i w najbliższą niedzielę przed wschodem słońca wyruszył Jędrys w drogę. Nie czuł zmęczenia, nie odczuwał głodu, a tylko szedł i szedł, parę godzin zaledwie wypoczywając około północks, w przydrożnej stodole jakichś dobrych ludzi. Coś go niosło do Najświętszej Paniienki, pod której opiekę udawał się w życiu codzień, odkąd opieka ludzka okazała się znikomą.

Pobyt na Jasnej Górze był zupełnie oderwany od ziemi, a czas ten przeżył Jędrys w niebiańskim uniesieniu. Przed odsłoniętym obrazem kajał się, jak inni, i czuł, że Najświętsza Paniienka patrzy na niego tak samo miłosiernie i kojąco, jak na tych, którzy nie mieli garbu ani nie kuleli. Pod wpływem tego uczucia serce w nim topniało, jak płonące na ołtarzu świece, a łzy ciurkiem kapały mu po wychudziałych policzkach. W upojeniu zdawało mu się, że Boża Rodzicielka nachyla się do niego, bierze jego serce i składa je na ołtarzu, a ono płonie wśród najpiękniejszych świec miłością ku Niej, to znowu, że to jego serce zawiesza Matka Boska między złotemi i srebrnemi wotami, niewidzialne dla oka ludzkiego.

— Maciczko Bożo, jakoś ty dobro! Jo Cie miłuję. Chciołech już downo przyść do Ciebie, ale to daleko. Ty wiysz, jak to daleko — i nie chciołech

gaździe robić turbacje, toż teraz dziepro przykwanckołech sie do Twoich stópeczek przenojdroższych! Panienko Święto, żebyś to tak była bliży, hej, bliży, tobych do Ciebie chodził corok... i wszyscy zorzyczanie, gołyszocy, podgroblocy, odmościcy! — szlochał rzewnie.

O swojej nodze i o garbie zapomniał zupełnie.

Na drugi dzień wybrał się w drogę powrotną. Przed odejściem podszedł do straganu, aby kupić jaką taką drobnostkę na pamiątkę. Oglądał różańce, szkaplerze, a wreszcie wzrok jego padł na obrazy, przypięte szeregami do sznurka. Zachwycił się nimi, bo przedstawiały tę samą cudowną Matkę Boską, z temi samemi dwiema pręgami na policzku, która z ołtarza spogląda na tłumy jej wiernych czcicieli. Taki obraz chciałby mieć, pomyślał Jędrys, zrobiłby sobie ramki do niego i powiesił u siebie. Postanowił go więc kupić. Niestety marzenie to okazało się nie do spełnienia, gdyż cena obrazu przekraczała jego gotówkę, zawiązaną w chusteczce. Nie pomogły targi ani prośby, bo kramarz nie mógł ustąpić. Wobec tego odszedł ze zbołałem sercem, oglądając się kilkakrotnie, by jeszcze rzucić wzrokiem na świętą malowaną twarz. Gdy uczynił to po raz ostatni, bo odległość zatarła już boskie rysy, nagle powstał gwałtowny wicher i jeden z obrazów zerwał się ze sznurka. Wiatr poniósł go i cudownym zbiegiem okoliczności złożył przed zdumionym Jędrysem. Jędrys przyklęknął, podjął obraz, ucałował ze łzami w oczach i wrócił się, by go oddać właścicielowi. Ten jednak nie przyjął malowidła, lecz wrę-

czył je pątnikowi, widząc w całym tem zdarzeniu wyraźny cud. Nie wziął też pieniędzy, wobec czego Jędrys rozdał je biednym. Poszedł potem jeszcze raz do klasztoru, dał obraz do poświęcenia i śpieszył, by jak najprędzej zanieść Najświętszą Panienkę do swojej wioski.

Po drodze ludzie zaczęli się odnosić do niego z coraz większym szacunkiem. Gdy się dowiadywali, że był w Częstochowie, ten i ów przystawał z nim i wypytywał o to i o owo. Opowiadał chętnie, z prostaczą szczerością, i pokazywał obraz.

Po powrocie do domu wystrugał ramkę, zafarbił, włożył w nią obraz i rozmyślał, gdzieby go powiesić. Nie mieszkał właściwie nigdzie, gdyż jadał w kuchni, jeżeli nie napołu, a spał w stajni, w której mógł się rozporządzać, ale jakże tu zawiesić obraz cudownej Panienki? Ostatecznie zawiesił go na lipie przydrożnej, na polu Gzela, niedaleko od domu.

— Wyjdzie to na chwołę Panienki Maryje — mówił do Gzela — i na pożytek ludziom, bo, jak będą przechodzić, to się pokłonią Matce Bożej, a Ona im bydzie bogostawić.

Na drugi dzień zrobił daszek, a umieszczając go nad obrazem, dochwalał.

— Nie zmokniesz teraz, ni, i głowiczka Cie nie bydzie bolała od słońca. Bydzie Ci tu dobrze i wesoło, ptoszki Ci będą śpiwały jeszcze piyknij niż organy na Josnej Górze. Poczkej jeny do rana, to sie zadziwisz, acha... tak... tak... Tukej między

lasami jest balsam w powietrzu, to Ci się wygoi liczko i nie bydziesz miała tych szromów od tego niezaboga Szweda. Nie bydzie Ci tu teskno, bo przy drodze, ludzie zawdy tędy chodzą; bydziesz się na nich dziwała Twoim libeznym wzrokiem i przez to im bydzie lepi na świecie... Ale już muszę iść, bo koniczki by się gniewały, żech ich tak długo opuścił. Tóż z Ponbóczkiem, moja Panienko Maryjko, a jutro zaś przydę do Ciebie, przydę...

Odtąd wolne chwile spędzał Jędrys pod obrazem. Poprawiał wciąż coś koło niego, pogadywał, przypatrywał mu się to z tej, to z owej strony, a chodził z rozpromienionem obliczem, niczem gazda na wielkich morgach, kontent z dojrzewających zbiorów. Zapominał przytem zupełnie o złych ludziach, o dokuczliwych dzieciach, nie pamiętał o swych ułomnościach, o Hanie nie myślał, a nawet wydawało mu się, że ci ludzie, te dzieci, świat wokolny i całe jego życie jest tak piękne i takie radosne, jak odpust w słońcową niedzielę. Wiedział, że to Matka Boska chlusnęła w jego pierś pełną konew szczęścia, pełniuteńką, nie żałowała, i teraz oto tak mu dobrze, tak dobrze.

Radość jego rosła z każdym dniem, bo coraz więcej ludzi przyklękało przed obrazem. Niebawem najbliższy sąsiad, który był stolarzem, z wdzięczności za wyzdrowienie dziecka, zrobił piękną kapliczkę na słupku i w niej umieszczono obraz między dwiema lipami. Dziewczęta składały robione przez siebie wieńce, a nieraz wieczorem i świeca paliła się na cześć Bożej Matuchny. Mnożyły się też do-

brodziejstwa, doznawane przez lud za Jej wstawieniem, i coraz szerzej rozchodziła się sława cudownego obrazu.

Z nastaniem wiosny w piękny wieczór pierwszo-majowy ludzie jakoś bez niczyjego wskazania zeszli się na tem miejscu. Zrazu jeden i drugi westchnął zcicha „Zdrowaś, Marjo, łaskiś pełna”, potem ktoś zaintonował litanję, a potem między lasami rozlegały się chóralne słowa serdecznej modlitwy.

— Przyczyno naszej radości!..

— Pocieszycielko utrapionych!..

— Módl się za nami!

A z głosami ludzkiemi mieszały się głosy przyrody, wśród nich zaś mile brzmiały harmonijne dźwięki, niby organy z dalekiego chóru, we wielkim klasztorze grające.

— Re-ge re-ge-re-ge, ra-de-ra-de-ra-de, kumkuum-kum...

Chwilami przerywały żaby swoje granie, wsłuchując się w melodję majowego nabożeństwa, jak organista w śpiew kapłana, by się dostroić do jego głosu, i nuciły dalej.

— Re-ge-re-ge-re-ge.

Czasem, jakby się zdumiewały, że ludzie próbują współzawodniczyć z ich muzyką, koncertowały tem energiczniej.

— Ra-de-ra-de-ra-de.

Czuły się jednak u siebie, wiedziały, że one tu w tym zespole grają pierwsze skrzypce i że cała okolica od nich nazywana jest żabim krajem, bo od

niepamiętnych czasów ich prababki popisywały się tak, jak one.

Kiedy o tych nabożeństwach majowych dowiedział się ksiądz wikary, przyszedł w niedzielę, aby się przypatrzeć, a wzruszony pobożnością ludu, wygłosił podniosłe kazanie, w którym przedstawił szmat historii Polski i opiekę Panny Marji nad narodem, a potem do próśb litanji dodał.

— Królowo Korony Polskiej!

— Módl się za nami! — dośpiewał lud z uniesieniem i odtąd już zawsze tak śpiewał.

Do końca maja już co niedzielę odprawiał nabożeństwo wikary. Jędrys odchodził zwykle ostatni. Po nim jeszcze skradała się samotnie do kapliczki kobiecina chuderlawa, która przedtem uczestniczyła w nabożeństwie tylko z progu swej chatki, nie mając odwagi pokazać się ludziom na oczy. Pewnego razu Jędrys obserwował ją zbliska. Przypadła, bechnęła sobą na ziemię i, doczołgawszy się na kolanach pod słupek kapliczki, obłapiła go i tuliła głowę do niego. Śród szlochu padały urywane słowa. Jędrys zbliżył się i słuchał z niemałym zdziwieniem.

— Maciczko Święto! Jo też jest matka... Wy-słuchej miel.. Ty snoci robisz cuda...

Jędrys poruszył się nieostrożnie. Kobieta drgnęła, zerwała się, jakby złapana na złoczyńce, i chciała uciec, ale Jędrys odezwał się.

— Hana!

— Jędrys, to ty?

— Jo. Co ci jest?

— Na, coby? To, co zawdy. Ludzie mie ponie-wiyrają, odganiają mie, jak psa... cery ni mom. Ledwie ze szkoły wyszła, uciykła z chałupy. Dyc wiysz.

— Wiem. Co jest ś nią?

— Bo jo wiem? Ludzie mi roztomańcie skazu-ją, może cyganią, może niy... Ha, lepiby było, kiebych ją była świni wciepała do koryta, jak sie uplągła.

— Nie przybiyrej se tego do głowy! Ponbó-czek wszystko odmieni.

— Snoci jest w Biylsku. Ty tam czasem jeź-dzisz końmi, możebyś sie móg popytać.

— Bydę sie dopytowoł, bydę. A idź już do chałupy! Bydź z Bogiem!

— Z Bogiem, Jędrysie, z Panem Bogiem.

Pożegnał ją tak prędko, bo mu jej było żal, serdecznie żal. Wierzył święcie, że nieprawdą jest, co rozповідаły ludzkie języki o jej czarowaniu, a córka nicpotem była istotnie niemałą troską. Niestety nie mógł jej pomóc. Starał się nie poruszać tego, o czym mówili wszyscy we wsi, bo to przecie była ta, z którą się chciał kiedyś galanić. Mignęła mu przez głowę myśl, że to kara za zlekceważenie go, jednak odżegnywał się od tej myśli, jak od zarazy, bo i rozum i uczucie podpowiadały mu coś innego. Po pewnej chwili doleciał go złorzeczący głos męski.

— Ty hromsko czarownico! Jo ci sie tu pokręcę kole figury! Niegodnaś, że cie ta święto zię-mia nosi!

Pewnej niedzieli wszczął Jędryś rozmowę z Gzelem.

— Jobych wom, gazdo, coś pedziół.

— No, cóż takigo?

— Trzeba naszej Paniencie wybudować kaplicę.

— Hm, dobrzeby było, ale ty myślisz, że to tak szastprast i kaplica już stoi. A pieniądze skąd?

— Poczkejcie, gazdo, jo zaroz wrócę.

Wyszedł i po chwili wysypał na stół sporo monet.

— Porachujcie, czy to nie wystarczy. Uszprowołech to przez całe żywobycie, ni mom przocieli, coby wyciągali do mie pazury, a na stare roki jeszcze z pumocą Bożą cosik uskłodom.

Gzel przeliczył pieniądze.

— Wystarczyć nie wystarczy, ale cośby już z tem można zacząć. Jo dom pole pod budowę.

Z temi planami zwierzyli się księdzu wikaremu, który przejął pieniądze od Jędrysa i poważnie zajął się sprawą. Gdy wieść ta rozeszła się po wsi, posypały się drobne dary i bardzo liczne były zaofiarowania pracy przy budowie. W krótkim czasie kaplica poczęła rósć w oczach. Każdy pomagał przy budowie, nawet dzieci i starszankowie, i wkońcu okazało się, że starczy funduszków także na niezbędne urządzenie wnętrza. Płacono tylko drzewo, bo ręce ludzkie pracowały zadarmo, na chwałę Matki Bożej. Ksiądz wikary ofiarował harmonjum, które zajęło miejsce organów na chórze. W czerwcu po upływie roku wszystko było gotowe. Postanowiono urządzić poświęckę kaplicy w najbliższe święto ma-

rjańskie, mianowicie 2 lipca, to jest w dzień Nawiedzenia; miał to być zarazem pierwszy odpust.

W dniu tym, a była to niedziela, ludzie radowali się, jakby rozbiła się nad nimi kula szczęścia. Od dłuższego już czasu panował upał i dziś także słońce nie skąpiło swych promieni. Jedyne dzwonek na wieży kolebał się niemal bezprzerwy, bo ciągle nadchodziły procesje, to z Zabrzega, to ze Strumienia, z Ligoty, z Dziedzic, z Chybia, z Rudzicy. Drogą, ścieżkami polnemi i lasem szli grupami ludzie z okolicznych wsi, także ze Śląska Górnego, z Łąki, z Polskiej i Niemieckiej Wisły, a niebawem było pod kaplicą koło kazatelnicy ludzisków, jak mrowia. Modlili się o różne łaski, głównie zaś o deszcz dla spragnionych wilgoci plonów rolnych. Wniosłe uczucie spłynęło im do serc, wygoniło z nich wszelkie troski i powięzało te serca z niebem. Cudowny obraz Matki Boskiej zstąpił z ołtarza przed oczy wszystkich, naokoło kaplicy zgromadzonych, gdy pod rozświetlony błękit uderzył podniosły śpiew.

Przy obchodzie Nawiedzenia Twego,
O, Maryjo, czysta dziewico,
Kościół pośród pienia wesolego
Chwali Ciebie.

Gdy powietrzem wstrząsnęło dwanaście wystrzałów moździerzowych, zwiastujących koniec nabożeństwa, tłum wygarnął się na drogę i leniwie rozlaź się między kramami. Dzieci uśmiechały się do pierników, pachołcy poglądali za dziewczkami, starsi pogadywali o wszystkim i o niczem, a wszyscy smażyli się w słońcu. Śród radosnych rozgwa-

rów hukwały śmiechy podrostków i krasnych dzieuch. Od czasu do czasu rozlegały się nawoływania przekupniów.

— Pójdźcie, ludkowie, na pierniki! Dlo starych na krzypotę, dlo młodych na miłość, dlo wszystkich mom pierniki z miodem!

— Skosztujcie moich pierników — zachęcał konkurent znaprzeciwka — a bydziecie sie oblizować bez cały rok; jeny se dejcie pozor, coby wom języki nie uciykły za nimi do brzucha!

— No, szwarne dziołuszki — wzywał trzeci — jak chcecie mieć chłopów, kieby żywe strzybło, to pójdźcie haw z galanami, na malcowe bombony! Jak se pocyckocie moich bombonów, to bydziecie mieć szczęści i wszystkie sie wydocie, a wy, pacholcy, też bydziecie mieć szczęści i wszyscy zostanieie swobodni!

— Zoda, zoda, zoda — jaszcząła piskliwie jakaś sprzedawczyni — mieńszo szklonka za dwa, więszo za trzy, jak sie patrzy!

Niedaleko wydrzeźniała się jej katarynka, kręcona przez beznogiego inwalidę z medalem na pier-si. Katarynka wyrzucała z siebie melodje pieśni nabożnej i marsza Radeckiego naprzemian, a kataryniarz roztkliwiał przechodniów.

— Poratujcie cysarskie dziecko! Nie żałujcie grejcarków dlo cysarskiego wojoka!

Ile tylko ludzi snuło się po odpuście, wszyscy mieli wesołe oblicza, od poważnie pokraczających gazdów aż do skulonych przy drodze dziadów, którzy

klepali paciorki i liczyli rzucone do kapeluszy miedziaki. Dzieci były poobwieszane piernikowemi różańcami, dziewczyny trzymały z dumą piernikowe serca na rękach, niektóre mizdrzyły się do chłopaków. Były i takie, co szmuliły gębami od parady i udawały, że nie widzą kamratek, które miały gorsze stroje, mniej świecące żywotki i węższe krępiny przy spodnicach.

Przez ten rozkołysany tłum przeciskał się z trudem Jędrys z taką miną, jakby miał cały świat w kieszeni. Ale bo też ludzie całego świata chcieliby mieć wszyscy razem tyle szczęścia, ile go w tej chwili nosił w piersi sam Jędrys. Nikt się z niego dzisiaj nie natrząsał, niejeden robił mu miejsce przez wzgląd na jego chromanie, a bliżsi witali się nawet z nim.

— Witom cie, Jędrys!

— Bóg zapłać, jo wos też!

— Co słyhać?

— Ano, momy odpust.

— Piykny odpuściczek, bardzo piykny.

— Jak na Josnej Górze, ale tu jest weselij.

— Dyć może niedługo bydemy mieć na Gołyszcu Częstochowę — przyłączył się do rozmowy Kuś z Bronowa, chłop starszawy, który znał kęs świata i pamiętał moc gawęd i powiarek.

— Jak to myślicie?

— Bo Panience Maryji sie w Częstochowie nie podobo.

— Co wy też prawicie?

— Tak prawię. Joch to słychowół już zdo-wiendowna. A co ludzie opowiadają, to jest prowda,

abo też niy. Ale w tem jużć cosik musi być na rzeczy, bo o tem rozpowioł nieboszczyk kościelny z Czechowic, a słysoł to ponoś od paterka. Panienkę Maryją tam w Częstochowie napastowały rozmańte pogany...

— To jest prowda, bo o tem są nawet książki pisane — przerwał Przemek.

— A tamtejsi se Jij też nie wożyli noleżycie, bo tam krom naszych ludzi są żydowiny i mozgole. Toż miłą Panienkę już to roz napoliło, pomyślała se, kie tak, toż tak, zebrała sie i uciykła.

Zdumienie słuchających wzrosło do szczytu, ale nikt nie ośmielił się przerywać opowiadania nowemi pytaniami, by jak najrychlej doczekać się ciekawego końca.

— Była już — ciągnął dalej Kuś — szmat drogi za klosztorem, kie częstochowianie pomiarkowali i wnoży za Nią. Pytają sie Ją, co i jak, a Ona prawi, że idzie między lasy. Toż mili częstochowianie buch na kolana i proszą a błogają: — Wróc sie, Panienko, a rozmyślij se to, a nie chodź, nie rób nom takij gańby, a dej sie upytać, dyć przeca nima możne, aby jakosik nie było, a to a owo, prawią, no i Panniece sie ich zół zrobiło, wróciła do klosztoru i tak. Toż widzicie, chłopci, uciekała między lasy, to pewnie tu, bo dyć tu mocie ze wszystkich stron lasy, jeny prawie z jednej niy.

— Toć. A joch słysoł, — dodał Przemek — że to kęsik jest prorokowane, iż tu stanie wielgi klosztor, tożby sie to skłodało.

Chłopi dziwowali się i potakiwali głowami. Jędryś pomyślał o cudownem nabyciu obrazu, ale nie zwierzał się nikomu przez skromność. Poszedł potem swoją drogą i ciekawie oglądał wszelkie osobliwości odpustowe. Gdy zbliżył się do kataryniarza, patrzył przez dłuższy czas na jego brak nogi i przypomniał sobie o swojej. Porównując swój stan z położeniem tamtego, dziękował Bogu za krótszą nogę, która mu nie przeszkadzała w pracy, i widział jeszcze jeden powód do radości. Przez podobieństwo kalectwa poczuł sympatię do kataryniarza i sypnął mu więcej groszy niż innym dziadom. Po chwili zobaczył chłopaka z garbem. Najpierw doznał niemiłego uczucia, ale później podszedł do chłopca i ze współczuciem wszczął z nim rozmowę.

— He, mały!

— Dzisz go — obraził się mały smyk — jacyście mi wielcy, jeny wos od ziemie nie widać!

— Coś ty jest?

— Taki pon jak i wy!

— Dyc sie tak nie obruszej. Jo cie sie tak jeny pytom, bo widzisz... jakby to pedzieć — no — ty mosz pukiel a jo też.

— Jo mom swój i jeden mi starczy, a wasz mie nic nie obchodzi.

— Nie być taki przemądrzały! Pódz, kupię ci, co chcesz!

— Czyście wy mój stryk abo potek? He, he! Dzisiaj nima takich, coby zadarmo płacili. Chyba, że wyście taki głupi — dodał po chwili.

Chociaż nieufność malca do Jędrysa była duża, to jednak niebawem korzystał z jego dobroci, ale nadal węszył podstęp i miał się na ostrożności. A Jędrys przylgnął do niego całkowicie, jakby po długim czasie odnalazł własne dziecko, i dogadzał mu, jak tylko mógł. Wkońcu zaprowadził go pod karczmę, gdzie w podwórzu była karuzela.

— Powozisz się na karasolu?

— Toć.

— Tu mosz grejcary.

Chłopiec jeździł raz za razem, a Jędrys nie spuszczał oka z niego i cieszył się, jak cała czereda dzieciaków, które zaległy plac naokoło karuzeli. Chłopak ośmielił się tak, że zwrócił się potem do Jędrysa z propozycją.

— Teraz se pójdemy do gospody popić.

— Ej, ty żgolu, jo ci podowom palec, a ty ciągniesz całą rękę. Takiś ty?

— Jak niy, to niy. Ale dejcie jaką cygaretkę abo kasek tabaki na bago!

— Synek! Loboga świętego! Joch jest stary a nie kurzę.

— Hm, co z wos za chłop! Spróbujcie roz, dwa, to sie nauczycie, jak jo. Jo też downi nie kurzył.

— Co ty fulosz! A wiela ty mosz roków?

— Cóżeście tacy dociyrni? Jo sie wos nie pytom, wiela mocie piniędzy.

Tu już Jędrys poczuł się nieco dotknięty w swej roli dobroczyńcy.

— Chwancie, czy jo z tobą świnie posoł — ozwał się, ale wnet rozpozgodził oblicze, bo rezolut-

ność chłopca ciekawiła go i postanowił wyciągnąć z niego jakieś bliższe szczegóły.

Chłopca uwaga ta zreflektowała nieco i uświadomił sobie, że postąpił niewłaściwie.

— Nie gnijwejcie się, — tłumaczył się — zech wam tak odpolił, ale ja pierwszy raz w życiu spotkoł takigo dobrego człowieka i nie wiem, jak do was mówić, bo przedtem to mi nikt nie pedzioł dobrego słowa, toż jo też kożdemu suł prosto z mostu, jak równiokowi. Bezmalech was uraził, toż wam to odpytuję, pyty, pyty na koryty, darujcie mi to!

— Ale dobrze już, dobrze, dyć jo zaś nima taki, jeny mi powiydz, czyj-és ty? Jak sie nazywo twój ociec?

— Mój ociec? — westchnął chłopak ze zdziwieniem i nie dał odpowiedzi.

Po chwili Jędrys chwycił go za rękaw i zajrzał mu w oczy.

— Synek, lo Pana Świętego, co ci sie stało? Nie bucz! Nie ślimtej sie, mazoku jakiś! No, co?

— Bo, bo... jo ni mom ojca.

— Umar ci?

— Toć isto umar, kie ni mom.

— Nie płacz! — pocieszał go Jędrys i chciał coś więcej powiedzieć, ale ścisnęło go w gardle i tylko westchnął nieznacznie. Po chwili dopiero zagadnął chłopca.

— Czemuż tak prawie teraz o to płaczesz?

— Boch se pomysłoł, jakby mi było dobrze na świecie, kieby to tak mój tatulek chodzili se mną po odpusćcie, jak wy.

— A matkę mosz?

— Mom.

— Kędy?

— A tu kęsikej na odpusćcie. Pewnie mie szuko, boch uciyk, a momy iść do starki.

— Do kierej starki?

— Jo nie wiem.

— Skąd-eście przyszli?

— Przyjechali my z Biylska.

Zaintrygowany Jędryś chciał prowadzić dalszą rozmowę, ale przeszkodziła temu postać kobieca, która jak z pod ziemi wyrosła nagle przy nich i energicznym tonem zwróciła się do chłopca, porwała go za rękę i pociągnęła za sobą. Była ubrana zmiejska i Jędryś czuł się wobec niej zupełnie onieśmielony. Domyślał się, że to matka, ale co zacz, Bóg raczy wiedzieć. Przeszło mu przez myśl, czy to nie córka Kasperkowej Hany, ale nie mogło mu się pomieścić w głowie, żeby się ta stwora mogła przeobrazić w taką paniczkę. Nie spuścił jej z oka, a postępując za nią, zauważył, że skierowała swe kroki w stronę Haninej chałupy. Więc to jednak ona, pomyślał, a ten chłopiec, to wnuk Hany, puklaty wnuk. Ha, snuł wątek swych myśli, nie chciała mieć puklatego chłopca, to mo puklatego wnuka. Co komu pisane, to go nie minie. Nie żałował utraty pieniędzy dla garbuska, dla którego poczuł odtąd jeszcze więcej sympatji, skoro był to wnuk Hany.

Gdy wszyscy po sumie rozeszli się i kaplica opustoszała, wbiegła do niej ukradkiem Hana i rzuwnie się modliła. Potem wróciła do chałupy i teraz

oto zasiadała do obiadu. Nagle postyszała czyjeś kroki w sieni.

— Gdo sie tam korpie? — zapytała.

Nie otrzymała odpowiedzi, a po wznowieniu pytania doleciało ją tkliwe westchnienie. Otworzyła drzwi i ze zdumieniem, niemal z przestraczem, zobaczyła przed sobą jakąś panią. Pani ta runęła jej do nóg i objęła ją za kolana. Oszołomiona tą niespodziewaną sceną, babina w tym momencie zamarła w sobie, ale wnet wskrzesła i chciała się bronić, chciała uciec z tej sytuacji, gdy w tem wwierciły się jej w uszy dawno zapomniane przesłodkie słowa.

— Moja mamuliczko!

Hana drgnęła, spojrzała uważnie przybysze w oczy, z których toczyły się ciężkie łzy, i tonem, w którym mieściła się cała gama uczuć, zawołała.

— Zuzka!

— Joch to jest, jo, wasza cera.

— Pocoś przyszła?

— Na, do wos, boście przeca są moja mamulka.

Matce zakręciła się łza w oku i po chwili wyrzekła.

— Tóz pódz do izby! A to co za gíbczok? — zwróciła uwagę na chłopca.

— To jest Ferda.

— Twój swojok. Szykowny karlus, a jaki duży; dyć już omałowiela pacholik. No, no, roki uciekają, jak sornik do lasu. Pódzcie jeny dali, pódzcie, siednijcie se, oto tu; na stolicy, ty też, syneczku!

Dobrze, żeście przysli na odpust — dogadywała stara, a serce w niej kołatało z rozczulenia.

Chłopak pierwszy skorzystał z zaproszenia, podszedł do ławy, objął wzrokiem miski i przymawiał się powszechnem przysłowiem.

— Szóteł miedzą i trefilech, kaj jedzą.

— Dzięki Bogu, żeście trefili na jedzoka — odpowiedziała starucha — poobiadujemy se społem; jest co wrazić do gęby, jak to przy odpuście. Jest masno polywka z ryżem, mięso z moczka, gałuszki.

Zakrzętała się zaraz koło jedzenia, ale przytem poruszyła to, co ją bardzo raziło u córki.

— Powiedz mi, Zuzko, skądś przysła do tych miejskich szworów? Czy to tak z parady?

— Niy. To jeny skirż tego, że od mieszczek sie prędy dostanie starsze lonty.

— Musisz to ściepnąć ze siebie. Mom w trówle jeszcze z downiyjszych czasów letniki, kocybajki i insze szaciwo, to sie przyobleciesz.

Kręciła się po izbie gibko, ożywiona i rozochocona, jakby jej nagle połowę lat odjęto. Wkrótce postawiła potrawy na ławie.

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego — przeżegnała się Hana, poczem zaczęła modlitwę.

Chłopiec, widząc, że obydwie kobiety stojąco się modlą, wyprostował się i złożył ręce, ale słów nie wymawiał, bo ich nie znał, a nadto już uprzednio grabnął łyżką w misce, wyłowił z niej największą kluchę i wepchnął ją do gęby, a teraz obracał nią na wszystkie strony, ponieważ była gorąca. Nie mi-trężył jednak czasu, bo wiedział, że czas, to zło-

dziej, i że, jak się go złapie za ramię, to dobrze, a nie, to weźmie nogi za pas i ucieknie z wszelką okazją, a niekiedy trzeba mu ją z gardła wysmuczyć. Upatrywał sobie najodpowiedniejsze kąski, by je chapnąć, jak się skończy modlitwa i jak się upora z pierwszą kluską. Gdy to nastąpiło, czynił spustoszenie w miskach, bo kobiety chlifały rosół, ale i łzy, a wzruszenie odebrało im apetyt.

Po niesporach rozeszły się procesje, każda w swoją stronę, a każdą pokolei odprowadzał ksiądz wikary, z organistą i ministrantami, a żegnały wystrzały móździerzowe. Hana widziała to z okna, a potem spostrzegła, że ksiądz wikary zbliża się ku jej chałupie. Zrazu ogarnęło ją wielkie zdumienie, następnie jednak pomyślała, że prawdopodobnie wybrał tędy drogę i przejdzie dalej. Na wszelki wypadek przyczała się w izbie, by mu nie wejść w oczy. Nagle w sieni rozległo się pozdrowienie chrześcijańskie. Hana uchyliła coprędzej drzwi i odpowiedziała na pozdrowienie, poczem dodała.

— Piyknie witom, wielebny paterku!

Była przekonana, że ksiądz przyszedł do niej z jakiemiś wymówkami, to też zdziwiła się, spostrzegłszy w jego obliczu dobroć i życzliwość. Po kilku wstępnych pytaniach ogólnych przystąpił wikary do rzeczy.

— Podobno nie chodźcie do kościoła.

— Chodzę, ale jak ludzie nie widzą, bo psioczą na mie, że czaruję, a to nima prawda, jakżyw niy, wielebny paterku. Dyć nie poradzę, a kiebych bai umiała se pomóc, tobych przeca ze złym duchem nie

kramarzyła. Moja krowiczka dowo sporo młyka i dobre młyko, a to jeny bez to, że se ją piyknie odbywom, chodzę wedle nij, jak kole malowanego wajca, zawdy ją osnozę, bo snoga jest snoga, podowom ji ziemioczków, kwaków, chlasty. Jo moją krowiczkę mom tak rada, jak ludzi, chocioż mi ludzie nie przają... ale porno Panu Bogu.

Ksiądz słuhał i przytakiwał głową ze współczuciem, przytakiwał, wreszcie oświadczył.

— Znam to. Późno się dowiedziałem. Odtąd już przyjdziecie do kościoła, kiedy będziecie chciała, i nikt się nie będzie śmiał na was krzywo popatrzeć.

Kobiecina nie chciała własnym uszom wierzyć i z niedowierzaniem zwróciła się do księdza.

— Naprowadź?

— Pójdziecie sobie zawsze na małą pawłacz nad zakrystją.

— Tam chodzą same rube siedloczki; dyćby mie oczami zjadły.

— To do zakrystji. Tam wam się nic nie stanie.

— Patereczku złoty! — wykrztusiła Hana głosem drżącym z przejęcia i grzmotnęła sobą przed jego nogi.

Chciała go całować po rękach za tę łaskę, ale podniósł ją i cofnął się ze słowami.

— Wszyscyśmy równi wobec Boga i tylko świętości całować należy. Mam wam jeszcze coś do powiedzenia, — ciągnął dalej — ponieważ mieszkacie tu najbliżej, więc u was będą klucze od kaplicy i będziecie dzwonić na Anioł Pański, gdy nie będzie Jędrzeja od Gzela.

— O, mój Jezusiczku przenojsłodszy, Maciczko Święto, roztomiło! — krzyknęła kobieta — jak Ty mie radośnie nawiydzosz! Co to za szczęści!

— Zgadzacie się? — spytał wikary.

— Jeszczeby też niy! Bydę pilnować kaplicy, jak oka w głowie, bydzie w nij czyściutko, kie w niebie, a kole cudownego obrazu bydzie pełno kwiotków. Nejswiętso Panienka bydzie zawdy ustrojono, jak młoducha do ślubu.

Wieczorem, gdy gwar odpustowy rozplynał się szeroko po świecie i zmrok roztaczał cicho swe szare skrzydła ponad ziemią, zahustał się dzwon kaplicy i roznosił się po wsi, a uderzając o lasy, dwoił i troił się echem i grał melodję tak nastrojową i błogą, jak gdyby sami anieli suwali smyczkami po skrzypkach. Wzniosły się oczy na wieżę i ponad wieżę wzbiły się słowa modlitwy, za słowami myśli, za myślami serca.

— Anioł Pański zwiastował Pannie Marji...

Pod kaplicą spotkali się Jędrys i Hana. Oboje zaliczali ten dzień do najmocniejszych przeżyć i korny hołd i podziękę składali Najświętszej Paniencie.

— Czuję się, jak nowo narodzony — ozwał się on.

— I jo rozpoczynom nowy żywot — wyznała Hana.

— Nic więcy nom nie potrzeba do szczęscio, kie tu mamy Matkę Boską. Teraz trzeba coś robić dlo inszych, aby nie żyć zadarmo na świecie.

— Dlo inszych za to, co dlo nos zrobiła Panienka, za to, że nami nie pogordziła.

— Obrała se nasz biydney kraj.

Istotnie biedna to okolica, pozbawiona uroków górskiej przyrody i dalekich widoków, taki kopciuszek w zabłoconych trzewikach, lecz i ze sercem kopciuszka. Ludzie tu żyją, jak w korycie, nie widzą szerokiego świata, ale też nie są zarażeni światem nieprawościami. I smutno tu w tej nizinie, bo dalej do słońca i nieba i do Boga, niż z rudzickiej albo łączkiej kępy, a cóż dopiero z Klimczoka lub Czantorji. Ale zato, jakie tu łągi i jakie lasów wonie! I lilja wodna umiłowiała te strony i tędy obrała swą drogę najzacniejsza rzeka, płynąca w królewskim, dostojnym majestacie, wskazująca kierunek piastowskiemu ludowi, jego myślom, uczuciom, pragnieniom, jak mędrcom wschodu... gwiazda betleemska.

WODA.

Deszcz lał bezustanku. Jak się niebo rozpląkało przed tygodniem, tak się nie mogło i nie mogło nijak utulić.

— Miły Boże, co to z tego bydzie — biadali chłopi i spoglądali kornie wgórze.

— Co bydzie? — odezwał się któryś — na, woda bydzie, jak zwykle. Tego roku nie przyszła na święty Jon, tóż teraz wyleje tuplowanie.

— Nie dgokejcie, abyście nie wydgokali, bo aż strach pomyśleć — przerwał inny — dyć żniwa jeszcze nie skończone. Moje żyto już porosto. Jak sie Pon Jezus nie ślituje, to bydemy latoś biydokami.

— Siedlokom tak biyda nie doskwiyro, bo jeszcze mają starego dość, a nowe żyto mają w babach, ale ta mizerota, co mo tę swoją pakapel na pokładzie, tej to wszystko zgnije.

— Trzeja było ułożyć wszystko w baby — zawodził ktoś — chocioż, jak przydzie woda, to i baby i mondele zabiere.

— Dobrze sie tak prawi ponieskorze. Czy to człowiek może przewidzieć, że bydzie taki brzydki czas. A dyć sie to ani nie opłaci z taką odrobiną sie łogawić.

Zdowiendowna już tak bywało, że jeny po dworach stawiali żyto w babach; dzisio już też siedlocy zaczynają tak robić, ale chałupnik zesiecze tych porę zogonów, ułoży to na pokładzie, potem dwa razy dziennie do słońca przewróci, po dwu dniach zwiezie na tragaczu do stodoły, abo zniesie w trownicy na swoim grzbiecie i odrazu umłoci porę snopków.

Jak tu stawiać żyto w babach na dzisiejszy czas, kie dzieci już wyciągają backi do nowego chlebiczka.

— To też to — podjął inny — każdy myśli, aby jak nojprędzy zaspokoić głód. Jak jest ciężki przednówek, to niejeden już wcześni obetnie kłóska, wysuszy na słoneczku, aby stwarły, wsadzi do miecha i łupie po nich cepem, że aż hej. A dziecka sie radują, bo za porę godzin już im mamulka napiecze placków. A takie placki na wygłodniałe żołądki smakują lepi niż roztomańte maszkiety.

— Po insze roki już zawdy piekło sie na koscielny odpust z nowego, łoni już bai było po owiesznych żniwach, a latoś ani słychu-dychu. Na kapliczny odpust, na Nowiydzeni Paniienki Maryje, już ponikierzy nie mieli starego a teraz jeszcze niema nowego. Niech ręka Bosko broni! Pięć tydni przednowku, to jest kapkę moc. U mnie jest pięcioro drobiozgu, każdy mo dobry spust, a nima skąd dobiyrać.

— Nie biadolcie tak, ludkowie złoci — ozwał się inny — dyć przeca jakosik bydzie. Żeby sie choć ociupinkę nieba przetarło, choć na jedno okamnienie, to już bydzie lepi.

— Kieby sie choć kąszyczek słoneczka pokozało, jużby sie człowiekowi lżyj na sercu zrobiło.

— Pojutrze deszcz zelży — pocieszała ich Szczypkula, która przed chwilą przysła — uwidzicie chłopci, jo wom to prawię, bo odkąd świat światem, nie zdarzyło sie jeszcze, aby w sobotę słonko nie zaśwyciło. Wiycie przeca, że w sobotę Panienska Maryjo suszy pieluszki. Jo tam temu wierzę, bo starzy ludzie se tak wdycki rzeczkowali, a hańdowni ludzie byli gupsi, ale więcy wiedzieli, niż dzisiajsi.

— Dołby to Pon Jezus przeroztonejmilejszy — westchnął stary Mazelonka — bo pokieli woda jest w brzegach, to jeszcze dobrze, ale jak przebiere, to jowej.

— Już są pełne brzegi — zauważył Sojków Jura — a na Brandysie już bai w nikierych miyjscach występuje.

Stary Mazelonka uważał się za najpoważniejszego w tej gromadzie i uznał za stosowne pocieszyć zatrwożonych współobywateli. Machnął ręką i rzekł.

— Ap, co tam bydziecie naprzód tela kwękać i narzykać. Hańdowni bywały nie takie wody, a ludzie żyli i zbyte. Choćby na ten przykład wtedy, jak wyrwało Mrzykową dziurę.

— Wy tego przeca nie pamiętacie.

— Joch przy tem nie był, ale mi to opowiadali mój starzyk.

Zaciekawienie wszystkich obecnych wzrosło i rozległy się głosy, aby Mazelonka opowiedział, jak to było.

— Ano, było tak, miała baba sak, a w tym saku pełno maku, a to było tak.

— Wyście zawsze szpasowity, Mazelonko! Inszym sie chce płakać, a wos sie śmiyszki dzierzą, jak wesz koszule.

— Jak mój starzyk, dej im tam Boże lekki odpocznieni, byli młodziokiem, to utopce tak goniły kole rzyki, jak zające po lesie, a nejwięcy tam, kędy dzisio jest Mrzykowa dziura. W tem miyjscu kiesik był woł i na tym wale przechodził sie utopiec, nojczęści jako mały chłopiec w czerwionej czopeczce, a niekiedy to sie bezkurcyjo przemienił w zająca i siedziół na kopce siana, szykownie, jak jaki grof. Jak jeny kto szeł tamtędy, to sie hnet ku niemu przyplichcił i tak kole niego obzajtowoł, aż go skludził do rzyki. Ale nie udało mu sie żodnego utopić, nawet w południowej godzinie, bo, choć kto był pijany, jak poczuł wodę pod nogami, to sie trzy razy żegnał, po każdym przeżegnaniu trzy razy spluwoł do wody i gzuł ku chałupie, aż sie za nim kurzyło.

— To są bery — odezwał się lekceważąco młokosowaty parobczak od Szczygła, biorąc się dwoma palcami za mały jeszcze uchwytnego wąsika, aby dodać powagi swym słowom. Niektórzy chcieli przytaknąć jego zdaniu, ale przycichli, gdy zobaczyli oblicze Mazelonki, który się zaperzył.

— Jak ci sie nie podobo, giździe saporporcki, to nie słuchej!

— Opowiadajcie dali, opowiadajcie, Mazelonko! — zachęcali go inni.

Wobec tego Mazelonka udobruchał się szybko, splunął przez zęby, jak to miał w zwyczaju, i mówił dalej.

— Roz też była ogromno woda. Było to wtedy, jak Wisła przestała płynąć starą rzyką, a obrała se nowe koryto. Przedtem sie wiła, jak żmija, a teraz se płynie równiutko i prościutko do Krakowa. Kole Mrzyka był słaby woł i zawdy go chciała woda urwać, a głównie skirż tego, że utopiec jej to miyjsce pokazował. Ale nieboszczyk Mrzyk miał taką piszczołkę, co ją przywióz z Rzymu, a snoci jeden z apostołów, jak przedtem owce posoł, to se na nij przygrywał. Jak na tej piszczołce zapiskoł, to w tem miejscu zaroz woda popuściła i przewaliła sie kędy indzi. A w kiera stronę zapiskoł, tam woda szła. Tóż Mrzyk piskoł tak, że zawdy Prusokom urwało. Przez to Prusocy mają za wałem same łąki a chałupy stawiają aż tam daleko przy sesyji. Wtedy też przy tej wodzie chłopci bronili wału i strasznie sie im ścigało. Pobiygli po Mrzyka, ale Mrzyk, jak to Mrzyk. Nigdy sie mu nie pilniło, a przytem był to strasznie wielki kurzok. Prawie se nakłodoł tabakę z pacharzyny do fajki. Tóż pado: — Poczkejcie kapkę, chłopci, aż se zakurzę. — Szkyrtnął siarką po galotach, ale mu sie złomała. Rożgnął drugą i pyko, ale ani rusz. Pewnie mu zły duch naschwol fajkę zatkoł. Potem sie mu zaś piszczołka kęsik zawieruszyła, ale ją znod w kamzeli i leci, jakby mu pod piętami gorzało, bo chłopci już ni mogli udzierzeć. Już był niedalekućko, a tu nogle chłopci podniyśli straszny krzyk, łap łopaty na ramiona, a nikiery maznął nią

o ziemię, i wyrwali naprzędbyżki. Mrzyk stanął, jak wryty, a tu już woda bul, bul, bul. Wyjon rażno pischczołkę z kapsy, ale już było poheropie. Przed jego oczami utopiec przekopyrtnął się w powietrzu, buchnął w tem miejscu do wody i zaryczoł w niej, jak sto wołów, a piana wyskoczyła na sto metrów wgórę. Dopiero Mrzyk się domyślił, że niepeć, odwyrtnął się, wzion nogi za pas i hajdy ku chałupie. W tym rozgardyjaszu stracił pischczołkę i od tego czasu już woda uruwo, kaj chce. Jak woda zesza, dziwają się ludzie, a tu w Mrzykowym wale dziura. Chcioł ją Mrzyk zasuć, ale się mu to nie powiodło. Im więcej ziemie sypoł, tem dziura była głębszo.

— Jak utopiec se jakie miyjsce obiere, to nie opuści ani za piezonego żyda — wtrącił ktoś.

— Przyszła potem jakosikej konwisyjo, mierzyli, badali tak i owak, cudowali i uradzili, że lepi bydzie usuć woł w inszem miyjscu. A dziura została.

— Ona ni mo dna.

— Pewnie, że niy — ciągnął dalej Mazelonka.
— Jeszcze ji żoden nie zmierzył.

— A czemu?

— Na, bo ten zły nie pozwolo. Jak mierzyli tyką, to ją bestyjnik złomoł, a jak uwiązali kamień na szpagacie, to go chycił hnet pod wirchem i nie puścił ani dogóry ani nadół, a przytem temu, co mierzył, zawdy się stało jakiś nieszczęści. Odtąd się żoden na to nie opowoży. I tak już tam ten czyrwiony niejednego zbałamaćił i utopił.

— Folkowego Jędrysa — zauważył ktoś.

— Starego Morcinka —

— Błażyczka —

— Kocurową Zuzę — wymieniali niektórzy z obecnych.

— Onby tam złapał każdego, kieby móg — podjął Lejeń — ale cóż. Do dziecka ni mo prawa, do wojoka też niy, no i do kożdego, wdo mo przy sobie coś poświęcanego. Od Mrzyka też jeszcze nikomu nie zrobił paskudy, choć tam chodzą i bez połednie i w nocy, bo do Mrzyka snoci ni mo prawa, że to jest na jego gruncie.

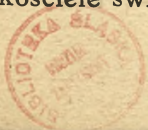
— To jest prowda — przytaknął Mazelonka. — W tej dziurze są ogromne rybska. Joch som widzioł szczuki na dwa metry, a kapry z takimi spaśnemi brzuchami, że jak pływały, to aż fuczały, jak dychawiczno kobyła.

— Bo mają co jeść, kie tam wszyscy ciepią zdechliny, topią małe koty i psy.

— A nie dają sie nijak złapać, ani na wędkę, ani do więciyrza. Nieboszczyk Mrzyk zrobił taką wielgucną sieć i zapuścił ją. Z jednej strony ciągnęli trzej chłopi, a z drugiej też trzej i przeciągnęli ją przez całą dziurę. Spocili sie biydoki, jak szczury we wodzie, bõ to ciężko szło, ale sie radowali, gdyż czuli, że w saku są ryby a ryby. A jak doszli do końca, to se lekutko wyciągnęli, każdy na swoją stronę, bo djoboł im przecion sieć prościutko w samym postrzodku, jak nożycami.

— Piernika kędy, to ci czechmon!

— Ale to jeszcze nie wszystko, bo Mrzyka to rozjargało do żywego i nie zostół mu dłużen. Jak w kościele święcili wodę na Trzech Króli, czy też na



świętą Agatę, posłał, kogo jeny móg, ze zbonkami, z konewkami, ze żberami, a potem chlust z jednego zbonka za drugim do dziury.

— Psia mać, to mu musiało być gorzko!

— Ano, musiało mu porządnie szupieć, bo wyskoczył na brzyg i wnoży, jak złodziej przed szandarami. Po jakimś czasie wrócił, ale się boł wejść do wody, jeny wysiadował kole dziury i pomstował na Mrzyka. Byłby może stracił nazawdy prawo do dziury, kieby nie to, że roz był straszny powicher i uderzyło do wody. Przez to uderzeni święcono woda widać straciła swoją moc, bo utopiec się tam nazod wesmyczył i urządził se dotąd regracyje. Ale Mrzykowym ludziom nic nie robi, bo się ich boi, a nawet kiedyś downi pono pumogół niekiedy pachółkowi sieczkę rznąć abo wodę nosić.

— A to mu dało herajnl!

— A potem się za to mścił w ten sposób, — kończył Mazelonka — że nie chcioł żodnego utopionego wypuścić na wyrch wody. Ale jest i na to rada. Na deseczke kładzie się coś, co ten nieboszczyk miał przy krzcie, i zapoloną świeczkę i puszczono się to na wodę. W kierem miyjscu się świeczka zatrzymo, tam jest ciało utopionego.

Po skupionych minach można było poznać, że ostatnie opowiadania zrobiły na wszystkich wrażenie, jedynie pachółek od Szczygła zdobył się znowu na wypowiedzenie sceptycznych uwag.

— A jednak to są jeny taki powiarki.

Tu już Mazelonka nie mógł się powstrzymać, splunął w jedną dłoń, roztarł piwocinę drugą i podszedł do niego, by go dokumentnie skarcić.

— Na, ty bisago przegrzeszony, jo cie nauczę moresu, jak cie pomacom pięścią w ten klupaty nos!

Ale pacholek nie czekał na tę przyjemność i, choć czuł w sobie dosyć siły, począł się cofać, bo nie wypadało przeciwstawiać się staremu Mazelonce, który ciskał za nim morałami.

— Hańdowni ludzie wierzyli w powiarki, a byli lepi niż teraz. Wy, snoploki, sie śmiejecie z waszych ojców, ale poczkejcie, jeszcze wos Ponbóczek pokorci.

Na dalszą reprimendę nie było czasu, bo deszcz, który przedtem chwilowo zmałał i padał równiutko i drobniutko, jakby przesiewany przez sito, teraz wzmógł się i począł siec zimnemi strugami. Równocześnie Lejeń zwrócił baczniejszą uwagę na wodę i skonstatował, że jej poziom znacznie się podniósł.

— Podziwejcie sie, chłopi, jak tej wody przybywo, w oczach sie podwyższo.

— A nejwięcy mi sie to nie podobo, że jest zanadto spieniono — zauważył Mazelonka. — Jo mieszkom przy samej rzyce, to se dobrze miarkuję, że zawdy tako woda rada wyleje.

— Teraz już wyleje — stwierdził Lejeń — choćby nawet przestało padać. O to sie jeny rozchodzi, aby woda nie była zbyt wielko. Ano, bydemy widzieć. Trzeja sie schronić pod jaki dach, boby człeka przeloło do nitki.

Chłopi poczęli się rozchodzić, każdy w swoją stronę. Mazelonka zawołał jeszcze za nimi.

— Ale byďte w pogotowiu do bronienio wału, jakby sie woda wzmoęła.

— A łopaty mieć napozdorędziu! — dodał Lejeń.

— Dyc są wachtorze — zapewniał ktoś z odchodzących — jak zaczną wołać, to przybiegnemy.

Wszyscy rozeszli się do domów, a tylko Mazelonka dreptał drobnym krokiem po wale tam i sam, przystając od czasu do czasu i bacznie wszystko naokoło obserwując, a głównie tę wodziczkę, co już tyle szkód narobiła biednym zarzeczanom, której wszyscy panicznie się obawiali, a jednak nigdy jej nie urągali, uważając ją za dopust Boży, tem konieczniejszy, że przyzwyczajali się do niej od dziecka.

Cóż dopiero stary Mazelonka, którego drewniana chałupka, odziedziczona po ojcu, przyleęala jedną ścianą do samego wału, kalenicą i kominem niewiele go przewyższając. Toć przecie najwcześniejszym wypadkiem, jaki sobie zapamiętał z lat dziecięcych, była właśnie powódź. Póki był chłopcem, wyczekiwał na nią corok z utęsknieniem i nie mógł pojąć, dlaczego starsi nie cieszą się. Przecie to było takie piękne, gdy woda zaczęła się pienić, huczeć i z szumem przewalać się zbałwanionemi falami. Wydawało mu się wtedy, że woda wygrywa najcudniejsze melodie, na instrumentach dziwacznych a przegromnych. Odtąd przez całe życie wszystkie odgłosy wezbranej wody określał nie inaczej, jak tylko, że woda gra. Przypomniął sobie, że zawsze, gdy

woda wystąpiła z brzegów i rozlała się pomiędzy wałami, to równocześnie zebrała się woda na łąkach, a wtedy było takie używanie, że go do śmierci zapomnieć nie można. Na nieckach albo na stodolnych dźwierzach jeździł po całych dniach, odbijając się tyczką od ziemi. Choć niekiedy i spadł z tego prymitywnego statku, nic sobie z tego nie robił, bo woda sięgała najwyżej do pasa.

Bywały i takie cudowne wypadki, że powódź nastąpiła późną jesienią i potem woda na rzece zdążyła odpłynąć, a wodę na łące łapał mróz i lód ją trzymał aż do wiosny. To ci wtedy była kielzaczka wysmienita. Rodzice nie pozwalali mu drzeć butów, ale w pantoflach drewnianych mógł kielzać, ile tylko chciał. A po powodzi następowała jeszcze jedna przyjemność. We wszystkich zagłębieniach utrzymywała się woda przez dłuższy czas, a w niej uwięzione ryby, i to nie tylko małe rzeczne płocice, okońki i wrzaszczki, ale także liny, a nieraz i porządny kaper, którego woda przyniosła z jakiegoś stawu. Łapał je wtedy Mazelonka do ręki i z zakasanemi wysoko nogawicami brodził po kolana w wodzie i w mule po kostki, jak bocian ochoczo. I przez jakiś czas tak wszędzie powietrze woniało, jak gdyby w niem ryby latały. Mazelonka łykał ten zapach, dla niego przyjemny, także dlatego, bo słyszał, że inni kupują w aptece rybi tran i piją go na łązok. On wachał rybi zapach i był zdrowy, jak ryba. Chociaż później zrozumiał ujemne strony powodzi i przekonał się, że jest to żywioł groźny i niezmierne wyrządzający szkody, to jednak tak się z nim zbratał,

że gdy przez trzy lata podczas służby wojskowej pozabawiony był jego widoku, odczuł to bardzo dotkliwie. Wszystko było tam bardzo piękne, ale nie było powodzi i przez to cały rok był zupełnie jednostajny, a trzy lata służby trwały dłużej niż reszta życia.

Gdy żołnierze opowiadali o różnych okolicach rodzinnych i wychwalali je, Mazelonka zapewniał ich, że nigdzie nie może być tak pięknie, jak w jego stronach, bo tam jest rok w rok powódź, a czasem nawet dwie, i niema tam gór. Koledzy śmiali się z niego, ale on myślał swoje. Mazelonka przypomniał sobie teraz większe wylewy Wisły i niektóre związane z niemi wypadki. Najwyższą wodę pamięta doskonale, bo wtedy rektorów syn miał prymicje i przejeżdżał na płetnicy ze szkoły do kościoła. Potem była także raz wielka powódź, gdy umarła stara Zmieszkołka na Brandysie. Biedaczka nie miała pogrzebu, bo naokoło była woda i zalała izby. Żołnierze ją zabrali przez dach ze strychu i zawieźli na łodzi na cmentarz. Tam ją sami pochowali bez uczestnictwa księdza i rodziny. Bogu dzięki, że przynajmniej ten cmentarzyczek był wysoko podsypyany, bo nawet w kościeliczku była woda.

Różne jeszcze wypadki przypominał sobie Mazelonka, gdy chodził po wale, nie bacząc na to, że przemokł porządnie.

Czasem tylko wpadł do domu, aby chlipnąć trochę ciepłej strawy i rozgrzać zziębnięte członki.

Nawet w nocy nie spał, bo jakże tu spać, gdy w uszy wciska się chlupot i bulgot strasznej nawałnicy.

Jak zwykle w takich wypadkach, tak i teraz nie rozbierał się i nie kładł do łóżka, tylko powiesił mokry szpencer nad blachą a sam siadł na przypiecku i drzemał. Gdy tylko woda głośniej zagrała, wybiegał i naocznie oceniał położenie. Poziom wody podnosił się systematycznie i w tempie tak szybkim, jak nigdy.

Nad ranem w pewnej chwili ten poziom zatrzymał się i równocześnie dał się słyszeć wzmożony szum wody, nie porykujący, lecz jednostajny. Maze-lonka wiedział odrazu, co to znaczy. To na Brandysie zaczęła się woda przelewać przez wał. Zwyczajna rzecz przy każdej większej powodzi.

Gdy rano ludzie zbudzili się, cała kolonja Brandys wyglądała jak wielkie jezioro. Na podniesionych usypiskach, jak na wysepkach, wznosiło się tu i ówdzie domostwo, by arka Noego, pełne krzątany ludzkiej i głosów zwierzęcych. Kto mógł, uwi-jał się koło zabudowań i znosił do wnętrza wszystko to, co mogłaby woda zabrać. Krowy w stajniach upominały się rykiem o wypuszczenie na pastwisko. Ten niepokój ludzi i bydła udzielał się także psom, które skowyczały na łańcuchach, a niekiedy wyły, jak w bezszelestną noc księżycową. A może przeczuwały jeszcze większe nieszczęście, bo zwierzęta instynktem sięgają w przyszłość dalej, aniżeli ludzie.

Mieszkańcy Brandysu przyzwyczajeni byli do takich sytuacji, że się nagle znaleźli odcięci od świata, jak rozbitki na bezludnej wysepce.

Dzisiaj jednak przerażenie ich było znacznie większe niż kiedykolwiek przedtem, raz dlatego, że

żyto było jeszcze na polu, w przeważnej części ścięte, po drugie, że stało się to tak niespodziewanie prędko. Takiego szybkiego przyływu wody dotychczas nie było. Według obliczeń wczoraj wieczorem zalewu Brandysu można się było spodziewać najwcześniej po upływie doby, a tymczasem nastąpiło to już rano. Wobec tak nagłego niebezpieczeństwa można było sprzątnąć z pola zaledwie to, co było tuż koło chałupy. Wprawdzie niewiele z tego będzie, bo to zgnije i zaparzy się na kupie, ale zostanie choć odrobina słomy na ściółkę pod gowiedź.

Ze wszystkich domów na Brandysie najniżej położona była drewniana chata Szczypkuli. Póki żył Szczypka, poprawiał ją od czasu do czasu, ale od jego śmierci przechylała się chałupina coraz bardziej w jedną stronę. Szczypkula żyła w niej z córką, a zarabiała zaledwie na skromne utrzymanie. Bo cóż to był za zarobek. Od czasu do czasu kawałek masła, osełka sera, kilka jaj, ot i wszystko. Latem jeszcze pół biedy, gdy można było coś zarobić w lesie, przynajmniej córka, bo matka musiała pilnować chudoby, a także odrabiać u siedloków za zoranie pola i inne końskie roboty. W zimie było gorzej, ale głodu nigdy nie cierpiały, bo siedlocy zawsze pożyczyli ziemniaków aż do nowego. Gorzej było z innymi środkami żywności, bo sklepnicy nie mogli dawać na kredę, ale Szczypkula nie wymagała też innego urozmaicenia poza ziemniakami, kiszka i jaką taką omastą do kapusty. Lubiła zwłaszcza kapustę i marwiła zawsze, że z kapusty brzuch tłusty, chociaż jej wygląd bynajmniej nie potwierdzał tej tezy.

Zrana Szczypkula i córka zajęte były również sprzątaniami z podwórza rzeczy łatwo przenośnych. Koło południa woda podeszła pod sam próg chaty, a niedługo potem poczęła się wlewać do środka. Wobec tego poczęły obydwie kobiety, jak już nieraz, czempredzej wynosić sprzęty na strych, na którym też niebawem zamieszkały.

— Maciczko święto, — biadała matka — jak też to długo potrwo? Dyc ni momy żodnych zapasów do jodła.

— I to prawie na odpust — wtórowała córka.

Przez małe okienka w szczytach dachu wyglądały na świat, czekając zmiłowania Bożego, bo o pomocy ludzkiej nie można było marzyć, gdy każdy miał dosyć utrapienia ze samym sobą. W pewnej chwili córka krzyknęła przeraźliwie.

— Jezusie, Maryjko! — przestraszyła się matka — Jewko, co sie stało?

— Podziwejcie sie jeno, mamulko!

— Biydoczek! Dokrzyty my o nim zapomniały.

— Pójdę go spuścić z łańcucha.

— Ale opaternie, aby cie prąd nie porwoł.

Jewka była już na dworze i brnęła wzdłuż ściany w wodzie po kolana. Z drugiej strony domu była buda z przywiązanym do niej psem. Woda wypędziła go ze środka, więc usiadł na wierzchu swej budy. W tej właśnie chwili domek psi zaczął się chwiać, gdyż woda, podmuliwszy go, wysadziła go z posad i coraz bardziej odciągała od ściany. Biedne zwierzę bronilo się rozpaczliwie i żalosnem skomleniem błagało o ratunek.

— Bela! — zawołała żałośnie zbliżająca się Jewka.

Psica chciała z radości zaszczekać do niej, ale radość ta była tak ogromna, że zapomniała ze wzruszenia języka w gębie i tylko zabełkotała niezrozumiale, kłapiąc przy tem zębami, a następnie poczęła kwilić, jak niemowlę na rękach matki, które nie może się odrazu uspokoić z mocnego płaczu, gdy mu ból uśmierzą pieczyoty. Jewka odczuła w tym jej głosie i szczęście i dziękowanie i wdzięczność i dozgonne największe, bo psie, przywiązanie, i przemawiała słodko i pieśczośliwie, aby wynagrodzić dotychczasowe zapomnienie o niej.

— Pieseczku mój złoty, już cie puszczę, już! Mokryś, boroczku, mokry, wygrzejesz się przy nas w sianie na górze, wygrzejesz.

Gdy już była blisko, pies zeskoczył z budy i rzucił się w jej kierunku z takim beztroskim bezwładem, jak dziecko w objęcia matki. Już miała Jewka wyciągnąć do niego ręce, gdy wtem potknęła się, a gdy uzyskała równowagę, zdrętwiała na widok tego, co się stało przed jej oczyma. Oto wskutek szarpnięcia psa buda straciła ostatnie resztki oparcia o podłoże i pęd wody uniósł ją z sobą wraz z przykutem do niej stworzeniem. Biedny pies opierał się i całą siłą chciał płynąć do Jewki, ale łańcuch nie puścił i płynąca z prądem buda pociągnęła go za sobą. Jewka stała bezsilna i bezradna i przez łzy mogła zaledwie od czasu do czasu wykrztusić miano psiny.

— Bela, Bela!

W ten sam punkt wpatrywała się z okienka matka. I jej łzy kręciły się w oczach, ale wytarła je końcem rękawa i starała się opanować ból.

Po pewnej chwili poczęła z rezygnacją kiwać głową.

— Na to ci przyszło, piesku kochany, na to. Nie gnijwej się na nos, zechmy cie tak sromotnie opuściły. Dyćmy nie chciały, jeny widzisz, była telkowno robota, a potem w takim nieszczęściu to człowiek doimentu głowę straci. Boroku!

Podczas tego córka stała oparta o węgiel narozny i zanosila się od płaczu.

— Nie bucz tak! — ozwała się matka. — Ponbóczek mo wszystko wporekomiu.

Tymczasem pies oddalał się coraz bardziej. To buda ciągnęła go za sobą, to znowu płynął równolegle z nią, a nawet ją prześcigał, o ile łańcuch na to pozwalał, a raz udało mu się nawet wygramolić się na budę i usiąść na niej. Zwrócił się pyskiem w stronę domu, dysząc ostatkiem sił ze zmęczenia, i zziąjanym językiem wachlował bezustanku. Gdy uzyskał na chwilę pełną przytomność, zaszczeknął słabo i żałośnie poraz ostatni resztą sił, mówiąc zapewne swoim psim głosem: — bądźcie zdrowi, dobrzy ludzie, dowidzenia! — Na więcej nie miał czasu, bo stracił równowagę i wpadł w wodę. Niebawem zniknął zupełnie z oczu Szczypkuli i Jewki.

A w chacie ich było coraz gorzej. Do ogólnego zniszczenia budynku i sprzętów przyłączył się brak żywności. Ciepłej strawy nie było na czym gotować, bo woda całkiem rozniosła po kuchni piec, a pod

zogłówkiem był już tylko maleńki skrawek chleba, schowany tam przed muchami. Przy wieczornym udoju krowa ucięła mleko i strzyknęła zaledwie parę razy do szkopca. Kobiety nie zdziwiły się tem wcale, gdyż krowa musiała stać w wodzie.

Wody przybywało coraz mniej, za ostatnie pół dnia podniosła się zaledwie o centymetr, a wreszcie trudno było dostrzec jakąkolwiek różnicę w poziomie wody.

W sobotę rano deszcz przestał padać.

Chmury się chwilami przecierały i odsłaniały to taki, to owaki skrawek wytęsknionego nieba. W serca ludzi zaczęła wstępować otucha.

— Przeca Maciczka Przenojswiętszo nom nie pozwoli zginyć marnie — pocieszała się Szczypkula. — Kogo Ponbóczek miłuje, tego biczuje. Z tego, czem nos dotychczas pokoroł, musimy być kontenci, a prosić Go, by już był koniec tej kory.

Potem usiadła przy okienku i zaczęła odmawiać różaniec, spoglądając naprzemian, to z przygnębieniem na rozszalałą wodę, to z ufnością w niebo.

Podobne myśli rozjaśniały także umysły innych. Najwięcej powodu do radości mieli mieszkańcy dzielnicy Dołu, bo wszystkie inne kolonje Zarzeczca były już zatopione, a jedynie Dół, który miał wyższy wał wzdłuż Wisły, a również od strony Brandysu zabezpieczony był groblą, wolny był dotychczas od klęski. Wprawdzie trzeba tam było pilnować wału, co czynił zawsze skrupulatnie Mazelonka, i w razie potrzeby podwyższać go darniami w niektórych miejscach, ale to się zreguły udawało i w rezultacie oko-

lica ta była nawiedzana powodzią jedynie wtedy, gdy został przerwany wał, co się zdarzało raz na kilka lat. Wprawdzie niżej położone łąki i pola zatapiała nieraz woda, przychodząca przykopami z lasu, zwłaszcza, że zamykano wtedy wszelkie ujścia do Wisły, ale zawsze szkody były znacznie mniejsze i ludzie mogli się swobodnie poruszać, a w niedzielę suchą nogą dostać się do kościoła, który stał na granicy między Dołem a Brandysem.

Obecnie wszyscy chłopci z Dołu byli na wale. Wyszli nawet ci nieliczni, którzy podczas deszczu siedzieli w chałupie, z prostej ciekawości. Chodzili po wale, przystawali, tworzyli grupki, gawędzili i obserwowali. A było na co patrzeć. Środkiem rzeki woda niosła na swoim zbałwanionym grzbiecie przeróżne rzeczy. Były tam belki, snopy zboża, kopy siana, wszystko, co tylko woda napotkała po drodze, a także sporo sprzętów domowych.

— Parcie jeny, chłopci! — zwrócił uwagę Lejeń — co tam płynie z wodą. Jakiś zwiryz.

— Toć, toć — potwierdzili inni.

— Na dyć to jest krowa.

— Kaj sie też tam dostała?

— Nie dopatrzyli kędyś i tela.

— Napije sie boroczka wody, pokieli nie zapły nie do morza.

— Kęsik ją wyłowią, abo sie zatrzymo na jakich krzokach.

— A tu nawet kolybka idzie z wodą — wskazał Mazelonka.

— To jest straszne — odezwał się Lejeń — może dziecko w ni było i wypadło kaj do wody.

— Ha, takie wypadki sie zdarzają — odrzekł Mazelonka. -- Bóg raczy wiedzieć, wiele już tu nieboszczyków przepłynęło. Pamiętom, jak roz po wodzie wisioł na gojach pacholek z jakiejś wsi od Skoczowa.

— Kole Skoczowa teraz regulują rzykę — zauważył któryś.

— Panowie nos już tu chcą cołkiem potopić — zachnął się Mazelonka. — Prostują rzykę odgóry i potem woda tak sady na nas. Nizyniery ni mają filipa w głowie.

— U nas już też jest wszystko wymierzone — pocieszał ktoś.

— Tu wymierzają, a tam robią, bezkurcyje! — odparł Mazelonka.

Temat ten byłby wywołał dyskusję, bo żywo interesował wszystkich, ale został przerwany nawoływaniem z pruskiego wału. Po drugiej stronie Wisły, która stanowiła od Strumienia aż po Dziedzice granicę pomiędzy austriackim Śląskiem Cieszyńskim i Górnym Śląskiem pruskim, byli również ludzie na wale, nie tyle dla zabezpieczenia go, ile raczej dla ciekawości. Z tamtej strony wał był dostatecznie wysoki i szeroki, że mógł stanowić opór najsilniejszemu nawałowi wody. Nadto co pół kilometra zbudowane były specjalne szopy, w których przechowywano na wszelki wypadek narzędzia ratownicze oraz worki z piaskiem. Z grupki tamtejszych ludzi doszedł głos.

— Cysarocy, jakoż wom tam idzie?

— Cóż sie tak pytocie? — odpowiedział Lejeń
— a wom jako?

— Nijako. Ale wom sie pierońsko leje do galot!
Urażeni temi drwinami nasi chłopi nie zostali
winni odpowiedzi.

— Nie wyskejcie tak, bo jeszcze nie wiycie, co
bydzie!

— Hromszczoki stodjobelne! — odgrażał się
Herok — poczkejcie jeny, jak woda zendzie, to sie
spotkomy!

— Nie jargej sie i nie klnij, bo to nie przystoi
w takiej chwili — mitygował go Lejeń.

— Z pumocą Bożą domy se rady — zawołał
Mazelonka.

— Nom pomoc nie potrzebno, bo momy dobre
wały — zapewniali tamci.

— Pon Bóg mocniejszy niż wasz woł.

— Co sie tam bydziecie, chłopi, odzywać do ta-
kich niemoreśników! — podjął Lejeń — szkoda gęby.
Mazelonka zawołał jeszcze.

— Nie mów hop, pokieli nie przeskoczysz!

Chłopi z pruskiej strony wołali jeszcze niekie-
dy, naśmiewając się z naszych, ale ci nie zwracali
na to uwagi.

Im bardziej zbliżał się wieczór, tem więcej było
smutku na twarzach. Wreszcie ktoś z młodszych
dał upust swojemu zmartwieniu.

— Piykny jutro bydemy mieć odpusciczek.

— Ha, porno Panu Bogu — odrzekł inny.

— Po insze roki o tym czasie juzechmy strzy-
lali z moździyrzy.

— My tu na Dole — rzekł Lejeń — jeszcze szczęśliwi, bo przynajmniej możemy pójść do kościoła, ale biydni brandysiocy, odmościoccy, rykalczanie, podgroblocy, gołyszoccy i ci z górnigo końca, co mają naokoło jeny samą wodziczkę, a nikierzy ni mają ponikędzi co jeść.

— Skąd sie to nogle nabiere tela tej wody?

— Trochę z deszcza — odparł Mazelonka — ale nie wszystka. Tego roku było moc grzmotów i wiatrów, tóż się zdródła w gorach poruszały i bez to idą takie ogromne wody.

Całą noc następną spędzili chłopci na wale, bo woda poczęła napierać z jakąś większą siłą i targała świeżo nadłożone darnie, skutkiem czego trzeba je było ciągle uzupełniać.

To też rano byli wszyscy pomęczeni. Już rozległo się dzwonienie na ranną mszę, a tu mowy być nie mogło o odstąpieniu od wału. Woda naciskała coraz bardziej na boki, a środkiem rzeki przewalała się w swej groźnej potędze, niby w pochodzie triumfalnym wśród fanfar rozgłośnych, wlekąc ze sobą łupy, zrabowane po drodze, jakby urągała doli ludzkiej i tym bezsilnym istotom, które u jej stóp drżały o swój byt. A tu był dzień odpustu i wszelijakiego weseleńia się, ale po inne roki, nie latoś.

Przed nabożeństwem zebrała się garsteczka ludzi, gospodyń i staruszków, którzy nie byli już zdadni do pomocy przy rzece. Było także parę osób z Gołysza. Koło tych gromadzili się inni i dopytywali o różności.

— Witom wos!

— Bóg zapłać. Jo wos też.

— Na, jakeście sie tu dostali?

— Hm, trochę na pletnicy a trochę bez wodę po kolana. Dyczech ni móg w odpust doma wydzierzeć. Chciołech kupić dzieciom jaki piernik, a tu nima żodnych bud, ledwie jeden kram, z bombonami i z żółtemi śliwkami.

— Ze Strumienia i ze Skoczowa piernikorze nie przejadą, a z Dziejic też jest woda po drodze, zresztą nie opłaci im sie na taki czas.

— Snoci mo przyjechać wojsko, pionierzy.

— Cóż nom pionierzy pumogą?

— Wywiyżć kogo na łodziach abo dowiyżć chleba.

Ludzie stali pod kościołem, jakby czegoś oczekiwali i, gdy rozpoczynało się nabożeństwo, wtedy dopiero weszli do wnętrza. Po sumie odbywała się zawsze uroczysta procesja naokoło kościoła. Był to zwykle najpodnioslejszy moment całego odpustu. Chorągwie łopotały na wietrze, muzyka grała, na obliczach rozkwitała radość, a wystrojone dziewczki szeleściły jedwabnymi fartuchami i rozglądały się po ludziach, wyławiając wśród tłumu tych, z którymi się galaniły, po to, aby po ich dostrzeżeniu spuścić skromnie oczy i udawać, że ich nie widzą. Jeżeli ją który ma rad, niech jej szuka, choćby mu się sto innych nawinęło pod rękę.

Jakże inaczej przedstawiało się to dzisiaj. Ksiądz z Przenajświętszym pod baldachimem wy-

szedł tylko za próg kościoła, zatrzymał się przed samą wodą i zaintonował: — Te Deum laudamus.

Nieliczny lud podjął słowa księdza i, zapomniawszy na tę chwilę o rzeczywistości, jak w chwili radosnego uniesienia, śpiewał pełną piersią.

— Ciebie, Boże, chwalimy, Ciebie, Panie, wyznawamy.

Dopiero, gdy proboszcz zaczął suplikacje, oprzytomnieli wszyscy i, jak przedtem w zapomnienie, tak teraz popadli w nadmierne pograżenie i dopowiadali ze łzami w oczach.

A gdy ksiądz potem do zwykłych próśb modlitwy dodał od siebie jeszcze jedną: — Od klęski powodzi... — nie doczekał się dopowiedzi wiernych. W tej bowiem chwili coś niewypowiedzianego ścisnęło serca obecnych i nie pozwoliło im na słowa. Wszyscy runęli kolanami na tę ziemię rozmokłą, nie bacząc, że błoto, i rozległo się zrazu ciche łkanie, a potem szlochanie, którego nic opanować nie mogło. Wobec tego stareńki proboszcz sam sobie po chwili dopowiedział drżącym głosem, przyczem dwie duże łzy spłynęły mu po policzkach.

— Zachowaj nas, Panie!

W tej samej chwili rozstąpiły się chmury i słońce wysłało na ziemię swe ogniste promienie. Żłocista pogoda zalała cały kraj... i kościół i ten tłum, korzący się u jego murów, i ten rozlany żywioł wodny, który w tej poświacie przybrał jakiś dziwnie uroczysty i sympatyczny wygląd, choć był to przecie wróg nieugięty. A ludziom zdawało się,

że to sam Pan Bóg wychylił się z nieba przez okno i kiwa dobrotliwie swą długą siwą brodą, a uśmiecha się pobłażliwie.

To też, gdy wzniesiona przez księdza w górę Monstrancja do błogosławienia zaświeciła, jakby drugie słońce, jak drugi uśmiech Stwórcy, tuż ponad głowami ludu, otucha wstąpiła w serca, a łyzy smutku przemieniły się w łyzy radości i bezgranicznego oddania się woli Bożej.

Uczestniczkami tej błogiej chwili były także, choć na odległość, Szczypkula i jej córka, które od samego rana patrzyły na kościół ze strychu swojej chaty. Gdy zobaczyły księdza z Monstrancją, wydało im się, że pomiędzy tym księdzem a ich okienkiem zawisnął ponad wodą most słoneczny i po tym moście biegną do kościoła, już tam dobiegły i dziękują Matce Boskiej Śnieżnej za ocalenie i przepraszają, że Jej na odpust kwiatów na ołtarz nie przyniosły. I tak im było dobrze, jak gdyby to była rzeczywistość, a to tylko myśli ich pobiegły po promieniach słonecznych.

Byli i inni w podobnem położeniu, a było ich wielu, ale może nikomu tak się serce nie krwawiło, jak staremu Wiślanowi. Jego kuczka, położona między korytami starej i nowej Wisły, była tak niska, że gdy szedł po pogródce, dosięgał głową okapu, ale była tak wysoko zbudowana, że woda do niej nie dochodziła. Wiślan przejął swoje przezwisko od dziada-pradziada, a pochodziło ono stąd, że rodzina ta trudniła się połowem ryb w Wiśle, a nadto prze-

woziła na płetnicy przez starą rzekę na pruską stronę. Oprócz rzeki był Wiślan, związany także z kościołem i dlatego taki był dzisiaj podniecony. Był to bowiem pierwszy odpust w jego życiu, w którym nie mógł wziąć osobiście udziału, bo drewniany most na Wiśle chwierutał się i trzeszczał, grożąc runięciem lada chwila.

W duszy Wiślana zmagąła się tragedia nietyle z powodu powodzi, ile raczej z powodu odpustu. Nie mógł on nijak pojąć, że odpust może się obyć bez niego, który cały swój żywot spędził przy kościele. Najpierw był ministrantem, potem kościelnym, a na stare lata, gdy ten zaszczytny urząd powierzył synowi, który się przyzenił do Chłapa, dzwonił i ciągnął miechy przy organach. Dzisiaj też odpędzał od siebie tę myśl, jak uprzykrzoną muchę, że smutny to będzie odpust bez dzwonów i bez organów. To też omal nie oszalał ze zdziwienia, gdy niebawem rozległo się dzwonenie.

Zrazu był przekonany, że to cud, że same dzwony zerwały się z wiązań i rozniosły się smutnym głosem ponad tą rozlaną wokół wodą, jakby skarga żałosna nieszczęśliwych ludzi do Boga. Czuł najwyraźniej, jak woda przygłuszała ich głos i tłumiła najpiękniejsze dźwięki, jak gdyby chciała nie dopuścić tej skargi do nieba, bojąc się najwidoczniej kary Bożej za krzywdy, wyrządzone mieszkańcom tej nadwiślańskiej równiny, przezwaney żabim krajem. Ale przyjemne marzenie Wiślana wnet przemieniło się w zgrzyt uczuciowy, gdy minęła myśl o samoistnem rozkołysaniu się dzwonów. Przypuszcze-

nie, że mogło się obejść bez niego, przerodziło się w pewnik, który wedźgał mu się w serce, jak drzazga.

Chociaż dzwony wygrywały najharmonijniej swoją wieżową melodię, Wiślan byłby dał głowę, że się kłóca. Tak się mu dziwnie w uszach rozklekotały, ale go to nie zdziwiło, bo któż drugi na świecie mógłby tak zadzwonić, jak on.

Żeby on tam był, myślał Wiślan, toby to inaczej wyglądało. Zakomenderowałby: chłopci, roz, dwa, trzy, pociągnąłby za linę, za nim inni, i zwoływałyby się, jak cepy w stodole, od nejcieńszego do nejrubszego: bom-by-lom-by-bom-bim-bam. Przymrużył przytem jedno oko, jak zwykle, i splunął w garść, aby to sobie lepiej uzmysłwić.

Z każdym uderzeniem dzwonienie wydawało mu się gorsze. Wreszcie tak mu w głowie zawirowało dysharmonijnie, jak gdyby te dzwony uderzały sercami o jego czaszkę. W obawie, by mu nie pękła, chwycił się oburącz rękami za głowę i zerwał się gwałtownie.

— Jo wom pokożę, jak sie zwoni — zawołał i wybiegł przed dom. Bez zastanowienia wskoczył na tratwę i popłynął na niej w stronę mostu. Tu przywiązał ją do barjery i począł biec po moście chwiejnym krokiem, bo most poddawał się i wykonywał ruchy podobne do ruchów tratwy. Ludzie, którzy to zauważyli, zdrętwieli z przestachu i wołali za szaleńcem.

— Człowieku, co robisz? Dyc wpadniesz! Co-nij sie, powiela czas!

Ale Wiślan nie zwracał na nic uwagi, bo sły-
szał tylko i widział dzwony, a myślał o tem, jak
umie rękami ich liny, i wołał.

— Jo wom pokożę, jak sie zwoni na odpust!

W pewnej chwili w barjerę mostu walnęła fala,
spiętrzyła się przed oczyma Wiślana i bryznęła
swem zimnem i rozciągliwym cielskiem tuż przed
jego stopami. Równocześnie suchy trzask łamanych
belek zagłuszył głos dzwonów. Wiślanowi pociem-
niało w oczach, ale się nie zatrzymał, lecz wrył się
piersią w tę ciemną otchłań. Ludzie, patrzący na nie-
go, już go nie zobaczyli, ale posłyszeli jeszcze jego
słowa.

— Jo wom pokożę... — oraz wzmocniony nagle
krzyk.

— Jezusie, Mary...!

Nie dokończył a dzwony dzwoniły dalej, in-
nym na odpust, Wiślanowi na pozgonne.

Tymczasem na wale koło Mazelonki zwijali
się wszyscy chłopci z Dołu. Niektórzy pracowali o
głodzie w pocie czoła od wczorajszego wieczora
bezprzerwy, inni obijali się z łopata na ramieniu, i
tylko od czasu do czasu udawali zapracowanych, ale
trwali na posterunku, by nie uchybić temu odwiecz-
nemu obowiązкови społecznemu, podyktowanemu
zresztą dobrem własnem.

Najwięcej krzątał się Mazelonka i Lejeń. Ci za-
pomnieli zupełnie, że to dziś odpust, i nie słyszeli
nawet dzwonów. Młodszych natomiast trzeba było
pilnować, bo przystawali i zwracali sentymentalnie
wzrok w stronę kościoła. Najgorzej pracował pach-

łek od Szczygła. Gaździna wysłała go, więc przyszedł, a teraz inni nie pozwalają mu się wymknąć, ale mało go to wszystko obchodziło, bo jemu woda nie mogła wyrządzić żadnej szkody, gdyż nosił zawsze ze sobą cały swój majątek, którym było jedyne ubranie. Przeciwnie, mógł nawet zyskać na powodzi, bo nie byłoby przez jakiś czas pilnej pracy w polu i mógłby się nareszcie raz należycie wyspać.

Oprócz tych względów natury ogólnej była jeszcze inna przyczyna, dla której łopata ciągle mu wypadła z rąk. Niekiedy mamrotał coś pod nosem wśród przekleństw, to znowu przystawał i uśmiechał się sam do siebie, jak głupek.

— Jura, cóżeś taki pitomy? — pytali go inni.

— Czyś potyrtany?

— Ale kataćteżtam — odpowiedział. — Jest mi strasznie markotno i zbyte.

— A czemu?

— Dyc ci pola nie zatopi, bo go ni mosz, conejwyży ci sie wody do kapsy naleje, mamlasie gupi! — urągał mu któryś.

— O wodę sie nie rozchodzi.

— Jeny o co?

— O co? Co mosz na wątrobie? — nalegali wszyscy.

— Nie powiem.

Wtedy naprawdę wzrosło zaciekawienie. Gdy w dalszym ciągu dopytywali się, Jura nie potrafił nadal dusić w sobie tajemnicy i tak rozpoczął zwierzenia.

— Co myślicie o Szczypkulinej Jewce?

Zaskoczeni takim niespodziewanem pytaniem, towarzysze nie wiedzieli, co odpowiedzieć, a tu już nastąpiło drugie pytanie.

— Prowda, że szwarno dziełcha. Co?

— O, bardzo szwarno — potwierdzili.

— Jo ją mom rod.

Jedni poczęli mu przychwalać, że ma dobry gust, drudzy wyśmiewać się z niego, a jeszcze inni podrwiwać z Jewki, jak zwykle między młodymi.

Żeby im wszystkim zatkać gęby, rzucił Jura głosem przekonywującym ostateczny atut na szalę.

— A ona mie też.

Po chwili podjął dalsze zwierzenia.

— Kupiłem se na odpust nowe szaty, twarde kragiel, szlips i radowołem sie, że se pogodom z Jewką. Byłbych ji kupił takie wielkie serce, jak dźwirze do stodoły, wszystkim inszym dziełchom na złość, potemby my se poszli na piwo abo na rozolkę i byłbych se Jewkę namówił. Mom jaki taki piniądz uszporowany, myślę, żeby my se radzili. A tu mom taki odpust.

— No, no — pocieszał go ktoś. — Dyc Jewka ci sie nie utopi, a popić se możecie inszy roz.

— Bydę musioł czekać aż nabezrok, na drugi odpust, cobych ji móg kupić serce, bo bez tego jakosik nie poradzę pedzieć, że ji przaję — oświadczył zrozpaczony Jura.

Naiwnością swą wywołał uśmiech na niejednej twarzy i byłyaby się potoczyła dalsza rozmowa na ten temat, gdyby inny fakt nie był zwrócił ogólnej uwagi na siebie.

Oto od strony Mrzyka rozległy się rozpaczliwe wołania o pomoc.

— Chłopi, pódźcie haw!

— Lo Boga świętego, dziura we wale!

— Chłopi, na pomoc!

— Prać ziemię do dziury!

— Dornie przynosić!

— Woda żblucho!

— Tego już nie zdzierżymy!

— Jezusie! Maryjo!

Krzyków podobnych było coraz więcej, w miarę, jak nadbiegali ludzie, praca też stawała się coraz gorętsza, pełna zamieszania i trwogi. Okazało się, że w wale była kretowina, którą woda podmyła. Wypadki takie zdarzały się częściej, ale tu sytuacja była o tyle trudniejsza, że zapóźno to dostrzeżono.

Gdy chłopi z pruskiego wału zauważyli wysiłki naszych nad ratowaniem zagrożonego miejsca, rozpuścili języki i poczęli wykrzykiwać.

— Hej, cysarocy, ale wom pyro!

— Szupi wom pierońsko!

— Już wom ani wasz cysorz nie pomoże!

— Ale nom pumoże Matka Bosko! — ozwał się któryś.

— My wom domy worków z pioskiem, przydźcie se po nie!

— Schowejcie se dlo siebie!

Tamci jeszcze w dalszym ciągu dokuczali cysarokom, ale ci nie reagowali już na to, zajęci swoim nieszczęściem, zwłaszcza, że w pewnej chwili odezwał się Lejeń.

— Chłopi, to je daremno robota. Jeden z nos musi wskoczyć do tej dziury i udeptować dornie, kiere tam wciepujemy, coby ich woda nie porywała.

— Tocy było dobre, ale kiery tam wskoczy?
— ozwał się jakiś głos.

— To też to — dodał ktoś inny — dyc sie może utopić.

W rezultacie wszyscy uznali to za jedyny sposób ratunku, ale nikt nie chciał ryzykować życia. Doszło nawet do ogólnej zwady, bo każdy wymawiał się i uzasadniał, że nie on, lecz ktoś inny powinien to zrobić. Między dwoma parobkami miało już nawet przyjść z tego powodu do bitki. Na moment ten nadbiegł zdyszany Mazelonka.

— Co jest? — zapytał.

Obecni chcieli mu rzecz przedstawiać, ale on zorjentował się wmię w sytuacji i przerwał.

— Potem mi to opowiyecie, teraz nima czasu.

Równocześnie chlupnęła woda, jak gdyby ktoś wrzucił w nią duży kamień. To Mazelonka wskoczył bez namysłu do dziury i stał w wodzie po pas. Nim się inni zorjentowali, on wezwał ich.

— Sypać dornie, ziemię i co jeny jest napozdorędziu, bo mi sie ziemia usuwo z pod stóp!

Wszystko rzuciło się do roboty. Bez niczyjogo rozkazu w zupełnem milczeniu uszykowali się, jak na komendę wyćwiczeni saperzy, i jedni ryli na łące możliwie najgrubsze płyty ziemi, drudzy chwyтали za bujnę na ich powierzchni otawę i podawali je innym i tak z rąk do rąk dochodziły darnie do

przeznaczonego celu. Padały koło Mazelonki, bryzgając mu czasem wodą w twarz, a on kręcił się i przebierał nogami, jak przy deptaniu kapusty w beczce.

W pewnej chwili z pruskiej strony doleciały zmieszane głosy i przeraźliwe nawoływania, a równocześnie tamtejsi ludzie poczęli na jedno miejsce znosić worki z piaskiem.

Otucha wstąpiła w naszych. Wiedzieli, że z tą chwilą niebezpieczeństwo ich zmalało przynajmniej do połowy, i że za wszelką cenę należy przetrzymać tamtych. To też zdwoili swoje wysiłki.

Nagle na pruskim wale rozległy się przekleństwa. Ludzie poczęli się rozbiegać nabok, a równocześnie zahuczała woda, jak olbrzymi wodospad.

— Chłopi! — krzyknął Lejeń i zwrócił wzrok ku pruskiej stronie, bo dalsze słowa uwiązły mu w gardle.

Wszystkim dech w piersiach zaparło i osłupiałemi oczyma wpatrzyli się w jeden punkt. Któryś zdołał wykrztusić.

— Dzięką Bogu!

Nagle Lejeń krzyknął.

— Mazelonka!

— Jezus, Maryjo! — zawył ktoś obłąkanym głosem.

Najbliżsi pochyłili się w stronę Mazelonki, ktoś wyciągnął do niego rękę z łopata, aby się miał czego chwycić, ale już było zapóźno.

Woda porwała go ze sobą. Widać było, jak się osłabionemi siłami zmagał z nią i jak go coraz

bardziej pochłaniała. Zresztą trwało to zaledwie sekundy.

Raz wychyliła się ponad powierzchnię ręka, jakby prosiła o zbawcze pochwycenie jej, a może na pożegnanie, potem głowa, biała, jak dojrzała główka kapusty, i wir zakotłował nad Mazelonką, przed zmartwiałymi oczyma towarzyszy.

A woda, znajdując upust w wyrwanej w przeciwległym wale bramie, huczała bezprzerwy, jak zakłętę koło djabelskiego młyna, i poczęła się bardzo nieznacznie odsuwać swą powierzchnią od cesarskiego wału w stronę pruskiego. Z obniżeniem się poziomu wody zmniejszało się coraz bardziej niebezpieczeństwo, a wreszcie całkiem minęło.

Rzeka wróciła potem do normalnego stanu, ale nad jej brzegami mieszkańcy nie tak prędko wrócili do równowagi ducha.

O Wiślanie i Mazelonce przestano czasem mówić, ale dzwony kościelne grały odtąd tak smutno i rzewnie, jak w odpustową niedzielę.

GOJNY.

Na punkcie nazwisk ludzie niektórzy są bardzo wrażliwi. Do takich należał też gajowy w Zarzeczcu, który się sumiennie obrażał, ilekroć ktoś nazywał go panem Gąsiorem, i dziwił się niezmiernie, skąd się ludziom bierze w ustach takie brzmienie, kiedy on podpisywał się wszędzie Gonschorr.

Szewska pasja go brała również z powodu nie-należytego uwzględniania jego tytułu przez mieszkańców wsi. W kilka dni po swoim przybyciu postanowił dać chłopom nauczkę w rozmowie z nimi.

— Wy niebudowane bauery, zapamiętajcie se, żech nie Gąsior, ba! tego nie poradzę dobrze wypie-dzić, jeny Gonschorr — rzekł podniesionym głosem, akcentując specjalnie ostatnią zgłoskę — i nie jestech zwyczajny gojny, ale arcyksiążęcy obergojny, erz-herzoglicher Oberjejer — dodał w języku urzędowym.

Nie wywołał jednak pożądanego efektu, bo na twarzach chłopów zamiast zakłopotania pojawiło się tylko zdziwienie, a nawet uśmiechy. Jeden z nich, Łukosz, który był mocny w gębie, tak go spyskował.

— Downi byliście napewne Gąsior, a co do tego drugiego, jak chcecie, to wam możemy prawieć erc pyrc oberfeger, bo nom to je fuk.

Odtąd nie nazywano gajowego inaczej, a nawet dzieci wołały za nim: — erc pyrc.

Brzmienie to stało się też niebawem symbolem czegoś złego narówni ze słowem djabeł. W rozmowie z gajowym mówiono do niego: panie obergojny, a czasami skrócono to na: panie ober.

Od tego pierwszego wystąpienia Łukosza stosunki pomiędzy nim a gajowym stawały się coraz bardziej naprężone, zwłaszcza na tle stosunku komory arcyksiężęcej do miejscowej ludności. Utrzymywała się zbyt silnie tradycja, iż ongiś lasy stanowiły własność chłopską, a potęgowała się ta świadomość wmiarę, jak coraz bardziej ograniczano zwyczajowe prawa chłopów na terenie lasu i uniedostępniano go. Doniedawna jeszcze biedota przynosiła to i owo z lasu, a teraz ani suchych gałązek zbierać nie wolno, ani borówek, ni grzybów, ni nawet tej ociupinki ściółki pod bydło. To też chłopcy pogadywali o tem przy każdej sposobności, a biadali zwłaszcza i pomstowali przy rozolce u Jadamka, w karczmie, którą tylko droga dzieliła od lasu.

— Tak, tak, chłopcy, piyknych my się doczekali czasów.

— Jak to tak dali pójdzie, to nom bydzie szupieć, bo sie człowiek zawdy trochę pożywił przy lesie.

— A tu bai wnet wstąpić do lasu nie pozwolą.

— To jeny jest tak u nas, a w bielskim lesie, w Zobrzeżu, w Ligocie, jest po staremu.

W tej chwili wszedł Łukosz.

— O czym tak, chłopci, rzeczkujecie?

— Na, o lesie...

— Ap, — machnął ręką Łukosz — jo se tam tego nie bierę do głowy. Nie domy se w kaszę dmuchać.

— Cieszyńskie ksiązę jest spórne.

— Ksiązę, jak ksiązę, ale erc pyrc. Sługa gorzsy od pana.

— Muszę wom przytuplować, Łukoszu, — ozwał się Krzempek, klepiąc go po ramieniu — prowdę wy godocie. Kajby tam ksiązę sie styrkało do takich drobných wiocy.

— Tak, tak — przytaknęli inni — erc pyrc tak nagrowo z nami i tryźni nos, ale jeszcze przydzie kryska na Matyska.

— Praktykant jest cołkiem inszy człowiek — zauważył któryś — ten nie robi ludziom ostudy.

— Dyc do lasu bogaty nie idzie.

Tak to sobie gawędzili chłopci, a kwaterka przechodziła pokolei z rąk do rąk. Każdy brał ją do ręki, podnosił w górę, obłapił przyjaznem spojrzeniem i, trzymając ją w trzech palcach, podziwiał, jak artystycznie rzeźbiony posażek, dogadując niekiedy to lub owo do ogólnej rozmowy, następnie mówił wszystkim „Na zdrowie”, otrzymywał odpowiedź „Dej, Boże!”, poczem przykładał kwaterkę do ust, obejmował wargami cały jej górny brzeg naokoło, przechylał głowę w tył i przelewał odrazu całą zawar-

tość kwaterki wprost do gardła. Następnie resztki alkoholu z dna strzepnął na podłogę, wykrzywiając równocześnie usta, co było wyrazem uznania dla siły wódki, którą często zastępował smak tłuczonego i domieszanego pieprzu, a czasem splunął jeszcze na podłogę i z godnością postawił kwaterkę na stole. Potem podsuwał kieliszek do sąsiada, napełniał go cienkim strumykiem ze słowami „We wasze ręce” lub „Na wasze zdrowie”, poczem sąsiad wypijał z tą samą ceremonjalnością. Zwłaszcza stary Pieprzok przestrzegał tego i zwracał młodym uwagę, podkreślając zawsze, że kapustę lub groch może każdy jeść, jak mu się podoba, ale gorzołkę trzeba pić przepisowo, jak ją pijali przodkowie. Pieprzok był w tem gronie najstarszy i do niego też zwrócił się teraz Łukosz.

— Słuchajcie, Pieprzoku, powiedzcie nom dokumentnie, jak to było z tym lasem?

Zainterpelowany, pychając tabakę do fajki, rozpoczął.

— Na, jo też tego nie pamiętom, ale, kiech jeszcze był takim skutem w zroślokach, to ojciec — potem sie boroczek wnet dostali pod dorniczek — nieroz łosprowiali o tem. Kiesikej tu snoci były wielgucne lasy. Koždy móg te lasy korczować i zamieniać na pole. Toż sie tu skludzali ludzie z inszych dziedzin, gor starzy, jak już nie musieli harować na pańskim, i każdy stawioł chałupinkę na jakim takim kąszczku pola. Koždy chcioł umrzyć na swojej świętej ziemeczce i we swojej budce. Nie było tu pana, a lasy i łąki były gminne. Koždy móg brać z lasu, co

potrzebowo! i paść bydełko, kaj chcioł. Ze wszystkich chałup spędzali gowiedź na olszynę, bo tam kiesik rosły olsze na łące kole rzyki, a gminni pastyrze jej dozorowali. A potem, jak był fojtem Wituła, tak snoci sprzedał panom las, a olszynę podzielił na dziołki i przydzielili niektórym po porę pokosów. Każdy musioł na swoim dziołku usypać woł, coby woda nie wylywała i przez to woł nie jest we wszystkich miyjskach jednaki. A jak panowie łapnęli las do górści, tak zaraz przysłali gojnego, tym, co byli w gminie, małowiela podmazali, a inszych zaczęli coraz bardzi z lasu wyciskać, aż nos teraz docna wyciśli. Zpoczątku tam ludzie nie wiedzieli, co sie robi, aż potem dziepro zaczęli sie obruszać, ale cóż, kiedy już było późno. Gmina przewichlarzyła las i zbyte. Dzisiok panowie se nos już nic nie wożą.

— Ale se nie domy wszystkiego wydrzyć — ozwał się któryś — mamy do lasu prawo, kie to było kiesik nasze.

— A brać z lasu, to nie grzych — przypomniał inny powszechne przekonanie ogółu.

— Gor na swoją potrzebę — zauważył inny — bo na handel, toby może był grzych, ale tak niy.

Rozmowa na ten temat urwała się nagle, bo do izby wszedł gajowy. Był dziś jakoś wyjątkowo dobrze usposobiony. Odrazu zbliżył się do chłopów, zagadując.

— Pieknie wos witom, gazdoszkowie.

— My wos też, panie ober — odpowiedzieli niektórzy.

— Popijocie se, popijocie.

— Na, tak tam małowiel — potwierdził Pisarek — na złe czasy.

— Czemu złe?

— Czasy są dobre, — wtrącił się Łukosz — je-ny ludzie źli.

Pisarek, który nie lubił rzeczy owijać w bawełnę i prawił każdemu prosto z mostu, co miał na wątrobie, wypalił odrazu.

— Do lasu nos nie chcecie wpuścić, roztoparczocie się w nim, jak żaba w powidłach.

— A las przeca był kiesik chłopski — dodał inny.

— Pewnie go chłopi przepili — zachnął się gajowy, ale się wnet zmitygował, przypomniawszy sobie zamiar, z jakim tu wstąpił, poczem dodał, wzruszając bezradnie ramionami: — las jest własnością arcyksięcia Fryderyka. Możecie wszystko dostać z lasu, ale za kartką, jak zapłacicie. A wycie, czemu to tak teraz jest?

Zaciekawienie chłopów wzrosło.

— Bo mocie we Wiydniu złych postów, co o to nie dbają. Dzierzą z panami, a na wos bij zabij. W łyżce wodyby wos utopili.

Tu Łukosz uśmiechnął się ironicznie i odezwał się spokojnie a dosadnie.

— Nie lyjcie se po błanie i nie fulejcie takowej koniny, bo sie wom to nie dzierzy kupy.

Gajowemu była obecność Łukosza bardzo nie na rękę, lecz, chociaż kipiała w nim złość przeciwko niemu, unikał w tej chwili nawet za cenę własnej

godności jakiegokolwiek zwady. Udał, że nie zrozumiał należycie jego słów, i chciał odrazu złagodzić sytuację.

— Co sie tam bydemy użyrać skirż takich wiecy. Napijmy sie raczej razem; jo kożę sztwiertkę bulowskiej i fertig!

Któryś z chłopów zauważył ze zdziwieniem, że gojny jest dzisiaj jakiś inny i nie reaguje na przezwiska.

— Lyj świni w oczy, jak to padają, powiy, że deszcz w nocy — wytłumaczył Łukosz.

— Ale nie wychybujcie se piniędzy z kapsy, panie ober — zagadał Gwizdek dla formy tylko, bo oczy śmiały mu się zawsze do wódki.

Gajowy dał miną polecenie szynkarzowi, a również Łukosz zamówił także ćwiartkę bulowskiej i Jadamek postawił równocześnie dwie butelki na stole. Gajowy próbował początkowo częstować i innych, ale wobec odmowy przypijał jedynie do Gwizdka. Po jakimś czasie przystąpił do rzeczy:

— Słuchejcie, chłopie, coch wom chcioł rzec. Wy tak tu siedzicie na wsi, kidocie gnój, orzecie, siejecie i nic' nie wycie, co się dzieje na świecie. Czytacie jeny „Gwiozdkę Cieszyńską”, a ta gazeta cygani i bałamuci gupich ludzi. Jak chcecie być bildowani, to musicie czytać „Ślązoka”. Kosztuje te same piniądze, a mocie w nim to, co w niemieckich cajtunkach. Wiycie przeca, że wszystko, co niemieckie, jest fajniejsze. Tóż zamiast na „Gwiozdkę”, docie piniądze na „Ślązoka”, a bydziecie mieć z tego większy profit. Jak zmańdrzejecie, to se wybierecie

inszych posłów, lepszych i bydzie wom lepi. Musicie wybrać Niemców, bo z Polokami sie we Wydniu nie liczą i tóż nie mogą nic wskurać.

Chłopi słuchali cierpliwie tych wywodów, ale tylko do czasu, a pierwszy zareagował Łukosz.

— Dyc żechmy nie Niemcy.

— Ale Polocy też nie — wtrącił gajowy.

— To sie wiy, że Polocy — zaperzył się Łukosz.

— Wyście są Ślązoki.

Łukosz zarechotał śmiechem.

— Ha, ha, ha! a po jakiemu my godomy?

— Wasserpolnisch, po naszymu.

— Chyćcie se wronę za ogon, to wom mądrzyj powiy.

Gajowy szukał uznania innych.

— No, jakże, chłopi, ni mom recht?

Chłopi spoglądali na siebie, nie kwapiąc się z odpowiedzią, jedynie tylko Gwizdek, jak gdyby z wdzięczności za napitek, odurzony alkoholem, wykrztusił.

— Czemu niy, panie ober...

Łukosz skorzystał natychmiast z wtrącenia się Gwizdka i pod jego adresem dał należytą odprawę właściwemu prowokatorowi, gajowemu.

— Na, ty mamlasie stopieroński, to ty za gorzołę bydziesz tu drzystoł takie bezecęstwa!

— Nima cie gańba! — posypały się uwagi innych.

— Niemoreśnik! — splunąwszy, wykrzyknął Pieprzok.

Salwa śmiechu wybuchnęła, gdy Łukosz rzucił złośliwy docinek.

— Arcyksiążęcy sznapstropmeter!

Gajowy chciał jeszcze coś perswadować, ale chłopci nie dopuścili go do słowa. Prym wodził, jak zwykle, Łukosz.

— Ci, co tak padają, to nie są Ślązoki, jeny ślimtoki! Nie potrzebujemy nowych proroków i nie domy se wyzywać na naszą wiarę, na naszą rzecz i na nasze stare zwyki!

Dla gajowego atmosfera stawała się coraz bardziej gorąca. Opuścił więc to zebranie, rzucając w stronę Łukosza pogrózkę.

— Przyjdzie koza do woza!

Gdy już był za drzwiami, dochodziły go wołania:

— Erc pyrc!

Zły wielce i zafrasowany wrócił do domu. Nie przypuszczał, aby jego akcja napotkała odrazu na takie przeszkody. Zdawał sobie sprawę z tego, co taki Łukosz potrafi zdziałać, i postanowił unieszkodliwić go za wszelką cenę.

Pchała go do tego i ambicja osobista i myśl o karierze, gdyby mu się udało pod powłoką ślązakowszczyzny przekabacić gminę na awangardę niemczyzny. Z tą myślą przecie został przez swoją władzę wysłany do tej gminy, na którą patrzano zgóry, jako na zacofaną, leżącą zdala od kulturalnego świata, w żabim kraju, a która w rzeczywistości była podświadomie narodowo uświadomiona, bo żadne deprawacyjne wpływy do niej nie doszły.

Wróciwszy do domu, zawezwał Gonschorr praktykanta, aby mu udzielić dalszych wskazówek służbowych. Robił to częściej, bo wiedział, że praktykant nie jest zbyt sumienny w spełnianiu jego poleceń. Niedawno dowiedział się, że nie zabiera on borówek ani grzybów ludziom, których przyłapie na zbieraniu, a nawet włosionę pozwala kraść.

Przypomniał mu to wszystko i kazał podwoić surowość wobec chłopów, oraz szykanowanie ich przy każdej sposobności, by ich w ten sposób zniewolić do uległości w przekonaniach politycznych. Ponieważ praktykant wyraził zdanie, że zapatrywania polityczne powinny wypływać ze serca i że nie ma sumienia, aby zabierać biednym dzieciom odrobinę zbieranych jagód, przełożony zagroził mu, że zrobi z tego urzędowy użytek.

W kilka dni potem obchodził Gonschorr swój rewir. Był to pierwszy dzień słoneczny po kilku dniach deszczowych i w lesie było sporo ludzi. Gajowy pastwił się nad nimi, zwłaszcza, że na początek trafił na babę z ciętym językiem, która mu wyśpiewała w cztery oczy nieprzyjemną prawdę.

W pewnej chwili zauważył kobietę, niosącą pytlík w trownicy na plecach, i podszedł do niej. Kobieta pozdrowiła go, jak to było zwyczajem, który wyjaśniał odrazu, z jakim człowiekiem ma się do czynienia, zależnie od tego, czy odpowiedział.

— Niech bydzie pochwolony Jezus Krystus!

— Ty bestyjo staro! — zaatakował ją gajowy — myślisz, że mie pozdrowieniem kupisz. Gdo ci pozwolił kraść włosionę?

— Dyc nie kradnę, bo to z lasu. Wyboczcie, panie obergojny, uzbierałach se trochę mechu do zogłówka, bo nimom piyrzo, a na twardej desce już moje stare kości nie mogą wytrzymać.

— W hereście na pryczy bydziesz mieć miękko.

— O, mój Jezusiczku, dyc sie smiłujcie! Joch jest biydno kumornica, tela mom, co se temi starami pazurami uszkrobie.

— U kogożeś kumora, ty stary papuciu?

— Na, u Łukosza. Z litości mie przyjon, bo ni mom grejcarka na kwatyr. Dobry człowiek, Pónbóczek mu to zapłaci.

— Gdo taki?

— Łukosz.

Gajowym podrzuciła wściekłość. Podszedł do wątlej sześćdziesięcioletniej staruszki i z rozmachem kopnął w brzemię na jej plecach. Biedna kobiecina, zgięta w pół, pochyliła się jeszcze bardziej naprzód, zatoczyła się i nastąpił moment walki pomiędzy nią a brzemieniem. Ale brzemię okazało się mocniejsze, wytrąciło babinę z równowagi, pociągnęło ją za sobą w kierunku, nadanym mu przez kopnięcie, i razem z nią potoczyło się po ziemi. Starowina syknęła z bólu i poczęła suchemi palcami rozluźniać pod szyją wiązadła trownicy, aby się uwolnić od bezwładu. Podnosząc się wreszcie, wyrzekła do gajowego z cichą rezygnacją.

— Pónbóczek wom to porachuje na sądzie ostatecznym. On se to tam wszystko pisze, a jest nierychliwy, ale pamiętliwy.

Gonschorr zaklął siarczyście i podniósł laskę do uderzenia, lecz kobieta usunęła się, więc żelaznym końcem laski przedziurawił kilkakrotnie trownicę i odszedł wściekły.

Niedługo potem przystanął za drzewem.

Wpatrywał się świdrowato w jedno miejsce i mlaskał językiem.

Przed oczyma miał obraz, o którym dawno marzył. Samotna dziewczyna zbierała borówki. — Tak — myślał Gonschorr — to ta sama, na którą już niejednokrotnie zwrócił uwagę, najpiękniejsza dziewczyna we wsi. Wyróżniała się kształtem i urodą wśród rówieśnic i w kościele i w karczmie. Sakra — myślał dalej — jak ją uwidzę, to tak, jakbych dostał odrazu szkiza, monda i pagata. Gryfno jest, jak pieron, a jej śmich mo taki miły głos, jak kie sie w karczmie kieluszkami tyrkają. Co prawda, to prawda, że tu są djobły, nie ludzie, ale dziołchy tu szwarne, jak nikaj indzi.

Zobaczył w słońcu jej buzię i westchnął, a potem mlasnął, aż się echo rozległo po lesie. Delektował się przez chwilę jej przegubami, a następnie zbliżył się cichutko.

- Jezusku, jakech sie przestraszyła!
- Nie bój sie, bo jo nie djoboł, jeny człowiek.
- Żeby to był człowiek, tobych sie nie boła.
- Cóżech jo jest, jak nie człowiek?
- Gojny.

Gonschorr uśmiechnął się przyjaźnie.

- Ej, freliczko, jo ci nic złego nie zrobię.
- Joch nie jest freliczka, jeny dziołcha.

— Aleś ładniejszo niż niejedna freliczka.

— Mie ładnoty nie trzeja, jeny zdrowych rąk do roboty.

— Szkoda takich rączek do roboty — schlebiał Gonschorr — a gębulkę mosz, kieby lelujka. Chciołbych być pszczołą i zbiyrać z niej miód.

— Trutnie nie zbiyrają miodu.

Zbliżył się zupełnie i chciał ją ująć za rękę, ale dziewczyna odsunęła się i odpaliła.

— Chytejcie se źmije do ręki, ale nie mie. To prawie dło vos.

— Posłuchej, nie bydź tako — wkręcał się w jej łaski — bydziesz mogła brać z lasu, co chcesz, a borówki, kiere weznę babom, dom tobie.

— Jo cudzego nie chcę, a swego se nie dom.

— Jakoś ty gupio! Jo przeca jest arcyksiążęcy obergojny. Niejednaby ci zazdrościła.

— To se poszukejcie takij!

Gonschorr nie spodziewał się takiej hardości.

— Czyjaś ty? — zapytał.

— Mamy i taty.

— A jak sie ten tata nazywo?

— Tak, jak jego tata.

— Widzę, że zaczynosz szpasować, ale jo nie bydę szpasowoł. Borówek zbiyrać nie wolno i muszę cie ukorać.

Przy tych słowach podbiegł do dziewczyny i, chwyciwszy mocno, zaczął się z nią szamotać. W pewnej chwili dziewczyna wyrwała ręce, a gdy gajowy objął ją wpół, lewą ręką przytrzymała go

błyskawicznym ruchem za prawą połowę dużego wąsa, a prawą wycięła mu dziewiczy policzek.

Gajowy oszołomiał i nim się zorientował w sytuacji, już ich dzieliła odległość kilku kroków. Do uszu uciekającej dziewczyny doleciała brzemienna w przekleństwa groźba. Rezygnując z zemsty doraźnej, która mogłaby być niebezpieczną, postanowił niefortunny amant zemścić się nazimno. Najwięcej intrygowała go myśl, co to za dziewczyna. Zapomniał jednak o całej tej przygodzie dosyć prędko z chwilą, gdy przestał odczuwać ból na policzku.

Po dwóch dniach wspomnienie odżyło, kiedy otrzymał wezwanie do leśniczego w Chybiu. Pomyślał, że może ta sprytna dziewczyna doniosła jego przełożonemu, i przestępował próg leśniczówki z pewnym niepokojem. Wiedział wprawdzie, że nikt kompetentny jej nie uwierzy, a on miał w zapasie takie argumenty, że musiałyby chyba dostać pochwałę. Wszelkie obawy jednak pierzchły, gdy w poczekalni spotkał gajowych z Chybia i z Landeka i z Rudzicy.

Jak się okazało, było to poufne zebranie polityczne. Leśniczy wręczył gajowym gratyfikacje za sumienne spełnianie obowiązków służbowych, a następnie polecił im przygotowywanie mieszkańców ich gmin do wyborów, które miały być rozpisane w najbliższych dniach. Zwłaszcza Gonschorrowi zalecił gorliwość w tym kierunku, dając mu zgóry wszelką swobodę w wyborze środków oraz specjalne zapewnienie wdzięczności, gdyż chodziło przecie o ratowanie arcyksiążęcej woli i niemieckiego honoru w gminie, w której trudno było wywierać jakieś wpływy

wobec braku folwarku czy też gorzelni. Gonschorr złożył solenne zapewnienie, że wyniki wyborów będą pomyślne.

Odrazu zabrał się do pracy, do której zaprzęgił także praktykanta, chociaż mu zbytnio nie ufał. Kombinował jednak tak, że w razie jakiegoś niepowodzenia zwali winę na niego, a przedewszystkiem spodziewał się, że znajdzie łatwiej sposobność pozbycia się go. Jako najpewniejszy środek zdobycia głosów wyborczych uznał jeszcze surowsze postępowanie wobec ludności, toteż maltretował każdego, kogo tylko spotkał w lesie, zabraniając nawet przejścia ścieżkami, któremi chodzono od niepamiętnych czasów. Groził horendalnemi karami, a do pomocy przybrał sobie znajomego żandarma ze Strumienia, który chodził po chałupach, wskazanych przez Gonschorra. Miał to być postrach, bo zjawienie się żandarma było zawsze złowróbnę. Gajowy liczył na to, że za zaprzestanie upozorowanych dochodzeń zyska wreszcie głosy steroryzowanych.

Na przeszkodzie stał jednak nieugięcie Łukosz, który nie dał się byle czem odstraszyć i na każdym kroku paraliżował robotę Gonschorra. Ten zdawał sobie z tego sprawę i wiedział, że bez pozyskania Łukosza jego zabiegi nie dadzą pożądaných wyników. Toteż po długim namyśle zdobył się na krok ostateczny. Pewnego dnia pod wieczór wybrał się nie-służbowo, t. j. bez strzelby i bez psa, do Łukosza. Odrazu zaczął od rzeczy właściwej.

— Przychodzę do was w bardzo ważnej sprawie.

— No, cóż takiego?

— Pon feszter chciołby z wami poosprowiać. Kozoł wom pedzieć, cobyście przyszli do niego.

Łukosz zachnął się.

— Feszter mo do mnie tak samo daleko, jak jo do niego.

— Ale, Łukoszu, co wy też godocie. Arcyksiążęcy feszter mo do was przychodzić, taki wielki pon!..

— Jo jest taki som pon na swoim, jak feszter w lesie, a bai większy, bo feszter jeny pełni służbę, a jo tu jest jak arcyksiążę...

Gonschorr zgrzytnął zębami ze złości, ale przybrał pobłażliwy uśmiech.

— Ha, ha, ha, toż nie pójdziecie?

— Niy!

— Opamiętajcie sie, bo se jeny chłopci robią na szkodę, że tak wojują z nami.

— My nie wojujemy, jeny bronimy swego.

— Czego?

— Las żeście nom już wydarli, ale języka nom nie wydrzecie.

Gajowy zamyślił się chwilę.

— Szkoda, żeście taki twardy. Moglibyście se lekko pomóc, bo wom w chałupie nie nadbywo. Ale, jak wolicie klepać biydę, to darmo.

— Jo biydzie nie urągom, bo ją Pon Bóg zsyło, a mom ją rod za to, że jest moja.

— Kozoł wom pon feszter powiedzieć, że możecie brać z lasu, co chcecie.

— Obiecki skryły sie pod niecki.

— Naozajst. Postawicie se ładne budynki z drzewa, jeny nie bydziecie za to buntować chłopów przeciwko nom — ciągnął powoli, wpatrując się bystro w oczy Łukosza — a jakbyście inszych namawiali, aby głosowali na tego, na kierego my kożemy, to jeszczebych wom dodoł na stawiaczy. Podziwejcie sie.

Tu wyjął z kieszeni kilka najmniejszych banknotów austriackich, zmiętych umyślnie, aby robiły wrażenie wielkiej sumy. Łukosz nie przejął się bynajmniej i ze spokojem odparł.

— Na to mie nie namówicie. Schowejcie se wasze papiurki. Jo rod zarobię, ale uczciwie i sprawiedliwie. Pon Bóg-by mi tych piniędzy nie bogosławił, a jakie nabyci, takie pozbyci. Ale z wos jest łączny kupiec. Kiebych miał swoje sumieni do przedaja, to myślicie, żebych je sprzedał za krowę abo za konia. Może wasze sumieni tela worce, ale moje trochę więcy.

Gonschorr przekonywał go jeszcze, potem przeszedł do gróźb, ale bezskutecznie. Doszło wreszcie do tego, że Łukosz wyprosił go za drzwi, zapewniając, że teraz dopiero zabierze się do pracy dla dobra społeczeństwa. Na odchodnem zjawila się na podwórzu córka Łukosza, Zofka, a widząc jakieś nieporozumienie między przybyszem i ojcem, ozwała się.

— Dejcież mu, tatulku, po fyrnioku, nie łogawcie sie z taką łazugą erc pyrcokowatą!

Gajowy nie reagował wcale, lecz nasunął kapelusz na uszy i zmykał, co sił, gdyż poznał, że Łu-

koszówna jest tą dziewczyną, która go ongiś w lesie upieściła policzkiem. Na szczęście las był blisko, a gdy się w nim znalazł Gonschorr, poczuł się u siebie i odetchnął. Równocześnie pod wiewem lasu spadły z niego wszelkie skrupuły, jak brud pod mydłem, ale w umyśle jego poczęła kiełkować myśl o manji prześladowczej ze strony rodziny Łukosza. Szybkiemi krokami oddalał się od tego miejsca, zwłaszcza, że zmierzch już chwycił w objęcia las i wyciągał zwiotczale ręce do wsi. Niedługo jednak trwały jego pieszczoty z przyrodą, w łaski której wślizgnął się teraz inny konkurent, puciołowaty i głupkowato uśmiechnięty parobas, księżyc.

Był cudowny wieczór, ciepły i cichy. Praktykant Kubek szedł drogą leśną i upajał się otaczającym go nastrojem i swojemi myślami.

Miał oblicze jaśniejsze od księżycy, bo w księżycu odbija się tylko światło słoneczne, zaś w jego obliczu odbijały się promienie serca, a małe serce zawiera więcej ciepła i radości, niż olbrzymia słoneczna kula. Ludzie mówią, że słońce jest źródłem ciepła i światła i radości i życia, a ono jest tylko śpichrzem, bo wszystko to rodzi się w sercach, które promieniują marzeniami, a marzenia wszystkich serc schodzą się w słońcu i ogniskują. Odbite w słońcu marzenia znów wracają do ziemi jako promienie słoneczne, ale nie wszystkie trafiają do serc ludzkich, bo trzeba do nich ręce wyciągać i przytulać je do piersi. Czasem po takim promyku słonecznym schodzi niezdarnie drobnemi stopeczkami maleńki człowieczek, a gdy już jest blisko ziemi, skacze

w objęcia matki, która go przytula do piersi, kocha go i pieści i nazywa go swoim marzeniem, promykiem, słoneczkiem. Jednak nie wszyscy ludzie o tem wiedzą i sądzą, że bocian dzieci przynosi.

Jakże piękne ma myśli młodzieniec, który w cudowny wieczór idzie do ukochanej! Praktykant szedł do swej Zofki. Myślał naprzemian to o jej urodzie, to znów o jej dobroci. Widział, że jest tak dobra, jak wszyscy ludzie tutaj. Muszą być dobrzy — myślał — bo pozdrawiają każdego spotkanego obcego człowieka i są zwalczani przez Gonschorra, który jest nawskroś zły. A już jego Zofka, ta chyba jest najlepsza. Wszystko mu się tu podobało. Z początku, gdy przyszedł, nie mógł się z nikim porozumieć, bo mówił tylko po niemiecku. Tego języka go tylko uczono w Cieszynie, w zakładzie dla sierot, gdzie się wychowywał od dziecka, i wpajano w niego przekonanie, że to jest najpiękniejszy język i że cały świat przejdzie z tym jednym językiem, a tu niedaleko od Cieszyna już on nie miał zupełnie żadnego znaczenia, natomiast język tych prostych chłopów, którymi pogardzano na każdym kroku, stokroć dźwięczniej brzmiał w jego uszach. W krótkim czasie potrafił już posługiwać się tym językiem, a lud ten pokochał za jego prostotę i za krzywdy, jakie go spotykały, oraz za szykany, że jest to naród upośledzony, gorszy.

A tymczasem on odkrywał w nim codziennie nowe zalety, jakich nie widział nigdy w środowisku, w którym się wychowywał dotychczas. Czuł, że kochał Zofkę mocniej dlatego, że z tego ludu pochodzi, a

lud kochał przez Zofkę. Im bardziej Gonschorr czynił mu wyrzuty, że się kuma z chamami i służba na tem cierpi, tem bardziej lgnął do ludzi.

Przyszedł na kraj lasu i czekał, kiedy na obejściu Łukoszowem zobaczy Zofkę. Niebawem z poza stodoły wyłoniła się jej gibka postać, a wyglądała w poświacie księżycowej uroczo i romantycznie. Wyszedł wtedy z lasu praktykant i oboje zbliżali się do siebie.

Przechadzali się potem tam i sam po miedzy, zaś rozmowa musiała być bardzo ciekawa, bo przystawali często, a księżyc, chociaż był setnie sfatygowany i poziewał od czasu do czasu, spozierał na nich wytężonym zyzem i przykładał łapę do ucha, aby lepiej słyszeć, bo biedaczysko ogłuchł już poważnie od tego, czego się od ludzi nasłuchiwał.

W tak ładny wieczór nie wytrzymał i Gonschorr w domu, lecz włóczył się po lesie. Jak zbrodniarz, który mimowoli powraca częściej do miejsca zbrodni, chociaż może przez to zaplątać się w sieci śledcze, tak i on kierował swe kroki w stronę Łukosza. Myślał, że patrząc na to znienawidzone gniazdo, prędzej obmyśli jaką odpowiednią zemstę i wykurzy stąd tego przekłętego agitatora. Wtem zobaczył rozkochaną parę. Obserwował ją tem zawzięciej, że domyślał się, iż to zapewne Łukoszówna, ta sama, która sromotnie zlekceważyła jego nadskakiwania. Doczekał się końca tej księżycowej idylli i widział, jak młodzieniec zbliżał się ku lasowi. Gonschorr nie chciał własnym oczom wierzyć, ukrył się za drze-

wo i, jakby piorun w niego uderzył, zachwiał się na nogach, gdy poznał swojego praktykanta.

W pierwszej chwili miał go zamiar zaczepić i spyskować, nadać mu, jak świni do koryta, ale potem starał się nawet wstrzymać oddech, aby tylko ująć jego uwagi. Tak się też stało.

Na drugi dzień w południe gajowy wezwał do siebie praktykanta i polecił mu urzędowo, aby natychmiast urządził rewizję u Łukosza, gdyż doniesiono mu, że Łukosz jest kłusownikiem i że świeżo zabił rogacza.

Praktykant wysłuchał rozkazu i zbladł. Taki obowiązek służbowy stawiał go w kolizję z uczuciem, a nadto gnębiła go myśl, co będzie, gdyby to była prawda. Wiedział, że Łukosz jest uczciwy i poważny, ale nieszczęście nie chodzi po górach, tylko po ludziach. Nuż mu się rogacz nabił na płot albo, postrzelony przez kogoś, dowlókł się do jego zagrody... i Łukosz się skusił. Tak przecież zrobiłby każdy — myślał — ale jak można nie zachować przytem dostatecznej ostrożności. Szedł i rozmyślał, jak zacząć, co powiedzieć, zwłaszcza gdyby najpierw spotkał Zofkę.

Szczęście mu sprzyjało, bo zastał w domu tylko Łukoszową, gdyż inni byli przy suszeniu siana, i ku jej wielkiemu zdziwieniu przeprowadził rewizję tak sumiennie, jakby to zrobił u nieznanego sobie zawodowego kłusownika. Odetchnął potem z ulgą z powodu jej negatywnego wyniku, spisał protokoł i zdał sprawę przełożonemu, który wyraził podejrzané zdziwienie, że nic nie wykryto.

Tego samego dnia wieczorem Zofka napróżno wyglądała. Ukochany nie przyszedł celowo, bo bał się, aby w uczuciu nie wyjawiał czegoś z tajemnicy służbowej, gdyby go Zofka ciągnęła za język. Biedna dziewczyna wyobrażała sobie, Bóg wie, co, i łzami zalewała się na myśl, że tak przedwcześnie zdruzgotane może zostały nadzieje jej szczęścia.

Im bardziej zbliżał się wieczór, tem weselszą miał minę Gonschorr. Ale potem godziny nocne wlokły się dla niego w nieskończoność. Spoglądał czasem przez okno na księżyc i obliczał, kiedy zajdzie. Uśmiechał się i myślał, że tym razem wbrew przysłowiu uda mu się złapać dwie wrony za ogony, Łukosza i praktykanta. Zacierał ręce z radości.

Na drugi dzień rano przyszedł do Łukosza Gonschorr z żandarmem.

— Łukoszu! — ozwał się gajowy — wy raubczujecie!

— Jo? — walnął się pięścią w piersi Łukosz — kto wom taką wiec podrzostoł?

— Byli tacy, co widzieli i pedzieli. Zabiliście książecego sornika, nie wylezicie z kryminału.

— Wiem, że dlo wos sornik jest więcej wortny, niż człowiek, ale wom prawię rzetelnie, żech nigdy nic nie zabił i zbyte.

Zabrał także głos żandarm.

— Bydemy łowić. Przyznejcie sie raczy po dobroci, bo znońdymy.

— Łówcie! Jak wysznupiecie sornika, to wom dom szóstkę.

Gajowy i żandarm zabrali się do rewizji. Zaglą-
dali pod łóżka, do łóżek, do szaf, przetrząsnęli cały
dom, zabudowania gospodarskie, a czynili to tak, aby
dokuczyć właścicielowi, który nawzajem pięknem za
nadobne dogryzał im uszczypliwemi docinkami.
Chwilami dochodziło do ostrych starć, a krytyczną
stała się sytuacja, gdy doszli do zbiornika na nawóz.

— Przekopcie ten gnój! — rozkazał gajowy
Łukoszowi — możecie tam schowali.

— Dyc już tam wczora żgoł loską praktykant
i nic nie wysztuchoł — oświadczyła Łukoszowa.

— To za mało, jo muszę mieć gnój przekopany.

— To se przekopcie — rzekł Łukosz — nejle-
pi, jak tam nos wraście! Toby była szumno porto-
grafijo, arcyksiążęcy obergojny i cysarsko-królewski
szandar na gnoju.

Funkcjonariusze uznali to za obrazę majestatu
i zrobili wielką chryję, a następnie żandarm pod
grozą bagnetu chciał zmusić domowników do prze-
kopania gnojowiska.

Ponieważ się to jednak nie udało, zaczął sam
bagnetem, a gajowy laską pchać raz koło razu.
Wtem natrafili na coś twardego. Po chwili gajowy
z miną triumfatora rzymskiego wydobyl rogi, skórę
oraz ratki rogakza, poczem zwrócił się do osłupia-
łego Łukosza.

— Momy cie, pieroński raubczyku, złodzieju
lasowy, chacharze sakraporcki, buksie milijoński!

W Łukoszu rozkrzyczała się straszna krzywda,
Przez chwilę pętał się w domysłach, jak furjat

w kagańcu bezpieczeństwa, aż stracił równowagę myśli i huknął w niebogłoso.

— Joch nie jest złodziej! Gdosik mi to tu podciepnał, dolibóg! — zaklinał się.

— Tak sie każdy złodziej wymiguje — oświadczył żandarm.

A gajowy dodał złośliwie.

— Teraz wiem, czemuście nie chcieli przekopać.

— Na, wy drzyki, jo wom pokożę sornika! — zawołał Łukosz, wbiegł wmię do stajni i z widłami w rękach rzucił się na przedstawicieli władzy.

Zrobił się straszny rwetes.

Żandarm wycelował do niego karabin i byłoby niechybnie doszło do tragedji, gdyby kobiety nie były powstrzymały Łukosza. Zofka wyrwała mu z rąk widły. Przedstawiciele władzy zabrali dowody kłusownictwa i odeszli. Z drogi wrócił się jeszcze Gonschorr i zawołał Łukosza. Gdy ten podszedł do niego, oświadczył mu gajowy.

— Moglichmy vos w obronie życia zastrzelić, jak psa wściekłego, ale i tak nie wylezicie z herestu. I cóż wy na to?

— Pon Bóg mie ochroni, boch jest niewinny.

— Niewinny, jeny zakatrupiliście sornika, obraziliście majestat cysarski i zniewożyliście widłami włodeżę. Już z wami amen tabaka. Ale mie vos jest luto i, jesi zrobicie tak, jak jo chcę, to całą sprawę zamażemy i nic sie wom nie stanie.

Łukosz zawahał się na chwilę.

— Nie zrobię! — odparł zdecydowanie.

— Pożałujecie.

— Nie pożałuję, bo co jest sprawiedliwe, to jest sprawiedliwe!

Tego samego dnia udał się Gonschorr z raportem do leśniczego. Natychmiastowym skutkiem tego było zwolnienie praktykanta ze służby. Biedny człowiek pozostał bezradny. Nie miał nawet rodziny, u której mógłby się schronić. Należało się rozglądać za nowym chlebem. Wiedział, że w służbie państwowej go nie znajdzie bez świadectw polecających ze służby arcyksiężęcej. Najgorsze było, że musi opuścić tę okolicę, a polubił ją, jak wieś rodzinną, której nie znał, dzieckiem z niej wywieziony. Gdy pomyślał, że musiałby się rozstać z Zofką, smutniał, opuszczał ramiona i stawał się bezradny.

Tymczasem agitacja przedwyborcza ożywiała się z dnia na dzień. Gonschorr nie przebierał w środkach, aby tylko dopiąć swego. Poił chłopów po karczmach, obiecywał im złote góry, a przedewszystkiem wymuszał przyrzeczenia od biedoty, którą przyłapał w lesie. Chłopi przyjmowali poczęstne, a swoje myśleli. Wystarczyło tylko powiedzieć, że kandydat Gonschorra jest innej wiary i nie umie porządnie mówić, jeny szwargoce po niemiecku, aby przekreślić jego szanse.

Zresztą wszyscy mieli zupełny brak zaufania do każdego, kto miał coś wspólnego z lasem.

Ale i Łukosz nie zasypiał gruszek w popiele. Uświadamiał współobywateli i ostrzegał ich przed bałamuctwami ślązakowskimi. Gajowy pozyskał zwolennika w osobie Gwizdka, który zresztą gotów

był podjąć się wszystkiego za wódkę, ale gdy wytrzeźwiał, sam myślał inaczej.

Niebawem miał się odbyć wiec, zwołany przez ślązakowców.

W niedzielę, po rannem nabożeństwie, Gonschorr popijał z chłopami w gospodzie i namawiał, aby się licznie stawili po południu, a głównie pouczał Gwizdka, jak ma się zachowywać podczas wieceu, co i kiedy ma krzyzczeć, oraz jak ma odczytać rezolucję imieniem chłopów. Gwizdek przyrzekał wszystko, tem solennie, im więcej wychylił kieliszków. Doszło wreszcie do tego, że imieniem całej gminy zapewniał oddanie głosów na ślązakowca. Speszył się jednak, gdy w czasie tego zapewniania wszedł Łukosz, który go zmiesza zbeształ.

— Dyc ty ani dzisiok nie przydziesz na wiec, bo bydziesz kajsik w krzypopie leżoł oźrały, jak bela. Nima cie gańba, tak loć do wańtucha, ty żyroku!

Gonschorr obruszył się.

— Po połędniu nie bydziecie taki mocny w pysku.

Łukosz nie zwracał na niego uwagi, lecz wezwał chłopów do udania się do domu.

Około połędnia zjawili się u Łukosza dwaj żandarmi i zabrali go do Strumienia na posterunek celem spisania protokołu w sprawie kłusownictwa. Nie pomogły protesty z jego strony, musiał się poddać przemocy i poszedł. W Strumieniu wyczekał się kilka godzin, poczem ci sami żandarmi, którzy go przyprowadzili, spisali z nim protokoł, szykanując

go przez cały ten czas. Wypuszczając Łukosza wieczorem, jeden z żandarmów zakpił z niego.

— Śpiychejcie się, cobyście się nie spóźnili na wiec.

Łukosz odciął się.

— My nie potrzebujemy wieców, bo i tak wygromy. Lepiby było, kiebyście się trzymali starej godki: Bałamacie, siedz w kącie, jesiś dobry, znońdą cie. Wy robicie takie larmo, jak pies, kie sie urwie z łańcucha, a nakońcu bydziecie cienko piskać.

Po południu odbywał się wiec, na którym przemawiał mowca ze Skoczowa. Starął się on udowodnić wyższość niemiecką i przekonać chłopów, że powinni dążyć do poprawienia swego losu przez niemieckość. Wiele śmiechu wywołał Gwizdek, który w najnieodpowiedniejszych miejscach wykrzykiwał wyuczone słowa.

Chłopi słuchali dosyć potulnie, ale gdy mowca wymienił nazwisko zwalczanego kandydata, księdza Londzina, wzniosły się entuzjastyczne okrzyki: niech żyje! W teże chwili ponad głowami zgromadzonych wyrósł praktykant i w przemówieniu swem wykazał rację poparcia kandydatury księdza Londzina. Oczywiście nastąpiło to dopiero po pewnym czasie, gdy nastąpiła cisza i gdy mowca ślązakowski wraz z Gonschorrem ustąpili z placu boju, nie chcąc zbierać kości do worka. Ostatecznie mowca ślązakowski został zapędzony w kozi róg przez starą Gotowiżniną. Kiedy bowiem znowu chciał wrócić do obniżania wartości tego wszystkiego, co polskie, rozległ się jej głos z tłumu.

— Kiedy Niemcy są tacy dobrzy ludzie, tóż mi wymieńcie jeich świętych, bo w Polsce jest moc świętych, a bai królowie!

Mowca zastanowił się, jakby szukał w pamięci jakiegoś niemieckiego świętego, ale był tak niespodziewanie zaskoczony, że sobie nie mógł nijak przypomnieć. Skorzystała z tego Gotowiżnina.

— Ni macie ani pół świętego, a jo już tam wdycki wolę dzierżec z tymi, co mają moc świętych!

Ten szczery argument tak przemówił do wszystkich, że odtąd nie dopuścili do głosu mowcy tamtego, a słuchali praktykanta. Chwycił ich też wszystkich za serce, bo zaczął od szkód, które wyrządza las.

Spełnił on na zebraniu rolę Łukosza, którego nieobecność przyczyniła się wbrew obliczeniom przeciwników do ich fiaska, skoro śród zebranych rozniosła się wiadomość o jego aresztowaniu.

*

Gdy wynik wyborów został ujawniony, rozpacz ogarnęła serca arcyksiążęcych sługusów. Najbardziej wściekał się Gonschorr. Nie mógł się pokazać chłopom, bo naśmiewali się z niego, a jeszcze bardziej bał się stanąć przed obliczem leśniczego.

Nie spał po nocach i rozmyślał, jakby się wytłumaczyć przed władzą. Przeklęty Łukosz — myślał — ten mi narobił bryje. Żałował, że go raczej nie zastrzelił przedtem.

Po kilku dniach otrzymał wezwanie do leśniczówki. Serce w nim drżało, jak liść osikowy. Leśniczy nawet z nim nie gadał, jedynie tylko adjunkt wezwał

go do wyjaśnienia, dlaczego przynajmniej sam nie oddał głosu na ich kandydata, a następnie wręczył mu dekret przeniesienia do Brennej, na pomocnika gajowego.

Przez kilka dni aż do wyjazdu przebywał Gonschorr ciągle w lesie. Ale nie prześladował już ludzi, przeciwnie, unikał każdego, kogo mógł spotkać. Był tak zrozpaczony, że uplanował nawet samobójstwo i straszną zemstę, ale zrezygnował z wykonania tego planu, aby jego wrogowie nie triumfowali jeszcze bardziej.

Gdy wiadomość o przeniesieniu Gonschorra rozniosła się po wsi, ludziska cieszyli się i śmiali do rozpuku. Łukosz wywęchał wszystko i postanowił mu uprzyjemnić ostatnie chwile pobytu. Z jego inicjatywy urządzili obywatele wieczorem uroczystość na cześć nowo wybranego posła, w przeddzień wyjazdu Gonschorra. Koło Godźkowej kapliczki na miedzy palili ogromne ognisko z drzewa leśnego, strzelali z moździerzy i puszczali ognie sztuczne. Do tego przygrywała kapela dęta, a wszyscy cieszyli się i wiwatowali.

Na drugi dzień rano przed dom gajowego zajęchała fura, która miała przewieźć jego rzeczy do Brennej. Równocześnie przybyła tamże banderja chłopska, którą dowodził Łukosz.

Dziwna to była banderja. Zamiast grzyw miały konie ustrojone ogony, ale nie wstążkami, lecz starami szmatami i różnemi charbołami. Czasem zwisała od ogona końskiego wytarta miotła, to znowu dziurawy garnek i t. p. Jeźdźcy, a było ich sześciu,

byli ubrani w stare podarte szaty, niektórzy boso, wszyscy jechali naoklep. Gonschorr miał zamiar jechać furą, ale zrezygnował z tak honorowej świty, z której padały nadto różne zjadliwe dowcipy, i szedł lasem w stronę Chybia. Wobec tego banderja eskortowała samą furę do granicy wsi. Na czele jechał Łukosz i dyrygował miotłą, a inni grali na instrumentach, ale w ten sposób, że dmuchali dowolnie, z czego wychodziła kocia muzyka.

Odtąd we wsi nastąpiła nowa era. Nowy gajowy był wprawdzie służbistą, ale miał przykład, jak poprzednik wyszedł na szykanowaniu ludu, i nie wsadzał nosa, gdzie nie dał grosza. Wszystkim było lepiej.

Praktykant, bo nazwa ta pozostała mu na zawsze, mógł już także pomyśleć o swoim losie. Był od pewnego czasu narzeczonym Zofki a teraz przygotowywał się do ślubu, bo pierwsze ogłoszki już wyszły w niedzielę. Kiedy spadli z kazalnicy, wszyscy mieszkańcy się cieszyli, bo praktykant zaskarbił sobie serca całej wsi, a również Łukosz cieszył się ogólnem uznaniem. Po nabożeństwie dziółchy skupiły się koło Łukoszówny.

— Zofka, ale bydziesz miała gryfnego chłopca — ozwała się jedna.

— Jo nie dbom o gryfność, jeny o dobroć — odrzekła.

— Dobrze mosz, żeś tako stateczno — zauważyła stara Cebulina, która lubiła wyrastać wszędzie, gdzie jej nie posiano, a zwłaszcza kręciła się koło młoducha, bo usnachtowała przy porodach. —

Ponbóczek ci za to bydzie bogosławił na dzieciach. Dej ci, Boże, żebyś miała co rok, to prorok!

Dziewczyny zachichotały. Jedna z nich zwróciła się znowu do Zofki.

— A jakżeś se go znodła?

— Jo po niego nie chodziła, jeny on po mnie — odcięła się Zofka, ale dumna była, że ją koleżanki nagabują.

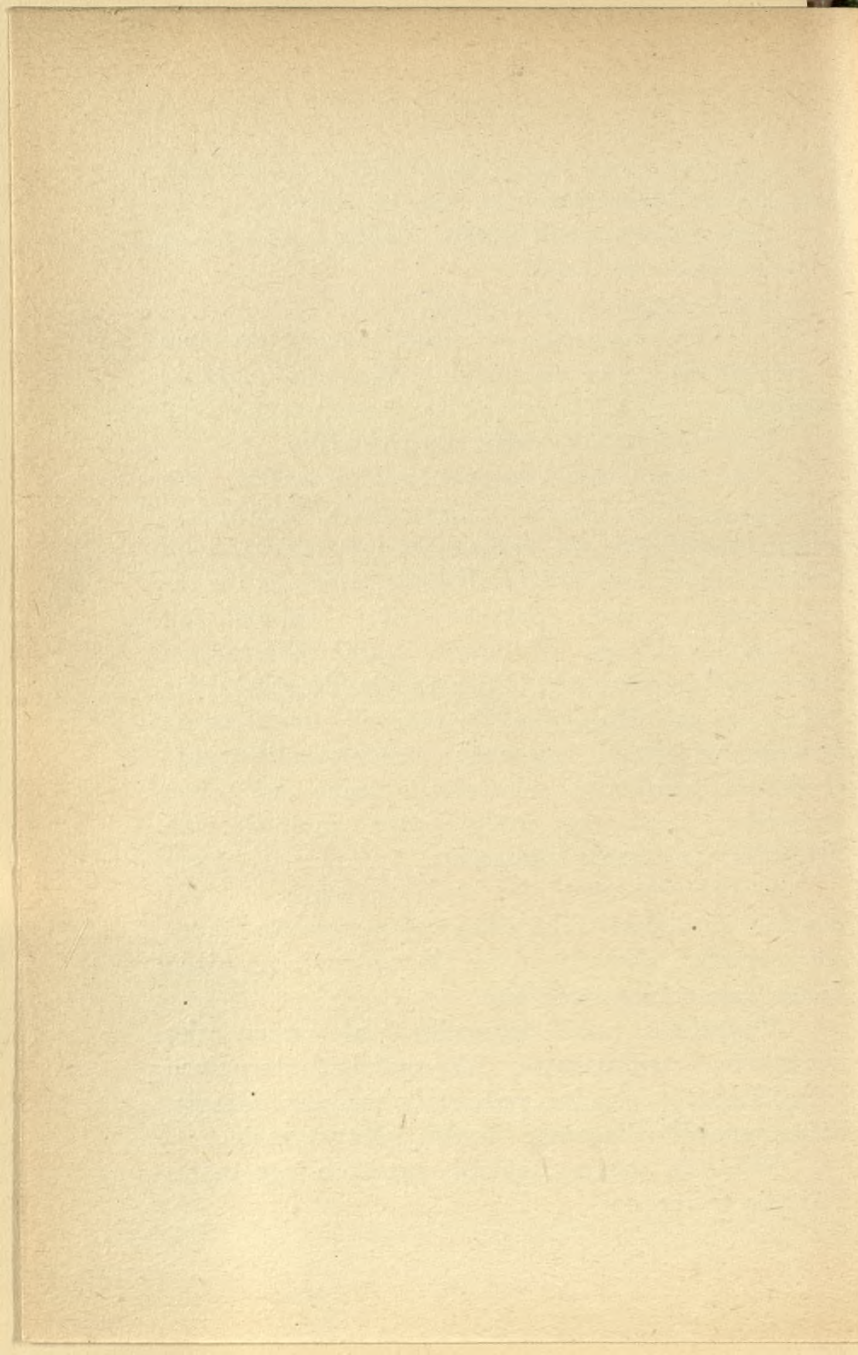
Niedługo potem odbyło się weselisko.

Praktykant wolał gospodarzyć na małym, ale na swoim, niż w wielkim cudzym lesie. Miał przyszłość zapewnioną, bo Zofka była jedynaczką, a on sam nie brzydził się żadną robotą gospodarską i w razie potrzeby równie dobrze władał widłami, jak strzelbą lub piórem. Niebawem został sekretarzem gminnym i zarabiał jaki taki pieniądz. Przysłużył się gminie, bo tak długo pisał do różnych urzędów, aż wreszcie wykołatał coroczne przyznawanie wynagrodzenia za szkody, wyrządzane przez las, przez zwierzyńę, oraz przez wodę, która zalewała pola chłopskie i niszczyła urodzaje.

Gonschorra spotkała zasłużona kara. Ksiądz Londzin jako poseł interwenjował w sprawie Łukosza u władz i okazało się, że nie wpłynęło na niego doniesienie o kłusownictwo.

Gonschorr robił wszystko na własną rękę w zмовie z żandarmami. Aby uniknąć interpelacji w parlamencie, władze wytoczyły mu dochodzenia, które wypadły dla niego bardzo niekorzystnie.

Wkrótce potem doniosły gazety o jego samobójstwie w Brennej.



JEGIER.

Odkąd do posterunku granicznej straży skarbowej w Podjaziu przydzielony został Henryk Benke, na mieszkańców tej części Zabrzeża oraz dolnej części Zarzecza aż po most spadła jeszcze jedna zmora. Benke był człowiekiem, ale w pierwszym rzędzie był służbiwą.

Aby okazać władzy zdolności i zaspokoić swoją ambicję, zażądał przydzielenia go do najtrudniejszego oddziału straży i w ten sposób znalazł się w Podjaziu. Nietyle trudna była tu służba, ile raczej przykry był pobyt w tej malarycznej okolicy, w której jedynym ogniskiem cywilizacji była karczma. Do tej gospody zachodzili też zwykle strażnicy, jeżeli chcieli wyrzeć na szeroki świat, no i jeżeli mieli dobre buty z cholewami do przebrnięcia bażołów. A w karczmie, jak w karczmie. Pić do lustra nie było można, bo go tam nie było, a gdy się raz do kogoś przypilo, to djabli brali już zwykle służbiwość. Niektórzy strażnicy tak byli pokumani z ludnością, a zwłaszcza z największymi przemytnikami, że nieraz patrzyli przez palce, zamiast przez lornetkę, i topili karierę w kieliszkach, jak się topi szczyenięta w gnojówce, zanim otworzą oczy na świat.

Gdy Benke objął służbę na nowej placówce, odrazu zorientował się w sytuacji i zaciął się, że za żadne skarby nie wstąpi w ślady swoich dwu kolegów, którzy w umundurowanych ciałach mieli całym cywilne dusze. On wyszedł niedawno z wojska i był przejęty swoją graniczną misją, a tu widział takie karygodne zaniedbywanie powierzonego zaufania urzędowego. Rozczarował się zaraz na wstępie, gdy kierownik placówki zapytał go zaledwie o to, czy umie grać w karty.

Benke był całkiem odmiennym strażnikiem od innych. Podczas gdy tamci czas służby starali się skrócić i uprzyjemnić w gospodzie, a podczas słoty lub w nocy skłonić głowę pod jaki taki dach, a jeżeli się dało, przytulić się do jakiego łoża, a poza służbą żyli wyłącznie tylko sprawami prywatnymi, to on naodwrot nawet każdą wolną chwilę starał się wyzyskać dla służby i kariery. Ta tylko była różnica, że poza służbą nie nosił karabinu, a nawet ubierał się często w cywilne ubranie. Wtedy też miał zwykle większe szczęście do przemytników, niż gdy był w służbie.

Niebawem przekonał się jednak, że zdobycie sławy na tem polu nie jest tak łatwe, jak sobie wyobrażał. Aby złapać jaką ofiarę, trzeba było się solidnie wysilić i umysłowo i fizycznie nad obmyśleniem zasadzki, a potem przy pościgu tej ofiary. A rezultat był zazwyczaj marny, bo na szwerc chodzili zwykle młodzi mężczyźni, którzy potrafili uciec, jeżeli zaś złapał jaką starą babę, to ta niosła taką bagatelę, że kończyło się na odebraniu jej towaru,

a głód odznaczeń i awansu pozostawał nadal niezaspokojony.

Ta gorliwość strażnika dawała się we znaki miejscowej ludności. Nie było tu wprawdzie przemytników zawodowych, uprawiających przemytnictwo dla interesu, ale również nie było biedniejszej rodziny, któraby dla własnych potrzeb nie korzystała z tańszości niektórych towarów po tamtej stronie. Po rzeczy do codziennej potrzeby chodziło się do sąsiednich wsi na Śląsk pruski, do Wisły i do Łąki, po materiały na odzież zaś do Pszczyny. Dotychczas zawsze się to udawało. Wprawdzie i przedtem trzeba było nieraz specjalnego człowieka, który śledził strażnika skarbowego i pilnował bezpieczeństwa przy przejściu przez granicę, ale teraz mimo zwiększonej czujności trudno było coś przenieść, bo Benke wyrastał zawsze, jak z pod ziemi, tam, gdzie nie był pożądanym. Zdobywał się nawet na to, czego żaden z jego poprzedników nie praktykował, że rzucał się za uciekającym do rzeki, która tu stanowiła granicę. Ale trafiła kosa na kamień.

Z początku szła Benkemu służba, jak po maśle.

W niedługim czasie otrzymał od władz specjalne uznanie, w którym było zaznaczone, że w danym okresie złapał on w całym rejonie największą ilość przemytników. Cieszył się z tego niezmiernie, ale nie cieszyli się koledzy z tej samej placówki. Najgorzej odczuwali to okoliczni mieszkańcy. Wprawdzie Benke wyłapywał tylko starsze babiny lub dzieci z jakąś odrobiną cukru czy też ze śleddiem, bo po większe zakupy wybierali się mężczy-

źni z dłuższymi nogami niż Benke, który był mały i hojdał się na kabłąkowatych nogach. Ponadto był zawsze sam, a na niego uważało dwóch lub trzech. Jedyłą rzeczą, którą przewyższał chłopów, był karabin, ale wszyscy dobrze wiedzieli, że to tylko strachy na lachy, bo mu go nie wolno użyć. Rzadko się nawet zdarzało, żeby strażnik wystrzelił w powietrze. Miał także lornetkę, ale chłopci wychodzili na drzewo i lepiej od niego mogli się rozejrzeć w okolicy.

Ta ostatnia rzecz drażniła go najbardziej. Zdarzało się, że siedzący na drzewie dawał znaki innym, którzy byli rozstawieni w okolicy, a ci znowu ułatwiali przejście granicy przemycającym towary. Benke postanowił prześladować specjalnie ten sposób wywodzenia go w pole. Pewnego razu podszedł rozwścieklony pod drzewo, na którym siedział parobczak i zapytał ostro.

— Co tam robisz?

— Siedzę — odparł tamten spokojnie.

— Pociś tam wyłoz?

— Ryby chytom na wędkę...

— Ryby na drzewie! Ty sakramencki giździe, bydziesz se błozna strugoł ze mnie!

— Jak nie wierzycie, tóż wom powiem prawdę. Obiyrom gruszki na pieczki.

Benke rozgniewał się. Nie przypuszczał, aby taki smyk mógł się tak lekceważąco odnosić do niego.

— Ślazuj gibko z tego dębu, bo strzelę do ciebie!

Parobczak wcale się tą groźbą nie przejął i ze stoickim spokojem odpowiedział.

— Poczkejcie chwilę, aż szwercyrze przeńdą.

Równocześnie dawał znaki, a następnie zaczął wołać donośnie.

— Chłopi, deście se pozor, bo tu jest jegier, ten spórny.

Benke począł go wymyślać i odgrażać mu się, ale parobczak ostrzegał w dalszym ciągu.

— Stoi tukej przy drzewie. Teraz wyciągnął kity i gzuje kole wału, ale mu niesporo, bo sie mu nożki ogibają, jak cielnej krowie grzbiet. Teraz czępnął za krzokiem i idziecie prosto na niego. Żeby kiery nie tąpnał na niego, boby śmierdziało. Teraz sie rozpyrsknijcie!

Wtedy chłopi, którzy szli dotychczas kupą wprost na strażnika, rozbiegli się na wszystkie strony i hajdy, jak gołębie wypuszczone z klatki. Benke wyskoczył z krzaka, ale stracił kilka sekund, nim się zdecydował, którego ścigać, a tymczasem tamci już rypali niby żróbki, puszczone na pastwisko. Benke pobiegł za jednym, ale wnet zaczął ścigać innego, który podbiegł bliżej, a następnie trzeciego, który się nawinał. Ostatecznie musiał biec za tym trzecim, bo inni już się zanadto oddalili, a ten skierował się w stronę bazołów. Znając pewne miejsca stalsze, łatwo przedostał się na drugą stronę, natomiast jegier ugrzęznął w bagnie tak dalece, że musiał zaprzestać pościgu. Kiedy się wreszcie wykorpał z bagniska i jako tako wytarł buty w trawę, postanowił się przynajmniej zemścić na parobczaku, co

siedział na dębie. Ten oczywiście nie czekał tam, a jakaś przechodząca baba, zapytana przez Benkego, czy go nie widziała, popatrzyła nań z podełba i odrzekła.

— Widziałałch go.

— Kędy?

— Dwa chłopci go niośli na złomanym drągu.

Benke nic z tego nie zrozumiał, więc wzruszył ramionami i poszedł swoją drogą, żałując mocno, że mu się taka gratka wymknęła z łap.

Sławą nadzwyczaj sprytnych przemytników cieszyli się szeroko w okolicy dwaj sąsiedzi, Zwyrtek i Biernot. Zazwyczaj jeden z nich szedł po towary dla obydwóch, a drugi pilnował bezpieczeństwa przy granicy. Do nich przyłączało się zwykle sporo osób z tem przeświadczeniem, że wszystko się uda należycie. Rzeczywiście nie było dotychczas wypadku, aby przy ich wyprawie wpadł ktoś w ramiona strażnika, a Zwyrtek lub Biernot z największego niebezpieczeństwa nietylko sami wychodzili cało, ale jeszcze innym pomagali. Kiedy Benke począł się tak srożyć, Zwyrtek i Biernot stali się jeszcze popularniejsi.

Za przykładem chłopów zaczął i Benke wychodzić na drzewo, ale takie obserwacje nie trwały długo, bo okazały się niebezpieczne.

Ponieważ karabin przeszkadzał przy wdrapywaniu się na drzewo, ukrył go raz Benke w pobliskich krzakach. Potem ścigał przemytników, a gdy wrócił, skonstatował z przykrością, że karabin dostał nogi. Rozpacz strażnika była okropna. Z jednej

strony przykrości służbowe, z drugiej wstyd przed kolegami.

Szukał w najbliższej okolicy, potem dopytywał się w pobliskich domach, obiecywał nawet sutą nagrodę, ale nikt nic nie wiedział i nie widział. Poszukiwania kontynuował na drugi dzień od najwcześniejszego ranka.

Gdy to Zwyrtek zobaczył, podszedł do niego i z lisią uprzejmością zagadał:

— Piyknie witom, panie jegier! Pewnieście tu stracili grejcar, bo go łowicie już od wczora. Kiedyż bydziecie spać, jak tak po całych nocach czegosik szukacie? Może łośnigo śniegu?

— Co wos to obchodzi? Parcie se swego!

— Moc mie to obchodzi, bo to jest moja łąka, a wy mi tramazgocie po trowie i wyganiocie mi zające z krzoków. Jak mi tu jeszcze bydziecie do tego bromblować na gębie, to wos stąd wygonię.

— Aa, wasza łąka, — to co inszego.

— Pewnie, że moja. Nieboszczyk stryk mi ją zapisali, a w testamencie nima nic pedziane, że jegry mogą po niej chodzić. Kędy jegier przeńdzie, tam snoci trowa nie rośnie bez siedem roków.

— Nie gnijwejcie sie, gospodarzu, jo se tu wczora schował gwer, ale nie pamiętom, w kierem miejscu, i szukom go teraz.

— Acha, schowaliście se go — odrzekł znacząco chłop — ale macie kurzą pamięć, że nie wiyecie, kędy.

Uprzejmość strażnika była tak daleko posunięta, że Zwyrtek pomógł mu wreszcie szukać, oczy-

wiście z dosyć rychłym skutkiem. Nie chciał doprowadzić do ostateczności w stosunku do strażnika i do niezadowolenia prawdziwego właściciela łąki, gdyby przez dalsze poszukiwania trawa została jeszcze bardziej zdeptana i zniszczona. Kiedy jednak Benke zobaczył karabin, z uprzejmego stał się natchmiał aroganckim, a wtedy Zwyrtek postanowił przy sposobności dać mu jeszcze nauczkę. Gdy potem opowiadał o tem Biernotowi, tak zakończył:

— Ale my se go jeszcze wypożyczymy!

— Przydzie koza do woza! — oświadczył sąsiad.

Nie musieli długo czekać. Gdy raz wypatrzyli go na dębie, podeszli z piłą i z siekierami. Przeżegnali się głośno, a następnie zrobili znak krzyża nad drzewem i przystąpili do pracy.

— Nejprzód go podrabimy siekierami, a potem piłą dorzniemy — ozwał się Zwyrtek.

— Za dziesięć minut bydzie leżo! — zauważył Biernot — dej nom, Boże, szczęści!

Nim się Benke zorjentował, o co chodzi, zaczęli naprzemian walić siekierami w pień drzewa, wołając przytem: hej, ruk! Aby zaś nie uszkodzić dębu, bili tyłcami siekier, czego oczywiście zgóry przez konary nie można było zauważyć.

— Już sie kolybie — skonstatował Zwyrtek.

Benke doznał istotnie uczucia, że drzewo się zachwiało, czego powodem był wiatr, i uprzytomnił sobie swe groźne położenie. Z całych sił począł wołać.

— Chłopi, halt! Co robicie? Czakejcie, aże ślezę.

Ale chłopi udawali głuchych i coraz energiczniej wymierzali uderzenia. Benke nie mógł pojąć, czy to złośliwe żarty, czy naprawdę ścinają drzewo, a jego nie zauważyli. Począł prędzej schodzić, a równocześnie krzyczał w pasji.

— Wy pierońskie chachary, jo wom pokożę! Przystaniecie rąbać czy nie?

— Tych chacharów mu nie darujemy! — mruknął Biernot.

— To sie wiy, że niy! — przytaknął Zwyrtek.

Benke żałował, że nie ma przy sobie karabinu, no ale, jakże z karabinem wychodzić na drzewo.

— Ni mo lewulwera, boby już strzyło! — zauważył Zwyrtek. — Teraz już możemy zacząć.

— Dość tego — ozwał się głośno Biernot — teraz bydemy rżnąć.

— Sakramenckie cholery! — krzyknął Benke, korzystając z chwili ciszy.

Zwyrtek spojrział w górę, poczem nagle rzucił się na kolana i z najwyższym przerażeniem zaczął krzyzczeć, żegnając się równocześnie.

— Loboga, ludkowie, retujcie, loboga! Święty Michale, święty Jurzy, święty Walenty, święto Katarzyno, święto Barbarko, smiŕujcie sie! O, loboga, loboga! Ludzie, ludzie, pódźcie haw!

Benke stracił zupełnie rezon, nie mogąc się zorjentować, czy ma do czynienia z dowcipnisiemi czy z obłąkanymi. Biernot udawał również zaskoczono-go postępowaniem sąsiada i z trwogą zapytał.

— Co robisz? Czy ci pizło na głowę?

— Ślepyś? Podziwej sie jeny! Dyc djoboł siedzi na drzewie!

Biernot wytrzeszczył oczy i natężył wzrok, ale nie mógł rzekomo nic zobaczyć.

— Na, oto tu na gałęzi — wskazywał palcem Zwyrtek — siedzi bestyjnik i tak pysk rozdziyro, że mu aż dziurę do brzucha widać.

— Kędy? Jo nie widzę.

— Tobie sie nie pokozoł. Czert tak poradzi zrobić, że go jeny nikiery widzi. Ślazuje. Par, jaki mo giczone krzywel!

— Aaa, tukej, widzę — zawołał Biernot — kaj go tu przyniosło? On naozajst ślazuje. Dzierż mocno siekierę w gorści. Jakby lagramentnik chcioł zeskoczyć, to go maznemy siekierami bez łeb i ani nie zipnie. Dej pozór i prasknij z całych sił!

Obydwaj ujęli siekiery i w pozycji wyczekującej zmiierzali się do uderzenia. Benke przestraszył się i musiał nawet podnieść się nieco wgóre, bo tymczasem nadbiegli już ludzie z pobliskich chałup, głównie wyrostki, z widłami, cepami i z tem, co się nawinęło pod rękę. Z tymi, którzy byli przygotowani na tę chwilę, przybiegli także ludzie przygodni, zupełnie zdezorientowani w sytuacji.

— Bij! zabij! — krzyknął Zwyrtek — djoboł siedzi na dębie!

— Jakby zeskoczył — pouczał Biernot — to go zmasakrujemy na kwaśne jabko.

— Żgnij mu widłami pod ziobro! — wezwał któryś Marekwicowego Pawła, który przybiegł z długimi widłami do podawania siana na wóz.

Wezwany chciał bez namysłu wykonać polecenie, ale, nim podniósł widły, Benke zdążył się wyżej posunąć i uniknąć losu barana na różnie. Widząc, że będzie tem bezpieczniejszy, im bardziej oddali się od ziemi, wyszedł pod sam wierzchołek drzewa i stamtąd dopiero odważył się na pertraktacje.

— Ludkowie złoci, jo przeca nie jest djoboł.

— Nie djoboł, jeny lucyper! — odrzekł ktoś.

— Jakto? Czy nie widzicie, żech jest jegier?

— Naprowadę — stwierdziła zdumiona jakaś kobieta — podziwejcie sie jeny dobrze, dyć to jest jegier.

— Jegier, jegier! — ozwały się głosy — ten mały z krzywemi nogami, ten spórok!

— Ale kataćteżtam jegier! — rzekł stanowczo Zwyrtek. — Przeca mo końskie kopyto na jednej nodze, rogi też mo schowane pod czopką, a jaki mo długi ogon!

Biernot wtrącił się i zauważył.

— Koniec ogona dżierzy w paszczęce, tak jakby se fajfkę pykoł.

— Toć, toć, parcie jeny, co też to za sztuwe-rok! — zawołał ktoś.

Powstały formalnie dwa obozy; jedni widzieli djabła, drudzy jęgra, ale i ci ostatni dali się łatwo przekonać, że to prawdziwy djabeł, tylko się w jęgra przemienił. Nie pomogły prośby ani groźby Benkego. Niejednokrotnie miał duszę na ramieniu, bo śród

chłopstwa powstawały różne propozycje przeciwko niemu.

— Wiycie co, roztomili ludkowie, — zaproponował Kucz — domy mu rady, jeny przyniście osękę. Bydemy trzepać gałęzią, to berdyjo spadnie, jak chrobaczo płonka. Nadstawimy widły, to sie nażgo, a cepem mu przejademy po puklu.

Zwyrtek kontynuował pierwotny pomysł.

— Nejlepi zerznijmy to drzewo, to spadnie wroz z drzewem.

— Wody święconej trzeba przyniść — radziła jakaś kobieta — gichnąć mu do blyszczy, to oślepie, paskudnik zatracony.

— Jest tu zatela gibczoków — stwierdził Biernot — niech kiery wylezie na drzewo i łapnie go za hyrtoń.

Wmig znalazło się kilku ochotników, ale Zwyrtek powstrzymał ich zapał.

— Z djobłem zawdy lepi zdaleka. Podziwejcie sie, jakie mo krzywe pazury, niechby tak zadropnył, to amen.

— Słusznie wy godocie! — przytaknął ktoś — święcono woda nejlepiby mu poradziła.

Myśl pacyfistyczna ogarnęła nagle wszystkich, bo chłopom nastroje udzielają się masowo i raptownie, jeżeli padną na stosowny moment. Takim hasłem stały się słowa starego Chwoły, który się ozwał:

— Chłopi, co wom powiem, to wom powiem, ale wom powiem. Mosz pokój, dej pokój! Niech robi, co chce, my pódźmy swoją drogą!

Ozwały się głosy uznania i cała gromada byłaby się zabrała do odejścia, gdy wtem przyniesiono z najbliższej chałupy butelkę wody święconej.

— Teraz się nie musimy boć, bo święcono woda go poli, jak ogień — oświadczył Zwyrtek — i on som ucieknie od nos.

Po wielu pomysłach zgodzono się wreszcie na to, że będzie się polewać kamyki wodą święconą i rzucać niemi na djabła. Niebawem też poczęły wylać w górę kamyki, przeważnie płaskie i okrągłe, takie, jakimi chłopaki puszczają na wodę „kaczki”. Pierwszy trafny strzał wywołał huragan śmiechu i zadowolenia. Benke doznał co najmniej takiego uczucia, jak djabeł w święconej wodzie, i zaczął rozpaczliwie krzyczeć.

— Aha, czuje, że niepeć — skonstatował Kucz.

— To jest prawdziwy djabeł, bo się boi święconej wody — potwierdził inny.

— Jak się kurczy, brrr! — zauważyła któraś kobieta.

Tak to zachęciło młokosów, że wszyscy rzucili się po kamyki do pobliskiej Wisły. Wtedy Benke, nie mając innego wyjścia, postanowił się bronić w myśl przysłowia, że kij ma dwa końce. Z całych sił począł krzyczeć.

— Pierony, hromy, bestyje, krucafiks, donerweter, joch jest prawdziwy djabeł, ze samego spodku piekła. Jak mi jeszcze kiery co złego zrobi, to go zasmyczę do lucypera i będę go polił w smole. Już ślazuję i łapnę se kierego, sakra, pierony hromskie, basamtaremtete!

Rzeczywiście począł gwałtownie schodzić. Wtedy w tłum padł lęk i najtrwożliwsi poczęli zmykać, a za nimi inni. Zwyrtek i Biernot nie podzielali bynajmniej ogólnego przerażenia, ale uznali tę chwilę za stosowną do skończenia komedji i poczęli również wyrywać naprzedbityżki. Ażeby sprawę jeszcze bardziej zagmatwać, udawali nadmiernie przerażonych i dzikim krzykiem wzywali do ucieczki przed djabłem.

Benke odetchnął, ale jeszcze dobrze się namyślił i rozejrzał po okolicy, zanim zlął na ziemię. Unikał, o ile możności, osiedli ludzkich, wracając do domu, a gdy mu przypadło koniecznie przejść koło chałupy, słyszał, jak skrzypiały zapory drzwi, a przez szyby pozamykanych okien wpatrywały się w niego zaciekawione oczy starszych i dzieci. Spojrzenia te kłuły go, choćby żądła ós, i czuł, jak puchnie na całym ciele od ich ukąszeń, a najbardziej paliły go policzki. Złość i wstyd doskakiwały do niego, jak dwa wściekłe psy i szarpały go gwałtownie. Musiał się mocno opierać, aby go nie zwały z nóg.

— Głupia historia — wyrzekł do siebie półgłosem i splunął ze złością. Im więcej myślał o tem zdarzeniu, tem bardziej upewniał się w przekonaniu, że sytuacja jest bez wyjścia. Chciałby poruszyć ziemię i wszystkie planety, aby się zemścić, ale czuł, że nie osiągnie prawdziwego zadośćuczynienia. Nie był w służbie i tylko z nadmiaru gorliwości znalazł się w strefie nadgranicznej, więc komendant posterunku nie wysiliłby się na dochodzenie jego honoru, no i kto wie, jakby w tej sprawie postąpiły także

władze wyższe, tem bardziej, że nie było to w związku z żadnym przemysłem. Na wypadek jakich dochodzeń zeznania chłopstwa mogły być różne, a gdyby nawet jemu tylko dano wiarę, w co nie wątpił, to jakże się tu do wszystkiego przyznać? Byłby tak ośmieszony, że władze musiałyby go przenieść. Zaczął się wprawdzie bawić myślą o tem przeniesieniu, jak młody kot żywą myszą, przyniesioną przez starą kocicę, ale wnet wzdrygnął się, gdy uzmysłowił sobie powody takiego przeniesienia. Benke doszedł do wniosku, że musi to znieść jako cichą ofiarę swojego ważnego zawodu i poświęcenia dla najjaśniejszego cesarza.

Gdy wrócił do domu, nie wspomniał ani słówkiem o swojej przygodzie i położył się wcześniej do łóżka. Nie mógł jednak długo zasnąć z irytacji. Przypomniały mu się teraz instrukcje, jakie otrzymał przy wysyłaniu go do posterunku w Podjaziu, i zdanie władzy, że z tamtejszymi ludźmi można postępować zupełnie samowolnie, gdyż to jest ciemne bydło podrzędniejszego gatunku i pochodzenia, a należy im dokuczać, aby ich nauczyć porządku, bo są niesforni i bezczelnie głosują przy wyborach na kandydatów polskich. Benke nie mógłby się w tej chwili zgodzić ze zdaniem władzy o ciemnocie i podrzędniejszym gatunku tych chłopów, którzy umieli postępować tak sprytnie i przebiegle.

Uzupełnieniem tych smutnych myśli były przyjemne sny w nocy, które rodziły się w mózgowicy Benkego. Śniło mu się, że łapał przemytników, jak ryby do saku, przyczem były to same grubsze ryby

ze wsi, i wszyscy, jak na komendę, przemycali takie artykuły, które stanowiły monopol austriacki i przez to podlegały specjalnie wysokiej taryfie przemysłowej.

Tymczasem naprzekór tym snom przez cały tydzień nie nadarzyła się okazja. W ciągu tygodnia sprowadził Benke na posterunek zaledwie dwie stare baby, których złapanie nie przyniosło mu wcale triumfu. Gdy je przytrzymał, zresztą bez najmniejszego wysiłku, jedna miała tylko śledzia i cykorję, druga zaś tobołek z różnemi drobiazgami. Sprowadzenie ich na posterunek było prawdziwą męczarnią. Nie stawiały wprawdzie oporu, ale okazały się inne trudności. Przedewszystkiem wlekły się denerwująco.

— Idźcie prędzej, nie belączcie się, jak na Kalwaryją!

— Ej, panoczku, taki gryfny gibczok, jak oni, to może iść rażno, ale my są stare — zareagowała Zajączkula. A Mrzyczka dodała.

— Oni jeszcze nosili zrośloki, kie my już szwercowały.

Zajączkula chciała koniecznie pociągnąć strażnika za język i nawiązała szybko do jego odezwania się.

— Nale, nale, kucialejki, parcie jeny, parcie, panie jegier, nie byłabych myślała, że są tacy porządni i że też chodzą na Kalwaryją. Je to piyknie z jeich strony, no, no, dyć tak, tak, panie jegier. Ponbóczek im bydzie bogosławił, a jakże, na chudobie, na dzieciach, na dobytku.

— A są oni żonaty, czy jeszcze swobodny? — wtrąciła się Mrzyczka.

Strażnik wcale się na to nie odzywał, tylko od czasu do czasu przynaglał do pośpiechu, a uważał ciągle na tobołek, bo zwyczajem złapanych przemytników było odrzucanie towarów, w rezultacie czego puszczano ich z przekleństwami z posterunku dla braku dowodów. Nauczeni doświadczeniem strażnicy nosili zwykle sami toboły, jednak w tym wypadku uznał Benke tę przeczność za niepotrzebną.

Nareszcie stanęli u celu. Benke doniósł o tem komendantowi posterunku i przystąpiono do spisania protokołu. Kobietom teraz nadobre rozwiązały się języki.

— Chwała Bogu, że my już tu są — odezwała się Mrzyczka.

— Dlaczego? — spytał komendant.

— Bo już nie pójdemy dali.

— To je straszne, żeby tak tryźnić niewinnych ludzi — biadała Zajączkula.

— Verfluchte Bande! — krzyknął Benke — jo wom dom niewinnych! A w chustce mocie cukier, kawę i insze rzeczy.

— Co za cukier? jaką kawę? Jo przeca nic nie szwercuję — oburzyła się Zajączkula.

Na te słowa wściekłość ogarnęła Benkego, rzucił się, jak kot na mysz, wyrwał tobołek z ręki kobiety i cisnął go na środek stołu ze słowami.

— A to co?

W tejże chwili stało się coś nadzwyczajnego. Zapanowała cisza i konsternacja. Przerwała ogólne

milczenie Zajączkula, oświadczając krótko, z niewinną i pokorną miną.

— Siano...

Benke podskoczył, rozwiązał tobołek i okazało się, że było tam tylko siano, które w całej okazałości leżało na stole i roztaczało przemiłą woń świeżo skoszonej łąki.

— No, panie reszpicyjent — zwróciła się do komendanta Zajączkula, — czy to nie jest siano?

— Siano — odrzekł tenże z pewnym wysiłkiem, bo zanadto drgały mu kąciki ust. Następnie wzrok pytający zwrócił do Benkego, dając mu do poznania, aby wyjaśnił tę sprawę.

Benke zaklął siarczyście i rzucił się na Zajączkulę:

— Jakto siano? Kiedyście to zrobili? Jo przeca nie jest ślepy. Widziolech towary i czułych pod palcami, że tam były twarde przedmioty.

— Ale, panoczku, — zaczęła perswadować Zajączkula — oni mają niewyrobite rączki, taki księżowski, tóż sie im siano wydowało twarde, ale to naisto było siano.

— To wy aż z pruskiej strony potrzebujecie nosić siano?

— Na, toć, bo tam jest lepsze, jak bai tabaka. A, prawie, dobrze, że mi przypomnieli. Porę kroków za nami szoł chłop, a niós miech tabaki na ramieniu, samej presówki. Szkoda, że sie łogawili z nami, bo, kieby byli kapkę poczkali, byliby go łapnęli. Wdo to widzioł chytać baby ze sianem, a puszczać chłopów z tabaką?

Następnie w sąsiednim pokoju poddano obydwie kobiety rewizji cielesnej, której dokonała pani komendantowa. Rezultatem jej było znalezienie u Mrzyczki cykorji, niestety już nie całej. Zapytana Mrzyczka oświadczyła, że część cykorji zjadła, bo bardzo lubi czekoladę, a że jest biedna, więc zamiast czekolady zajada cykorję, która też jest czarna, także gorzka i tak samo smakuje, a jest znacznie tańsza. Ostatecznie odstąpiono od spisania protokołu i wypuszczono obydwie kobiety. Następnie odbyła się pogawędka urzędowa, po której Benke miał mocno wydłużony nos. Rozmyślając nad tem, doszedł Benke do wniosku, że tu nawet baby nie są wcale głupie, jak sądzą władze, a tylko udają takie.

Już następny dzień omal mu nie przyniósł rehabilitacji i rekompensaty. Zatrzymał się, jak zwykle, w bliskości najruchliwszego odcinka, między herokową a suplikową ławą. W tych dwu punktach były na Wiśle tratwy, służące oficjalnie dla celów gospodarskich, gdyż za rzeką rozciągały się wąskim pasem posiadłości Heroka i Supliki, aż do starego koryta Wisły, które stanowiło granicę. Częściej jednak niż właściciele korzystali z tych tratw przemysłowcy. Benke zauważył koło Heroka jakiegoś kręcącego się mężczyznę. Domyślił się łatwo, że to wachtorz na niego i że niedługo pójdzie tędy przemysł. Odsunął się więc od tego miejsca tak, aby to było widoczne, a następnie chyłkiem powrócił przez zagajnik olchowy i znalazł się między zabudowaniami gospodarskimi. Spojrzał za rzekę i spostrzegł wychylające się z poza pruskiego wału głowy ludzkie. — Aha —

pomyślał sobie — czekają na przejście, a ten tu bada atmosferę. Równocześnie usłyszał bliskie kroki. Zrozumiał, że gdy zostanie zauważony, wszystko przepadnie, że więc musi się w tej chwili zapaść w ziemię, aby za parę minut wyrósć z niej nagle i capnąć ofiarę. Podświadomie niemal przysunął się do ściany tak, jakby chciał spłaszczyć się do niej. Wtem, o dziwo, ściana poczęła się usuwać. Były to drzwi chlewka, nie zamknięte, bo chlewek był pusty. Benke wyzyskał sytuację nagorąco i znalazł się w środku. Delikatnie przymknął drzwi i czekał. Koło tych drzwi prowadziła ścieżka od tratwy, a było to najbardziej osłonięte budynkami przejście. Tędy będą napewno przechodzić. W tejże chwili posłyszał rozmowę dwu męskich głosów.

— Zdowało się mi, że tu szoł.

— Gdo?

— Jegier.

— Ale kataćteżtam. Jo tu przeca był, tobych go był widzioł.

Głupie chłopy, pomyślał Benke, nawet mnie nie zauważyli. Ze swej kryjówki nie widział on, jak ci chłopi szeptali sobie coś przez chwilkę. Następnie zbliżyli się do samego chlewka.

— Schowejmy się tu, żeby nie budzić podejrzynio, jakby paskuda był kędy dali.

— Tu go nima. Teraz przeńdą śmiało — oparł drugi, przyczem, jakby przypadkiem, oparł się ledwie-ledwie o drzwi chlewka. Aby się nie wydać, Benke zaparł dech i przytrzymał lekko drzwi, by się nie poddawały.

— No, już są przy pletnicy, możemy się teraz pokazać — ozwał się jeden.

— Teraz już jest zabezpieczone — skonstatował drugi.

Nagle ozwał się jakiś głos.

— Nima tu kaj jegra?

— Nima... — brzmiała odpowiedź. — Był tu ten mały spórok na krzywych nogach, ale poszoł. Możecie śmiało iść.

Więc jednak go ktoś zauważył, pomyślał Benke, ale myśl ta została przytłoczona innemi. Strażnik rozkoszował się myślami o tej chwili, gdy nagle otworzy drzwi i łaps. Miał nawet zamiar już je trochę uchylić, ale obawiał się, by się to nie stało przedwcześnie, bo ciągle jeszcze kręcił się ktoś tuż obok. Słyszał wyraźnie plusk wody przy przepływanu tratwy wpoprzek rzeki, następnie zadudniły liczne kroki, zbliżające się do niego. Gdy czuł, że już nadbiegają, szarpnął nagle drzwiami, lecz bezskutecznie, bo były dobrze zaryglowane odzewnątrz.

Szarpnął drugi raz, trzeci — i nic. Można sobie wyobrazić, co się wtedy działo w jego duszy. Robił wrażenie rozjuszonego byka, zaplątanego w sieci. Kopał i bił kolbą w drzwi, darł się nieludzko, ale wszystko to nic nie pomogło.

Tymczasem znalazł się tam także Zwyrtek, a dowiedziawszy się pobieżnie o wszystkim, postanowił nie tak prędko pozbyć się tej nadzwyczajnej sytuacji. Gdy przeszli istotni przemytnicy, którzy mieli zaledwie trochę drobiazgów, postanowił Zwyr-

tek zaaranżować dalszy ciąg. Stanął na wale i zawołał.

— No, chłopci, teraz drugo partyjo, wio, a po gibku!

Potem słyhać było znów ruchy tratwy i jakieś osoby przebiegły koło chlewka. W myśl wskazań Zwyrтка okoliły one zabudowania i wróciły do tratwy, a na komendę znów przebiegły, rzekomo z przemytem, koło chlewka... i tak powtórzyło się to kilka razy. Zwyrtek rzucał ciągle jakieś uwagi pod adresem przemycających.

— Francek, ty klipo stowierutno! — wołał — nie wiysz, jak sie chodzi na szwerc? On se niesie dwie głowy cukru pod pażą, jakby dwie ćwikle. A kieby cie tak jegier gonił, jakbyś to z tem uciekoł? Dyc bai ten mały srajtek z krzywemi nogami by cie drapnął. To sie niesie w miechu abo przewiązane porwozem bez ramię.

— Cóż tam macie w tym miechu? — indagował znowu. — Na, berdyjo, tela kawy! To isto na handel, boby tego przeca cało familijo nie zjadła ani za sto roków.

Któryś odezwał się rezolutnie:

— Ale ni. Dyc to na wiesieli. Bo wycie, jo sie żenie i tózech sie ze wszystkimi družbami, a bydzie ich sześciu, wyprawił po zakupy na pruską stronę. Wszyscy my se pokupili na szaty fajnego sztofu, dlo bob też, jedzenio na całe wiesieli, a jo se też kupił złote pierścionki ślubne. Wydali my wszyscy razem gromadę piniędzy.

— Basamta — zauważył Zwyrtek — na to wiesieli toście powinni zaprosić jegrów, a zwłaszcza tego małego gizda. Jakby se pojod szwercowanych kasków, toby może trochę podros.

— Mógby sie otruć, bo to dło niego pewnie trefne.

— Nima już tam nikogo? — spytał Zwyrtek.

— Nima — odpowiedziano.

— No, to uciekejcie z Panem Bogiem!

Benke przez cały ten czas próbował rozwalić chlewek, posługując się bańnetem, ale budowa była za solidna. Najbardziej irytowało go to, że nikt zewnątrz nie reagował wcale na jego wysiłki. Nie zwrócono zupełnie uwagi, jak gdyby wszyscy byli zupełnie głusi. Zdecydowany już był na wszystko, na pogodzenie się z wypuszczeniem takiej gratki z przed nosa, na możliwe naigrawanie nawet, byleby tylko wyrwał się z tej więzi. Powietrze było tu tak silne, jak w perfumerji, tylko jego nasycenie było innego rodzaju, a wysokość więzienia była nieco uciążliwa. Ażeby mógł stać swobodnie, musiał zdjąć czako, ilekroć zaś rzucił się gwałtowniej, dochodziła głowa do bezpośredniej styczności z powałą. Tem łatwiej jednak znosił różne przytyki do jego wzrostu, że w danej chwili odczuwał jego korzyści.

Po pewnym dopiero czasie, gdy się zdawało, że już wszystko ścichło, posłyszał Benke zainteresowanie się jego osobą.

— Co tak dzisiok — odezwał się jakiś głos — ty herokowe świnię krółą?

— Dyc nie króla, jeny kwiczą na cały pysk — poprawił drugi.

— Słyszycie, jak jedna bantuje po chlywku, kieby operyjosz.

— Ani dziko świnia nie poradziłaby narobić tela krawalu.

Benke uderzył w pokorny ton i zaczął prosić o wypuszczenie, wyjaśniając, kim jest.

— To nima możne, aby to był jegier — zakonkludował ktoś. — Pocóżby tam loz?

— Hm, natura ciągnie wilka do lasu, — odparł drugi — ale jo tam wolę nie dowyrzać. Wdo wiy, co za czechmon tam siedzi?

— Słusznie, lepi nie igrać z djoskiem.

— Zmykejmy zawczasu!

— Toć zmykejmy!

I czmychnęli.

W niedługi czas potem przechodziły jakieś kobiety, ale i te wyraziły podobne niedowierzanie i poszły swoją drogą. Jedna zauważyła.

— Dyc go tam żoden nie prosił. Kie wloz, niech siedzi!

Dopiero po upływie trzech godzin wrócili do mownicy z pola. Nie zdziwili się wcale przybytkiem żywego inwentarza, bo nie był to pierwszy wypadek tego rodzaju, i pozbyli się go z lekkim sercem.

Ilekroć Benke obmyślił jakiś plan działania, który uważał za niezawodny, zawsze chłopci go unicestwili. W jego ręce wpadła od czasu do czasu co najwyżej jakaś kobieta lub dziecko z odrobiną to-

waru. Zczasem zwątpił już w możliwość wydeptania na tym posterunku ścieżki do karjery.

Najbardziej włązili mu w kapuszę Biernot i Zwyrtek. Jak tylko zauważył któregoś z nich na granicy, wiedział, że się zanosi na przemyt i że zostanie wywiedziony w pole. A oni urządzili sobie z tego sport i dokuczali mu, jak tylko mogli.

Pewnego razu obmyślili następującą zabawę.

Było to w niedzielę po nieszporach. Biernot i Zwyrtek zebrali kilku młodzieńców, łasych na figle. Przeszli wbród przez rzekę, a wszyscy byli boso, i za pruskim wałem zgromadzili się naprzeciwko suplikowej ławy, blisko której siedział, ukryty w krzaku wikliny, Benke. Tam jedni napchali siana do worków, drudzy porobili toboły, a któryś przyniósł dwa papiery z głów cukru. Były to półsztywne tektury, koloru jasnoniebieskiego, t. j. pruskiego pochodzenia, które wypełnione sianem i obwiązane naleźycie sznurem, a następnie przewieszane przez ramię, robiły wrażenie prawdziwych głów cukru. Następnie rozpoczęła się zabawa według opracowanego planu, nazwana przez uczestników gonitwą.

Najprzód poszedł całkiem starszy chłop. Przewiózł się na trawie, a gdy przechodził koło strażnika, zagadnął go nibyto przygodnie.

— Ej, panie jegier, oni tukej wachują, a tam prosto na Heroka polą szwercyrze.

Strażnik wyskoczył, jak zbudzony nagle zając, wpatrzył się bystro i rzeczywiście zauważył, jak ktoś zbiegł pędem z wału pruskiego ku Herokowi. Nie tracąc ani chwili, udał się tamże. Gdy przebiegł

więcej jak połowę drogi, rozległ się mocny gwizd blisko suplikowej ławy. Strażnik obejrzał się i zdębiał. Był tak oszołomiony tym widokiem, że zdawało mu się, iż widzi niezliczone tłumy przemytników. Jak wojsko, pułk za pułkiem, zbiegali z pruskiego wału, a każdy był porządnie objuczony. Oczywiście tak się to przedstawiało, widziane oczyma granicznego strażnika skarbowego, bo w rzeczywistości było tam kilku młodzieńców, którzy szli według dobrze wyreżyserowanej taktyki gęsiego, w pewnych odstępach. Gdy pierwszy był blisko rzeki, zatrzymał się i poczekał na resztę. Następnie całą gromadą zbliżali się do tratwy. Benke zastanawiał się, jak postąpić. Czuł, że mu nie będą wpadać w ręce, jak komary w gardziel, i postanowił przeczekać w pewnej odległości.

Gdy pierwsza część przemytników wyszła z tratwy na spadzisty brzeg, począł się szybko zbliżać koło wikliny do nich. Dziwił się, że są tak nieostrożni, i już miał krzyknąć: halt!.. gdy wtem został uprzedzony:

— Chłopczy, nogi na ramię, bo jegier!

Strażnik doznał takiego uczucia, jak gdyby najrozkoszniejsze marzenie same poczęło ulatać, wyciągnął automatycznie ręce, potem wyprostował nogi, jak tylko mógł, i z powtarzaniem częściej okrzykiem: halt! pobiegnął za uciekającymi.

Gonitwa odbywała się przewidzianą zgóry trasą, której jednak nie znał ścigający. Po pewnym czasie uciekający niemal równocześnie przesadzili rów,

a po przebiegnięciu pewnej odległości zatrzymali się wszyscy i, odwróciwszy się, czekali widocznie, jak sobie Benke da rady z rowem.

Benke nie mógł się nadziwić, że potrafią tak szybko uciekać z takimi ciężarami. Bezcelnie zaciekawione twarze, wypatrujące jego skoku przez rów, wywołały w nim ostatnią pasję. Kurczowo odsuwał ręce jak najdalej od cyngla karabinu, bojąc się, by go djabeł nie skusił do nieszczęścia. Byłby wypalił do któregoś z większą rozkoszą niż do zająca. W głowie mu wirowało, nie widział przed oczyma nic, tylko roześmiane gęby, i nie był zdolny pomyśleć o niczem innym, jak tylko o tem, że musi złapać któregoś.

Gdy się znalazł nad rowem, bez zastanowienia przerzucił karabin, a następnie z rozpędem poddał się wprzód. Dotknął zaledwie drugiego brzegu i po śliskim błocie nogi zsunęły mu się wdół i zamoczyły się po kolana.

Na szczęście rękami uchwycił się trawy i zdążył się prędko wygramolić, ale nogi od kolan ciążyły mu, jak ołów.

W pierwszej chwili buty ślizgały się po trawie, jak pijany na lodzie, ale Benke nie zrażał się tem i rozpoczął się dalszy ciąg gonitwy. Teraz skierował swój pościg zdecydowanie za jednym. Był to młody parobczak, a dźwigał pełny wór towarów. Po kształcie worka poznał Benke, że są tam jakieś rzeczy twarde, a zapewne i ciężkie, nie tytoń naprzykład, bo kanty ich mocno się wrzynały w ściany worka.

Rzeczywiście parobek ten zostawał coraz bardziej wtyle poza innymi i malała odległość między nim a ścigającym. Równocześnie jednak zbliżało się drugie niebezpieczeństwo, mianowicie ściana lasu, w którym pościg byłby zupełnie chybiony. To też, gdy pierwsi uciekający zaszyli się w gąszcz, a ten ostatni na kilkanaście kroków przed lasem porzucił przemyt, Benke odetchnął, bo miał przynajmniej perspektywę zdobycia towaru, skoro już złoczyńcy uszli. Resztkami sił dopadł do zdobyczy i rzucił się na nią, jak zgłodniały pies na kielbasę. Jakież było jednak jego rozczarowanie, gdy skonstatował, że worek jest zupełnie próżny, a kształt plastyczny nadają mu pręty, umieszczone wpoprzek worka w różnych kierunkach i wysokościach. Zrozumiał teraz, że z takim ciężarem można biec prędko. Ogarnęła go rozpacz. W bezsilnej złości usiadł obok zdobyczy, zalewając się potem.

Niedługo już trwały jego męczarnie na tym odcinku. Przy jednym pościgu ukrył, jak nieraz, karabin w krzaku, by mu nie przeszkadzał w biegu, a gdy wrócił, już go niestety nie znalazł.

Władze nie mogły zrozumieć, żeby strażnik mógł postradać w służbie karabin, i w krótkim czasie został Benke przeniesiony z powodów prestiżowych.

Opuszczał tę placówkę bez żalu, bo czuł, że nic tu nie zyskał, a wiele stracił. Woźnica, który odwoził rzeczy na stację kolejową, powtórzył mu powszechne zdanie o przyczynie jego przeniesienia.

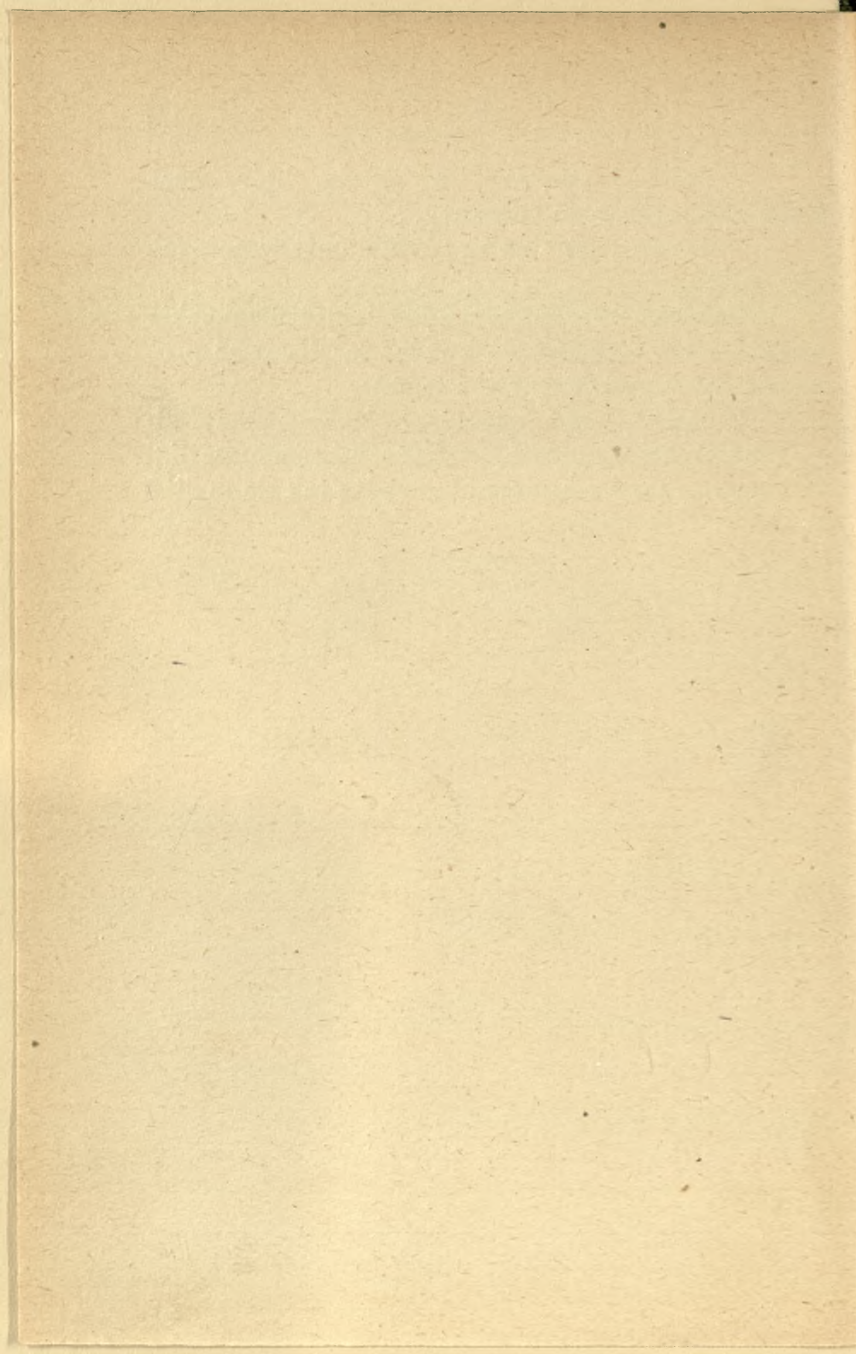
— Wiedzą, panie jegier, bez co muszą iść stela?

— No? — zaciekawił się Benke, który wcale nie miał ochoty do rozmowy.

— Bez to, że oni mają za krótki nogi na naszych szwercyrzy.

Ponieważ strażnik wyrzekł jakieś niemieckie przekleństwo, woźnica nie uważał za stosowne prowadzić dalej rozmowy na ten temat.

Po chwili Benke westchnął ciężko i pomyślał: — I takie cholery uważają władze za minderwertig! Jak mogą cesarsko-królewskie władze tak się mylić?



SZPIEDZY.

Strach zawsze ma wielkie oczy, ale już największe chyba miał na początku wojny światowej w roku 1914.

Do zabiegu kraju odgłos wojny wcale nie dochodził, a wiedziano o niej tylko dzięki ogólnej mobilizacji. Kto zaś chciał zaobserwować wojnę zbliżającą się, ten udawał się na stację kolejową do Chybia i patrzył, jak na wschód wiozły pociągi żołnierzy w nowych uniformach, którzy byli tak smutni, że im nic innego nie pozostało, jak tylko śpiewać wesoło i śmiać się do cywilnych gęb na stacji.

Oprócz smutku mieli także powód do niefrasobliwej radości. Toć był to jedyny okres w życiu, że nie potrzebowali się zupełnie troszczyć o swój los, bo o to troszczył się ktoś inny, a w rzeczywistości nikt się nie troszczył. Gdy w niedługi czas potem na zachód poczęły przejeżdżać pierwsze pociągi z rannymi, widzowie mogli się przekonać naocznie o grozie wojny. Wielkie wrażenie robiły już same wagony ze znakami czerwonego krzyża, a pokazanie się w oknie żołnierza z obandażowaną głową wywoływało dreszcze. Potem kolej dostarczała jeszcze bardzo ciekawego widowiska; były to pierwsze trans-

porty jeńców rosyjskich. Gdy wieść o tem rozeszła się, a raczej — żeby użyć odpowiedniejszego określenia — rozkusociła się po okolicy, tłumy ludzi mimo rześatego deszczu zaległy dworzec chybski w najbliższą niedzielę po południu.

Groza wojny na odległość spotęgowała się jeszcze, gdy do każdej wsi przyszły posterunki żołnierzy dla pilnowania mostów. Byli to landszturmiści, przeważnie starsi, którzy w zgrabiałe ręce z trudem mogli ująć karabin, a obchodzić się z nim niebardzo umieli. Stali przy moście, z jednej i drugiej strony, i rozmyślali o pracach gospodarskich na swoich roślach, o żywym i martwym inwentarzu, o rodzinach.

Pewnego dnia gospodarz i kołodziej w Zarzeczcu, Franciszek Koterla, wysłał swojego syna, ucznia gimnazjum cieszyńskiego, do Chybia, aby w nadleśnictwie zakupił wybrane w lesie drzewo do robót kołodziejskich. Jurek wybrał się tam rowerem, a dla wygodniejszej jazdy w upalny dzień przywdział mundurek skautowski, tem bardziej, że na wieczór tego dnia przewidziane były ćwiczenia harcerskie, w których mieli wziąć udział trzej przebywający na wakacjach uczniowie gimnazjalni.

Jurek załatwił sprawę w nadleśnictwie i otrzymał pokwitowanie zapłacenia, zaopatrzone pieczętką z napisem „Erzherzogliche Forstverwaltung Chybi“, a zawierające oprócz daty następującą treść: Drei Birken, nr. 17, 18, 19, bezahlt. Ponieważ pogoda była ładna, postanowił Jurek pojechać drogą okrężną przez Landek, Bronów, Ligotę, Zabrzeg. W Za-

brzegu wypadło mu przejechać przez podkop kolejowy. I tu czekała go odysejska przygoda.

Podkopu pilnowali dwaj rezerwiści. Ten, który stał po stronie południowej, rozmyślał nad tem, że właśnie w tym okresie czasu miała mu się ocielić krasula. Martwił się, czy baba da sobie rady z tym wyczynem krasuli i jaką dziurę załata utarżonym pieniądzem. Był tak zamyślony, że dopiero w ostatniej chwili zauważył nadjeżdżający rower. W okamigu zerwał karabin z ramienia, wycelował i na cały głos wyrecytował wyuczone na taki wypadek słowa.

— Halt! Wer da?

Widząc taką zdecydowaną ofensywę, Jurek zeskokczył z roweru i wyczekiwał, co nastąpi dalej. Wtem doskoczył także drugi wartownik i obydwaj zaczęli Jurka wypytywać o rodowód, cel podróży, strój i różne znaki szczególne. Wszelkie wyjaśnienia przyjmowali jednak sceptycznie i żądali bezwzględnie okazania dokumentów, twierdząc, że jak ma papiery, to dobrze, a nie, to jest szpiegiem.

Jurek był w niezmiernym kłopotcie, bo żadnych dokumentów nie miał przy sobie. Przejechał już koło niejednej takiej placówki, a żadna go dotychczas nie zatrzymała. W ostatniej chwili poszedł po rozum do głowy. Wyjął jedyny papier, jaki miał przy sobie, mianowicie pokwitowanie zapłacenia z leśniczówki. Myślał, że przy jego pomocy uda mu się uwiarygodnić cel jego jazdy. Ale żołnierz wyrwał mu ten papier ze słowami, że szpieg może mieć fałszywe papiery.

Następnie obydwoj żołnierze zabrali się do studjowania dokumentu. Było to istotnie studjum, połączone z wysiłkiem, a Jurek, który już przedtem zwrócił uwagę na mazurzenie obydwu żołnierzy, przekonał się teraz, że nie znają zupełnie języka niemieckiego, a czytanie jest dla nich sztuką, bardzo słabo opanowaną. Najpierw uznali dokument za autentyczny z powodu pieczętki, jaką posiadał, a następnie z mozołem odsylabizowali pierwsze dwa słowa. Drugie słowo rozjaśniło widocznie horyzont ich wątpliwości, bo padło stwierdzenie:

— Aha, to ta wieś się nazywo Birken.

Jurek w pierwszej chwili zamienił się w słup soli, następnie chciał parsknąć śmiechem, ale zdławił w sobie śmiech i, wyczytawszy na twarzach austriackich obrońców kraju, że to nie jest austriackie gadanie, ale aleksandrowskie rozwiązanie węzła gordyjskiego, odpowiedział zdecydowanie:

— Tak jest.

— Cemu pon tak nie godo odrazu?

Zwrócony dokument uścisnął Jurek czule i odjechał prędko, z obawy, by nie postyszał za sobą wołania. Zdawało mu się, że jest bohaterem jakiejś bajki, to znowu, że go napadło senne marzenie. Dopiero, gdy bez przeszkody przejechał most na potoku, który także był pilnowany, odetchnął swobodnie, a gdy za parę minut znalazł się w domu, wtedy dopiero począł się śmiać.

Im bardziej oddalał się chłopak w podejrzanym mundurze, tem swobodniej czuli się także rezerwiści.

— A ja wam powiadom, że to jednak był śpieg — ozwał się po chwili jeden.

— Taki młody? — wyraził powątpiewanie drugi.

— Właśnie taki, zeby było trudnij poznać. A może był na młodo pomalowany.

— Jobyk nie myślał, bo miał papiery z pieczętkom — stwierdził drugi — a zrestom, jak był, to był. Lepiej nie mieć nic do cynienia z takim cłkiem.

— Słusnie mówicie! Jak był śpieg, to chwała Bogu, że sobie pojechał.

— Chwała Bogu.

Po obiedzie czynił Jurek przygotowania do wieczornych ćwiczeń skautowskich. Był on zastępowym w tem gronie, jako najstarszy, bo skończył czwartą klasę, a Bartecki dopiero trzecią, zaś Kurpas drugą. Musiał więc obmyślić wszelkie plany strategiczne według naszkicowanej już przedtem mapy terenu. Na ćwiczenia miała się złożyć musztra, potem podchodzenie, a wreszcie obozowanie, połączone z kuchnią polową.

Głównym punktem ćwiczeń miała być siedlorzowa olszynka. Był to mały lasek, złożony z około stu olch starych, i zagajnik olszowy. Od północy był wał, a kilka kroków za nim Wisła, od zachodu ciągnął się staw, od południa był szeroki rów, odprowadzający wodę ze stawu, a jedynie strona wschodnia była łatwo dostępna, ale i tam były sztuczne obwarowania w postaci zabudowań gospodarskich Siedlorza, które przylegały bezpośrednio do olszyny. Było to wymarzone miejsce na manewry, niemal

twierdza, która się prosiła o to, aby ją zdobywać. Nadmienić jeszcze trzeba, że w środku była polanka, jakby celowo zrobiona na obóz. Zaletą tego terenu był także brak domów w bezpośredniem sąsiedztwie, oprócz wspomnianego już Siedlorza. W pewnej odległości mieszkali: Rożek, Kuczek i Cykała.

Pod wieczór rozległa się na łące Koterli pobudka, wygrana na trąbce strażackiej, a po niej nastąpiła musztra. Gdy to usłyszał i zobaczył pasterz Koterli, Francik, pasący krowy na powrozie, nie mógł wytrzymać i coraz bardziej posuwał się w stronę domu, a następnie kołował wpobliżu. Aby to gospodyni zauważyła i uznała za stosowne wprowadzenie już krów do stajni, zaśpiewał donośnie.

Helo, helo, ku domowi,
Bo sie chce jeść pastyrzowi.

Gdy to Koterlina usłyszała, wyjrzała oknem i skarciła pasterzyka.

— Cóż ty tak kolędujesz kole chałupy? Dyc jeszcze hoho ku wieczorowi, a ciebie już tu świńsko noga przyniosła.

— Gaździno, jo już muszę zawrzyć, bo na mie trąbili.

— Jo ci zatrąbię abo zabębnię po galatach!

— Muszę iść tam, ku Jurkowi.

— Ty stomilijątniku zakichany! Parcie go jeny, czego mu sie nie zachciywo!

— Dyc mie sie nie zachciywo, jeny mi Jurek pedzioł, że im bydę pumogoł, tóż mu przeca ni mogę odmówić.

— Żebych ci nie pumogła na skórę! Pakuj z krowami od chałupy! Ciąg, a już!

Wobec takiej postawy chlebowczyni, Francik pognał krowy trochę dalej, ale nawrócił je i pasł w stronę domu. Aby odpędzić z głowy marzenia harcurskie, zaśpiewał sobie piosenkę, którą chciał dokuczyć pasterzowi od sąsiada za to, że ten wyśmiał jego zachętę do wzięcia udziału w harcach skautowskich i zamiast się zainteresować jego wywodami, wołał paść raz wraz z Martą Supliczanką.

Hej, na moście trowa roście,
A pod mostem fijołek;
U Supliki szwarno dziywka,
A u Deski pacholek.

Ale marzenia były głośniejsze niż słowa piosenki i Francik dopasł bardzo prędko do domu.

— Gaździnko, jo już zawiyrom!

— Na, ty żgolu safraporcki, toż nie bydziesz posłuszny! Mosz krowy jako charty, bo ich pasie pies łodarty! Ty drzyku sakulancki, myślisz se, że mi bydziesz groł na nosie!

Z temi słowami Koterlina zbliżała się do Francika, aby słowa zamienić w czyn, ale Francik nie czekał, lecz wypuścił powróż z rąk i odbiegł.

— Puszczom krowy, paście se sami, bo jo muszę iść z Jurkiem na wojnę.

Mógł teraz bezkarnie wywlekać z duszy wszystko, co myślał, bo gospodyni dopadła coperędzej do krów w obawie, aby się nie poplątały w powrozie i nie rozgziły. Zaintrygowany krzykiem, wyrzwał Koterla z pracowni i usłyszał nawoływania żony.

— Francek, wyłyż z tej kolarnie i pódź haw zrobić porządek z tym snoplokiem, bo nie chce paść; otworzył se gębulkę na mie i sypie mi, jak świni do koryta, nic nie przebiyro, a teraz ucieko nawykopki, aż się kurzy za nim.

Francik już nie słuchał i nie zważał, co się za nim dzieje, tylko pędził zapamiętałe, wołając co parę kroków coraz to głośniej.

— Czuwaj! Czuwaj! Czuwaj!...

— Cóż się to stało? — spytał Koterla.

— Widzisz, jak kituje do Jurka. Prawi, że tam jest potrzebny — odparła żona.

— A niech se chłopczyska poigrają. Jo też niedługo zawieszę robotę na kołku i som pójde się im podziwać.

— Maciczko święto! Czy cie co opętało? I tobie się zachciywo takich gupotek? Dyc się ludzie bydą śmiec ś ciebie, jak się dowiedzą. To mi stteczny gazda!

— Niech się śmieją. Bydą zdrowsi — oświadczył mąż i wrócił do pracowni.

Niedługo przed zmierzchem zawrzała praca na polance olszynki. Oprócz trzech harcerzy umundurowanych było czterech cywilów, którzy jednak nie uważali się wcale za ciurów obozowych i stroje swe upodobnili do skautowskich, jak tylko mogli. Podkasali nogawice powyżej kolan, opuścili strzechy kapeluszy, przepasali się paskami lub z braku tychże sznurkami. Niechby ktoś ośmielił się im powiedzieć, że nie są harcerzami! Najwięcej gorliwości okazywał Francik i cieszył się, że przed takim skautem to

już chyba gospodyni będzie miała respekt i nie każe mu marnować czasu na pasenie krów, kiedy musi pełnić służbę. Okazał się on najzdolniejszym przy stawianiu namiotu, który został zbudowany z pełryn, koców i t. p. materiałów przemakalnych, a mógł pomieścić pięć osób, ułożonych podobnie do śledzi w beczce. Dzięki tym zdolnościom otrzymał Francik odrazu dwie nominacje, mianowicie na kometandanta oddziału saperów i kwatermistrza. Trzeba jednak przyznać, że ta nadzwyczajna karjera nie uderzyła mu wcale do głowy, lecz podziałała tylko na jego szlachetną ambicję i starał się nietylko podczas tych ćwiczeń, ale także później postępować tak godnie, aby niczem nie splamić swego wysokiego stanowiska.

Po ustawieniu namiotu nastąpiła zbiórka oraz gawęda harcerek. Po wstępnych informacjach o harcerstwie wogóle zastępowy wyjaśnił plan oraz inne szczegóły dzisiejszych ćwiczeń.

Potem miały się odbyć dwukrotnie podchodzenia. W pierwszej partji podchodzić mieli harcerze Bartecki i Kurpas, w obozie zaś został harcerz Kotlerla, czyli — jak mówiono — druha zastępowy i druhowie cywile; jedynie Francika wołano zaszczytnie druham kwatermistrem. Zastępowy poustawiał czterech wartowników w miejscach najniebezpieczniejszych, sam zaś pilnował zakreślonego naokoło namiotu terenu, gdyż niespostrzeżone przekroczenie jego granicy oznaczało zdobycie obozu przez wroga. Od czasu do czasu obchodził placówki wartownicze,

udzielając im odpowiednich wskazówek oraz zasięgając informacji o sytuacji strategicznej.

Po pierwszych doniesieniach wart, że nieprzyjaciel znajduje się poza obrębem terenu wojennego, nastąpiła wewnątrz wielka czujność, jak w obleganej twierdzy. Jurek przestudjował bezpośrednio przedtem odpowiednią literaturę harcerską i partję z historii o wojnie trojańskiej, a Sienkiewiczowską trylogję miał w małym palcu, był więc obity w tej dziedzinie na wszystkie boki, ale — że historia est magistra vitae — obawiał się jakiegoś ewentualnego nowego konia trojańskiego.

Pierwsze niebezpieczeństwo okazało się od północy. Nieprzyjacielowi nie udało się jednak zmylić czujności straży i jego zamiary spełzły na niczem. Jurek pobiegł w to miejsce, a wtedy nagle zrobił się ruch po stronie południowej. Wartował w tem miejscu ośmioletni braciszek Jurka. Gdy się Jurek odwrócił, braciszek dobiegał już do niego z ogromnem przerażeniem.

— Bój się Boga! Cóżes ty zrobił? Z warty nie wolno zejść! — krzyknął Jurek. — Zapomniałeś, co masz zrobić w takim wypadku?

— Tak sie to korpało i fuczało coraz bliży, jak zdechły koń, toż mie strach porwoł.

— To nie jest po harcersku, a w wojsku-by cie za to rozstrzelali.

Biedny braciszek rozplakał się i poczuwał się do takiego przewinienia, że nie mógł słowa ze siebie wydobyć. Zresztą Jurek nie miał czasu na słu-

chanie, bo pobiegł co tchu na ratowanie zagrożonej pozycji. Niestety wślad za uciekającym wartownikiem szedł nieprzyjaciel i był już na terenie obozu. Obóz został zdobyty. Biedny mały wartowniczek, który zawinił, nie mógł się ostać przed uszczypliwymi docinkami, zwłaszcza druhów cywilów, którzy mu wytykali tchórzostwo, zdradę i inne szkaradzieństwa. Francik proponował nawet, aby urządzić sąd i skazać go na karę śmierci lub dać mu o cztery łyżki mniej zupy grochowej, która miała nastąpić po ćwiczeniach. Po chwili odtrąbiono zakończenie pierwszego podchodzenia.

Przy drugim odstąpiono od zasady, że jedynie prawdziwy harcerz ma kwalifikacje do podchodzenia i tylko dzięki sprytowi i rutynie harcerskiej może zmylić czujność wart i przedostać się do obozu, a to na usilne prośby Francika, poparte serdecznymi łzami, który nie chciał pozostać w grupie broniących obozu. Czuł on, że ta rola da mu większe pole do popisów i do zdobycia sławy, a miał swoisty plan, którego tajemnicę trzymał kurczowo w sobie. Obok niego do podchodzeń wyznaczony został Jurek, a komendantem obozu był druh Bartecki.

Rozpoczęło się, jak poprzednio. Jurek próbował tu i ówdzie skradać się po ziemi, ale został spostrzeżony i doszedł do wniosku, że musi użyć podstępny, który już poprzedniego dnia obmyślił i przygotował. Natomiast Francik zniknął i nie było o nim ani słyhu-dychu.

W tym czasie szły sobie po wale wzdłuż Wiśły dwie babiny i, jak zwykle kobiety, gawędziły o

wszystkiem i o niczem. Nagle jedna z nich stanęła, jak wryta, i krzyknęła z przerażenia.

— Pombóczku roztomiły!

Dalsze słowa uwiązły jej w gardle i tylko wskazywała ręką w kierunku olszynki. Po chwili dopiero poczęła wyjaśniać osłupiałej ze zdziwienia towarzysze.

— Tam... tam! Parcie jeny dobrze! Widzicie?

— Kaj? Co? — pytała druga.

— No, haw oto. Święto Barborko, patronko dobrej śmierci, ślituj się nad nami!

— Co się stało?

— Krzok! — wskazała przed siebie.

Wtedy druga kobieta pojęła i równie przejęta wyszeptała z trwogą półgłosem.

— Krzok się ruszo. Krzok. Naozajst się ruszo. Widzicie, jak się posuwo.

— A tam co za cudok — zwróciła uwagę pierwsza — na postrzodku?

— Idzie ku nom! — stwierdziła druga.

— To jakisik dziwoczny człowiek.

— O, loboga!

— Rety!

Rzuciły się do ucieczki i rozciągały tak nogi, że się zdawało, jakby się piętami uderzały o plecy. Dobiegły wreszcie do najbliższej chałupy, wpadły do izby i usiadły czempredzej, a oddychając ciężko, jak miechy kowalskie, mogły za ledwie wykrztusić od czasu do czasu, jedna za drugą powtarzając.

— Krzok.

— Krzok.

— Ruszo sie!

— Rety!

— Jakby miotł nogi!

— O, jej!

— Krzok mo nogi!

— I jakisik cudok!

— Zazrak!

— Jaki? kaj? co? — pytała po raz drugi i trzeci gospodyni.

— Oj!

— W siedlarzych olszach.

— Straszy!

Po dłuższym dopiero czasie wróciły kobiety do równowagi umysłowej i opowiedziały o dziwach, jakie widziały. Wieści te przyjęto dosyć niedowierzająco, zwłaszcza o chodzącym krzaku, ale gospodarz odprowadził jedną i drugą kobietę do domu, bo inaczej nie byłyby się do rana ruszyły z chałupy. Wieści te doszły prędko do placówki żołnierskiej koło mostu, ale jej komendant wzruszył ramionami i poszedł do gospody.

Tymczasem w olszynie zrobił się nagle rwetes. Od strony Siedlorza wpadła jakaś baba z pyskiem na wartującego cywila. Ten postawił się godnie, ale baba, niewiele sobie robiąc z niego, pchała się naprzód.

— Ty chwancie jakiś, bydziesz mi tu bronit drogi! Ciągcie mi tu stela — skrzeczała dziwnie nie-naturalnym głosem — szkwety zatabaczone! Kędy jest ten wasz komendant zapajedzony? Niech se w swoim lesie robi taki błżeństwo!

— Tam je w postrzodku — wskazał wartownik, widząc, że się zanosi na poważną sprawę, która może im udaremnić gotowanie zupy grochowej, dla której głównie podjął się tej trudnej służby.

— Nie przepuszczaj nieprzyjaciela! — zawołał do niego druh Bartecki, zwracający kroki w tym kierunku i niebardzo się jeszcze orjentujący w wytworzonej tam sytuacji.

— To nie nieprzyjociyl, jeny baba, co chce godać z druhem komendantem.

Tymczasem baba zbliżała się już do zastępowego.

— Czego chcecie? — zapytał tenże. — Tu jest obóz harcerski.

— Toż jo go zdobyła — rzekła z triumfem kobieta i zrzuciła z głowy chustkę, którą była zabalona.

Nastąpiła straszna konsternacja, gdyż z szat kobiecych wyłoniła się uśmiechnięta triumfująco gęba Francika. W minutę później wyskoczył również Jurek z krzaka, który to krzak nagle wyrósł na granicy obozu, a teraz upadł, jak pod ostatnim ciosem siekiery. Obóz został z dwóch stron opanowany, zwycięstwo odtrąbione i, gdy wszyscy je podziwiali, Francik zdejmował starannie szaty kobiece, kawałek po kawałku, troskliwie go prasował dłonią na kolanie i układał jeden na drugim pod jedną z olch. Nużby dziewczka coś pomiarkowała, no, miałby się zpyszna. Że się nie dowie, jaką rolę odegrał jej strój, tego był pewny, bo przecie Jurek umiał to chyba ocenić jako skaut.

Teraz nastąpiło gotowanie zupy, najważniejsza a zarazem najefektowniejsza część programu dla cywilów, zwłaszcza dla braciszka Jurkowego, z wyjątkiem Francika, bo ten był tego samego zdania, co Napoleon, że każdy żołnierz nosi buławę hetmańską w tornistrze, i interesował się bardziej wojenną stroną ćwiczeń.

Przed rozpaleniem ogniska podzielono role, aby wszystko szło sprawnie i zabezpieczono dostęp do obozu przez ustawienie dwóch straży. Dobrowolnie zgłosił się do strażowania Francik, a drugim strażnikiem był druh Kurpas.

Po pewnym czasie Francik poczuł jakieś podejrzane szmery, a zaraz potem usłyszał zbliżające się czyjeś kroki.

— Kto tam? — zapytał energicznie.

Gdy nikt nie odpowiadał, wyrzekł donośnie.

— Stój, bo strzelę!

Wtedy to wyłonił się z zarośli Koterla, a od Francika dzieliła go odległość zaledwie kilku kroków. W pierwszej chwili przeraził się trochę zapowiedzią strzelania, ale obawa ta minęła rychło, gdy poznał głos Francika. Gdy zaś zobaczył jego postać i groźną minę w słabej poświacie księżyca, który ukazał się na chwilę między chmurami, począł się śmiać, jak zamożny gospodarz na dożynkach po dobrych żniwach.

— Francik, cóż sie tak jargosz?

Ale Francik najobojętniejszym tonem powtórzył.

— Stój, bo strzelę!

Wtedy Koterla zatrzymał się, bo pomyślał poważnie, że chłopcy mogli zdobyć gdzie jaką broń. Uznał, że on musi być mądrzejszy i zaczął pertraktować.

— Nale Francik, pierniku gupi, nie poznasz mnie?

— Tu nima żodnego Francika ani żodnego piernika, a jesi jest, to mądry; tu jest druh kwatremistrz abo druh komendant saperny abo bai może być druh wartownik. Jak jeszcze ta nieznano osoba zrobi jeden krok, to drugigo już nie robi. Jeny trzy razy sie strzymuje, a potem sie strzylo naiment.

— Tyś już je postrzelony — ozwał się Koterla — a z czego bydziesz strzył?

— Na, z lewulwera.

— A mosz go?

— Toć, że mom.

— Skądżeś wzion?

— A zrobiłech se z klucza, z tego od stodoły; bydziecie se musieli jakosik inaczy zabezpieczyć stodołę na noc.

— Na, ty szkrabie, ty mi tu jeszcze bydziesz klucze psuł!

— Ha, to darmo, jak jest wojna, to jest wojna, a jak wojna, to jest wszystko fuk. Je nabity tym rubym szrotem na zające.

Koterla pomyślał, że chłopak zbzikował.

Gdyby to była prawda, taki wystrzał mógłby być niebezpieczny także dla niego, a przedewszystkiem dla samego Francika. Nuż marcha wystrzeli bezmyślnie, to mu może poobrywać palczyska i może być ostuda z szandarami abo bai ze sądami, a nejwoźnijsze to, że nie bydzie mógł paść krówsków bez jakiś czas. Wobec takiej sytuacji chciał się wycofać, ale Francik i na to nie pozwolił i oświadczył, że o losie jeńca zadecyduje, jak się wyraził, najwyższa władza, mianowicie druh zastępowy. Koterla wyobrażał sobie, że ten jakiś druh zastępowy, to widocznie naprawdę jakiś dygnitarz, to też doznał miłego uczucia, gdy okazało się, że jest to jego ukochany Jurek. Oczywiście druh zastępowy wprowadził go do obozu i Koterla odrazu wżył się w atmosferę zabawy i poczuł się takim samym rozbawionym malcem. W czem mógł, pomagał chłopcom w urzeczywistnieniu ich planów. Zdobył też całkowitą ich sympatję, bo przyniósł nowych ziemniaków, soli i masła oraz udzielał cennych wskazówek kucharskich w obozie.

Gdy tak druhowie krzatali się beztrosko koło trzaskającego ognia, niedaleko działały się niezwykłe rzeczy. Stara Siedlorka, siedząc na wysiodce przed drzwiami, usłyszała jakieś głosy. Poszła więc po pogródce wzdłuż ściany aż na róg chałupy i wtedy zobaczyła ogień w środku olszyny. Kiedy dowiedział się o tem młody Siedlorz, postanowił przepłoszyć nieproszonych gości.

— Kiż grzych tam może polić ogień? — rzekła matka do odchodzącego Siedlorza. — Uwożej, bo to

nojpředzy bydą cygoni, aby ci nie zrobili co złęgo. Taki cygon poradzi człowiekowi zrobić paskudę, puścić postrzół do nogi abo kołtun do włosów.

— Wczora tu chodziły cygonki — dodała dziewczka służebna, która to posłyszała — mie nawet jedna wróżyła i pedziała mi, że jednego moigo znajomego spotko wielki szczęści, a drugigo nieszczęści, i że, jesi sie wydom, to bydę miała dobrego chłopą.

Po chwili Siedlorz wrócił skulony, blady, przeżony niemal do nieprzytomności, a na pytania domowników dawał znaki milczenia. Dopiero, gdy wszyscy znaleźli się w domu, zaparł drzwi na rygiel i przyciszonym głosem począł objaśniać.

— To nie są cygoni.

— Jeny co? Wdo? Czemuś ich nie wygonił?
— padały pytania.

— Jakisik cudaczne stworzenia... w mundurach, jak wojocy. Patrole mają rozstawione.

— Może wojocy? — zagadała stara Siedlorka.

— To nie są nasi wojocy, ani dragoni, ani hąlani, jakżyw niy.

— Cóżby to mogło być?

— Szpijony pewnie — zdecydował Siedlorz.

— Co ty nie padosz! — wykrzyknęła jego żona.

— Rusi! — dodał z miną wielce przygnębioną.

Słowo to obilo się niemiłym zgrzytem o uszy obecnych, którzy w okolicy serca doznali takiego uczucia, jakby ktoś silnem pchnięciem wbił im rąszplę w piersi, ale spowodu karbów na rąszpli nie dosięgnął odrazu serca i teraz stara się dopiłować do niego. Słowo to było codzień na ustach wszyst-

kich, a wymawiano je zawsze z pewnym odcieniem bojaźni, gdy zaś padło teraz wobec tak bliskiego niebezpieczeństwa, mogło wywołać bladość zgrozy na licach.

Po niejakiem czasie minęło pierwsze wrażenie i wszyscy razem ośmielili się wyjść z chałupy, by się naocznie przekonać o tem, co opowiedział Siedlorz. Młoda Siedlorka trzymała się przy tem za rękaw męża, a służąca za fartuch starej Siedlorki. Wychylili się z za węgła i z niemniejszą trwogą niż ciekawością wpatrzyli się w olszynkę, a wielkimi oczyma strachu zobaczyli wielkie rzeczy. Koło ognia tłumy ludzi tak się roili, że nie można było odróżnić postaci od pni drzew. Byli także w ubraniach cywilnych, ale bardzo mało, natomiast niemal wszyscy mieli na sobie jakieś ruskie mundury, szerokie kapełusze. Obserwujący ich domownicy Siedlorza nie mieli odwagi prowadzić ze sobą rozmowy, lecz stali na palcach w miejscu, skuleni, przycupnięci do ziemi. Nagle woddali rozległ się energiczny głos.

— Stój, bo strzelę!

Pod Siedlorzowymi ludźmi nogi ugięły się w kolanach, a służąca drżała na całym ciele, jak osika.

— Czy to na nos? — wyszeptła po chwili młoda Siedlorka.

— Pst! Ciiicho! — uspokajał ją mąż.

Za jego przykładem wszyscy poczęli się cofać, a stara odmawiała półgłosem modlitwę za konających. Gdy wszyscy znaleźli się za ścianą domu, odważyli się odetchnąć, a stara uniosła się, przerywając modlitwę.

— Stodjobelniki plugawe, ka ich tu czechmon przynios!

— Nie klnijcie, mamulko! — uspokajał Siedlorz.

— Nie zastrzelili nos — stwierdziła dziewczka.

— Ale jeszcze mogą — rzekł Siedlorz, bynajmniej nie pocieszającym tonem. — Bóg roczy wiedzieć, co mogą zrobić taki szpijony w nocy.

— Szpijony — westchnęła dziewczka.

— Rusy — dodała młoda Siedlorka.

— To są napewne Rusy — stwierdziła stara — przeszli pewnie z pruskij strony bez granicę na przespīgi do nas.

Gdy zgrubsza opanowali przestrach, chodzili na palcach i pozamykali wszystkie stajnie, a nakoniec dom. Poczuli się trochę bezpieczniej, ale postanowili nie ruszać się z izby, żeby tam pioruny biły, żeby stodoła gorzała, ba, żeby nawet krowa spuściła się z łańcucha.

— Ale, co bydzie? — zauważyła stara. — Przeca tak ni mogemy siedzieć do rana.

— A choćbychmy i siedzieli, to szpijony i tak nom nie przepuszczą, kie bydą chcieli. Jak wszyscy ludzie naokoło posną, to nos mogą napaść i pozabiyrac, co im przydzie pod rękę — oświadczył Siedlorz.

— I bai pozabijać nos mogą? — wyrzekła półpytająco i półtwierdząco dziewczka.

— To sie wiy! — potwierdził.

— Jezusku, Maryjko! — wybełkotała stara.

Po naradzie postanowiono, żeby Siedlorz udał się do placówki żołnierskiej koło mostu i doniósł jej

o szpiegach rosyjskich. Ciężkie było rozstanie, bo można było przypuścić, że się już więcej nie zobaczą. Z zachowaniem wszelkich ostrożności wychodził jedyny mężczyzna z domu, a następnie przez podwórze skradał się, przystając niekiedy, jak złodziej, gdy w pobliżu zgrzytnie zapora drzwi. Każdy odgłos lub szmer na terenie gospodarstwa, stęknienie krowy i ziewnięcie psa wywoływało dreszcze u niego z obawy, aby szpieczy nie pomyśleli, że to on i nie zechcieli go ścigać. W pewnej chwili wrósł w ziemię i zimny pot oblał go strumieniem, bo niedaleko posłyszał suchy trzask, jakby ktoś pociągnął za cyngiel strzelby. Ponieważ jednak nie rozległ się strzał, wymierzony zapewne w niego, sądził, że strzelba nie wypaliła. Wyprostował się mimowoli, aby zwyższa lepiej władać wzrokiem, ale potem nie drgnął i starał się nie mrugać nawet powiekami. Stracił panowanie nad sobą, jak zresztą większość ludzi, którzy patrzą w wytkniętą w siebie lufę, której nie mógł dojrzeć z powodu ciemności. Gdy jeszcze w tem miejscu coś błysnęło, biedny Siedlorz czuł wyraźnie, jak już dusza z niego uchodzi, i nie wiedział, czy się modlić, czy skomleć o litość, czy też rzucić się do ucieczki. Nie miał jednak na to siły i wątpił, czy znają litość takie Rusy, jakieś nieznanbogi.

Wtem rozległ się drugi taki trzask i naszczęście stwierdził Siedlorz, że to Burek kłapnął pyskiem na jakąś muszkę lub ćmę, a jego pocziwe oczy zaświeciły teraz jeszcze wyraźniej. Jego pan był mu tak wdzięczny za to, że to on właśnie, a nie Moskał, iż byłby go całował w nos, gdyby okolicz-

ności pozwalały. Po tym incydencie biegł Siedlorz co sił wzdłuż wału w kierunku przeciwnym od olszynki i drogą bardzo okrężną dobiegł do Cykały, po upływie pół godziny zamiast kilku minut w linii prostej. Z rozmachem i z uczuciem błogości wpadł do sieni, jak do przystani bezpieczeństwa.

— Wy nic nie wycie?

— A bo co? — spytała Cykałka.

— Rusy są w olszach.

— Co padocie? — ozwał się Cykała.

— Szpijony!

— Szpijony!!! Lo Krysta Pana! — krzyknęła przestraszona Cykałka. — No i co?

— Co? Muszimy iść do wojoków — wyjaśnił przybysz — niech przydą z gwerami, bo inaczy my nie są pewni jutra.

Uradzili wspólnie, że tak istotnie trzeba zrobić, i mężczyźni wyszli. Czuli się dosyć pewnie, bo byli dwaj i wybrali na drogę miedzę, oddaloną znacznie od niebezpiecznego miejsca. Wstąpili jeszcze do Rożka i zabrali trzeciego towarzysza. Również u Cykały i u Rożka pozamykano dobrze drzwi i wszyscy siedzieli w chałupie.

Trzej wysłańcy po ratunek przybyli zziązani na placówkę. Sprowadzono komendanta Mrowca z gospody i ten zadecydował, że należy natychmiast przypuścić szturm na szpiegów. Wrócił jeszcze do karczmy, aby dopić kufel piwa, którego przedtem nie skończył z gorliwości służbowej, gdy usłyszał o szpiegach, bo — jak oświadczył — wojna, to nie

przelewki i dobro osobiste trzeba poświęcić dla dobra cesarsko-królewskiej monarchji, a krew przelać za najjaśniejszego pana. Musiał świecić przykładem, bo był szarżą, miał na kołnierzu dwie gwiazdki, jedną z prawej, drugą z lewej strony, no i zaliczał się do inteligencji, bo umiał cośniecoś po niemiecku i mieszkał stale w mieście, w Bielsku.

W gospodzie dał się namówić na jednego na kuraż, potem na drugiego na zaostrenie natury, aby się nie przejmował widokiem i rozlewem ruskiej krwi.

Tymczasem chłopci niepokoiłi się o swe dobytki i rodziny, a najodważniejszy z nich, Rożek, bo mieszkał najdalej od zaszpiedzonej olszyny, wystąpił przed oblicze wojskowego dygnitarza.

— Panie frajter, pójdemy na tych szpionów?

— W tej sekundzie, sofort. Wypiję jeny jeszcze na zwycięstwo. Służba, nie družba, gor na wojnie. W tej minucie już idę — zapewnił i, aby nie być gołosłownym, natychmiast wstał od stołu i podszedł do szynkwasu. — Sofort, już, już, tylko dopiję piwo; za pięć minut już rukujemy. Takich szpionów trzeba zaroz chycić, boby mogli uciyc.

— Tóz pódźmy! — przyspieszał Rożek.

— Sofort. Bydźcie fertig, abych nie czakoł na wos, bo jo już idę. Sakra, Rusy, jo wom zahajcuję! — wygrażał pięścią, zmrużając jedno oko i wykrzywiając usta.

— Gotowiście, chłopci? — zwrócił się do Rożka.

— Dyc czakomy.

— No, to już rukujemy vorwerc. Powydzcie tam moim wojokom, niech sie ustawią w glidzie i niech mi doszlsrują, jak sie patrzy, a niech dobrze wypucują gwery, bo im dom ajncla. No, idemy. Wychoďte już naprzód! Frau Kneflik, nalyjcie tam jeszcze jenego z kropką, ale sofort, bo Rusy nie czekają. Za sztwierć godziny muszę zrobić na nich angryf i, jak nie uciekną, to ich powystrzylom do nogi i zabierę do niewole, z koniami, z kanunami, z trenami, ze wszystkim, sakompikom z elektrykom. Do Szpilbergu ich kożę wywyżć, verflikste pierones, abo do piwnice ich wciepnę, niech skrepną! To bydzie glorreicher Sieg, donerweter! W regimentraporcie musi stoć o tem!

— Bydę beferderowany na kaprola, sakra kaa-proool — ciągnął z namaszczaniem, salutując sobie samemu — sztyry szterny... i dostanę strzybną, a może złotą tapferkeitsmedajlę. Gott erhalte, Gott beschütze... — począł mrużyć z nadmiaru entuzjazmu, ale przerwał, bo na szynkwasio stał już napełniony kieliszek. Podniósł go i przypił.

— Prosit, najjaśniejszy panie! Hoch, kaproll!

Wychylił kieliszek. Do izby wszedł Cykała, który chciał popróbować szczęścia w przyspieszeniu wymarszu i ukrywał zdenerwowanie. Z należnym szacunkiem wyrzekł.

— Panie feldfelbel, bo ty szpijony nom rozkurzą chałupy abo zapolą, a szpyrytusem ani piwem ich nie ugaszemy.

Słowo feldfelbel zelektryzowało Mrowca. Wy-

prostował się, przybrał minę prawdziwie feldfeblowską, spojrział wielce łaskawie na Cykałę i rzekł:

— Prowda, że to tam ci szpijoni. O-o-o, jo pamiętom o nich, pamiętom, jo im nie daruję! Zaroz poczują, co znaczy cysarsko-królewski landszturm-kaprol!

Z temi słowami wybiegł i wpadł do swego oddziału, umieszczonego o kilka kroków, a składającego się z trzech ludzi.

— Gwery wypucowane? Buty wywiksowane? Knefle wyrajbowane?

Otrzymawszy na wszystkie pytania odpowiedzi twierdzące, oświadczył krótko.

— Tóż możemy rukować.

Landszturmiści, którzy mieli dosyć czasu na wysłuchanie wszystkich okropności opowiadających chłopów i przejęli się niemi narówni z nimi, niebardzo się kwapili na pole chwały. Zwłaszcza Siedlorz działał na otoczenie swą zboląłą miną tak dalece, że nikt nie wątpił w rzeczywistą obecność w olszynie szpiegów i każdy odczuwał bojaźń przed nimi. Przyczyniał się do tego ogólny ówczesny nastrój ludności, bo skoro władze wojskowe wietrzyły na każdym kroku szpiegów, to cóż dziwnego, że podobnie myślał prosty chłop lub żołnierz. Zresztą w tym wypadku był niezbity dowód, że to szpieczy, bo ktoś widział, jak jeden z nich przechodził z mapą przez rzekę, przez granicę.

Jeden z landszturmistów chciał tłumaczyć, że zapewne już ich tam niema, a jeżeli są, to sami odejdą, ale komendant wpadł na niego.

— Przysięgaliście posłuszeństwo cysarzowi?

— Przysięgali.

— Tóż mie słuchać i trzymać pysk, rekruty zamazane! Cywilbanda nabok! — zwrócił się do chłopów — tu idzie cysarski wojsko. Bajonety naflancować! Jo jako wódz idę pierwszy w ogień, gemajnerzy wpostrzodku, a cywile nazadku! Ach-tung! Za mną vorwerc marsz!

Wszystkie rozkazy zostały wykonane i rozpoczęł się pochód na ruski front. Zrazu posuwano się marszem paradnym, tylko nogi się nie zgadzały, bo komendant wystąpił najpierw prawą, a żołnierze, chcąc się do niego dostosować, zgubili krok i od czasu do czasu wykonywali ruchy podobne do przeska-kiwań dzieci przez patyk. W zapale wojennym dążył komendant coraz prędzej naprzód, nie zwracając uwagi na to, co się dzieje za nim, jakby unoszony na skrzydłach przyszłej sławy. Pochylony był mocno naprzód, chociaż próbował się prostować, i tłumaczył sobie, że to prawdopodobnie ten przyszły medal jest taki ciężki i ciągnie go ku ziemi.

— Ale je odwożny — zauważył Rożek — nic sie nie boi.

— Bo mo w czubie — wyjaśnił Cykała.

Wywiązała się rozmowa między żołnierzami a chłopami, którzy się pomieszali ze sobą.

— U nos na Zorzczu to tak... — biadał Siedlorz.

— Jak? — spytał jeden z żołnierzy.

— Ano, jak woda nie wytopi, to przydzie insze nieszczęści, szpijony.

Niebawem także przyłączył się do nich komendant. Posłyszawszy niektóre szczegóły o szpiegach, ostygł znacznie w zapale antyrosyjskim. Jako szarża pojął odrazu, że ten, który miał z mapą do czynienia, to jakiś sztabowiec. Na chwilę błysnęła mu myśl, coby to było, jakby tak wziął do niewoli generalny sztab rosyjski, ale niedługo upajał się tą myślą, bo jakoś mu się to nie widziało, żeby mieć ze sztabowcami do czynienia. Coraz bardziej przejmował się swą odpowiedzialnością, a równocześnie oddalał się od startu odwagi i zbliżał do mety bojaźni. W tych warunkach trzeźwiał też w tempie przyśpieszonym. W pewnej chwili przystanął i zapytał.

— Jak daleko to jeszcze?

— Pięć... sześć minut — odpowiedział Rożek.

— O sakra, a czemuż nie mówicie? Już my mogli przegrać bitwę. Oni tu mogą mieć kole nos wystawione posty.

Słowa te zaostrzyły u wszystkich zmysł ostrożności; poczęli się odtąd porozumiewać szeptem, a wojskowi ścisnęli mocniej i podnieśli wyżej wytknięte wprzód karabiny. Komendant wydał nowe dyspozycje.

— Gemajnerzy, pójdziecie naprzód, ale vorsichtig! Jo pójdę na samym końcu.

Gdy żołnierze wzbraniiali się i tłumaczyli, że dowódca powinien iść na czele wojska, wyjaśnił im, że oni tego swym chłopskim rozumem nie mogą pojąć, i uzasadnił swą słuszność.

— Wódz nie może iść naprzodku, bo jakby go zabili, toby wojsko nie wiedziało, co robić. Jak

nie bydziecie słuchać, to zrobię krygsgerycht, kożę
wos rozstrzylać i fertig... szlus!

Ponieważ żołnierze tłumaczyli się, że nie znają
drogi, stanęło na tem, że pierwsi szli chłopci, potem
żołnierze, a za nimi w pewnej odległości frajter.

Posuwali się powoli, ostrożnie, przygotowani
każdej chwili na śmierć. Oczywiście nie szli wprost
do gardła nieprzyjacielowi, lecz chcieli najpierw
obejść olszynkę naokoło. Ze strachu nikt nie od-
ważył się przemówić.

Rozgwarzonym i roześmianym przy ognisku
harcerczom upływał czas bardzo szybko, a ten sam
czas trwał niezmiernie długo oblegającym ich, zaś
w domu Siedlorza przedłużał się w nieskończoność.

Były tam trzy kobiety z małym chłopcem. Po-
czątkowo siedziały bez ruchu, przygnębione, potem
zasłoniły szczelnie okna fartuchami, spódnicami i
czekały zmiłowania Bożego. Po jakimś czasie stara
Siedlorka rzekła:

— Wdo ufo w Boga, tego Ponbóczek mo
w Swej opaterności. On mo wszystko w porekomju i,
jak nos nie bydzie chcioł nawydzic dopustem, to
nom włos z głowy nie spadnie. Rzykejmy!

— Wdo sie w opiekę oddo Panu swemu — za-
intonowała, a inne osoby podjęły słowa pieśni i śpie-
wały półgłosem, aby głos ich nie doleciał do szpie-
gów.

W pewnej chwili pies począł ujadać. Głosy
w izbie przycichły, tylko stara Siedlorka nie przer-
wała śpiewania, a gdy skończyła, wyjęła z trówy

dzwoneczek gradowy, poświęcony w Rzymie przez samego papieża, który to dzwoneczek chronił domostwo od nieszczęść w czasie burz.

Uderzała nim wtedy zawsze w jednym kierunku, aby się chmury nie skłóciły i zwykle spędzała je nad las, a teraz, podniósłszy rękę, biła dzwoneczkiem stale w stronę pruskiego Śląska, w nadziei, że ten kierunek wybiorą szpiedzy. Od czasu do czasu powtarzała przytem.

— Od powietrza, głodu, moru, ognia i wojny...

— Zachowaj nas, Panie! — rozlegało się w izbie.

Każdy najmniejszy szmer nazewnątrz budził trwogę i radość równocześnie, że może wraca Siedlorz z pomyślną wiadomością.

A w środku olszyny zajadano smacznie pieczone ziemniaki ze solą lub z masłem i grochówkę na słoninie. Panowała tam beztroska atmosfera, zniknęła zupełnie dyscyplina militarna, pościągano warty i zapanował szczyt demokratyzmu, w którym ciura obozowy i ordynans, gdyby byli tacy, byłby jadł z jednej menażki z głównodowodzącym. Francik okazał i tutaj swój zmysł praktyczny.

— Cóż, druhu gazdoszku — ozwał się do swego chlebobdawcy — podobo wom sie tu?

— Bardzo, druhu kwatyrmistru — odparł żartobliwie rozbawiony Koterla.

— Ale, druhu gazdo, jেকেś przyłoz między wrony, musisz krakać, jak i ony. Żebyście mi nie puścili pary z gęby przed gaździnką, boby zaś robiła larmo. Wy ją zresztą może znocie tak samo dobrze,

jak jo... Bo wiycie, druhu gazdo, jo... jo... — szukał odpowiednich słów, których nie mógł znaleźć i zagadał: — Fajno zupa? co?

— Fajno — przytaknął gospodarz.

— To bez to, że jest w ni szpyrka wędzono, a jest to tako szpyrka, że jeny jeden człowiek na świecie mo taką dobrą szpyrkę — wkołomaciejował Francik.

— Kiery? — zdumiał się gospodarz.

— Na, wy.

— Bezkuryjniki! — zachnął się półserjo Koterla.

— Bo wiycie, druhu gazdoszku, jo ukrod z półcia kaszczek szpyrki, ale szykownie, tak po druhowsku, po harcersku, i zrobiłech końcem noża taki drobne ślady, coby sie zdowało, że to kocur wygryz abo mysz. Wyście też są harcyrz, to to potreficie zrozumieć, ale gospodynka ni mają tego filipa w głowie.

Koterla nie wiedział, czy go ma zbesztać, czy się śmiać. Francik mówił dalej.

— Tóż trzymajcie język za zębami, a dziywce też nic nie prowcie, boch wzion jeji lonty i trochę są popuczzone. Musicie mi poradzić, jak to zrobić, aby nie poznała, abo, coby sie zdowało, że to wdo inszy.

— A nacóżeś ty, zazraku, potrzebował jejich lontów?

— Hm, to wom wszyscy mogą pedzieć — odrzekł Francik. — Kieby dziywka była mądro, toby była dumno z tych szot, ale na to musiałyby być

harcyrzem, a ona mo babską głowę na karku, długi włosy, krótki rozum. Prowda, druhu gazdo?

Koterla widział, że to ciągle druhowanie mogłoby przekroczyć miarę możliwej poufałości, chociaż był bardzo pobłażliwy i rozbawiony tem wszystkim, i położył kres temu dialogowi.

— No, dobrze. Już sie nie mortw o nic. Powiemy, że to druh kocur zjod szpyrkę. Ale możebyś już tak poszoł do chałupy, bo jak rano druh kokot zapieje, żeby mi druh kwatyrmistrz wyskoczył na równe nogi, bo jak niy, to go zbudzi druh patyk, abo druh posek.

— Ale, gazdoszku, jutro rano jo obudzę kokota. Dotychczas toch se rod dłuży pospoł, ale teroz, jakech zustoł harcyrzem, będę piyrszy rano wyganił krowy.

— Dej to, Boże!

Tymczasem ekspedycja wojskowa przeciwko szpiegom obchodziła olszynkę, ale nie zacieśniała bynajmniej pierścienia. Nagle Siedlorz zaczął wskazywać palcem ludzi, ruszających się i ledwie widocznych w blaskach słabo podsycanego ognia. Więcej umożliwiał patrzenie księżyc, który szybował między drobnemi chmurkami, jak łódź wśród wzburzonych fal. Zobaczywszy cel swej wędrówki, żołnierze zatrzymali się i czekali na komendanta. Ponieważ jednak nie nadchodził, wrócili się i odnaleźli go u wejścia do olszynki. Gdy mu zakomunikowali, że widzieli szpiegów, robił im wymówki, dlaczego ich nie wystrzelali, na co jeden z żołnierzy odpowiedział, że nie było rozkazu, drugi, że jeszcze nigdy

nie strzelał do zająca i nie miałby sumienia strzelić do człowieka, a trzeci, że nie umie się obchodzić z karabinem. Ambicja dowódcy nie pozwoliła mu pozostać na tem miejscu, więc kazał się prowadzić, ale szedł ostatni. Zobaczywszy na własne oczy harcerzy, oświadczył autorytatywnie, że są to Rusy, bo austriacy ani niemieccy żołnierze nie mają takich mundurów. Ponieważ nieprzyjaciele nie reagovali wcale na ich bliską obecność i operacje wojenne, nabrał frajter nieco odwagi i począł swoją armję ustawiać do szyku bojowego. Każdego podwładnego prowadził za rękę pocichutku, na palcach i ustawiał w pewnej odległości od siebie za krzakiem lub drzewem. Lufy wycelowane były w środek obozu i na komendę paść miały strzały.

A harcerze wcale nie wiedzieli, w jakim niebezpieczeństwie jest ich życie. Wszystkie punkty programu zostały wyczerpane, ogień dogasał i już przygotowana była woda na jego zalanie, ale wszyscy tak się tu dobrze czuli, że przedłużali pobyt różnemi opowiadaniem. Najbardziej bawiły wszystkich opowiadania Koterli.

— Wybyście mogli pisać kalendorze — schlebiał mu Francik.

— Szkoda, że nima pełni miesiączka, bobych wom wyłożył cosik piyknego.

— To nie szkodzi... Opowiadzcie! — ozwały się głosy.

— Widzieliście już na miesiączku plamy?

— Widzieli.

— A wiyecie, co to jest?

— Niy... Co?.. Powiydzie!

— Chłop z grochowiłą na plecach. To było tak. Roz pewien pacholek krod groch w nocy, ale go miesiącek wyzdradził, bo zaświcił, i miłego pacholka łapnął gospodarz. Jak sie go pytoł, kaj idzie z tym grochem, pedzioł, że na miesiącek. Toż za kore Ponbóczek go tam posadził i musi zawdy trzymać na plecach grochowionkę.

Frajter tymczasem ustawił żołnierzy i wydał im ostatnie rozkazy.

— Jak zakomenderuję, strzylać bez miłosierdzio i bez wytchnienio, bo jak my ich nie zabijemy, to oni nos. Tak. Teraz jeszcze siebie zaprowadzę na swój plac i bydzie gefecht. Tak sie wojuje.

Ustawił się na bacność i, aby nie stracić nic ze swego charakteru komendanta, zakomenderował, ale szeptem, by go nieprzyjaciele nie posłyszeli.

— Vorwerc marsz!

Zajął następnie miejsce za upatrzonym krzakiem, wycelował, przymrużył lewe oko i zabierał się do wydania rozkazu. Wtem doleciał wyraźny głos opowiadającego Koterli. Chłopi, którzy baczniej obserwowali, co się działo na polance, odnieśli już przedtem wrażenie znajomego głosu, teraz zaś upewnili się, tem bardziej, że i sylwetka Koterli uwydatniła się wyraźniej. Siedlorz zawołał, aby uprzędzić strzały.

— Koterla, to ty?

— Jo — odezwał się wołany, bez najmniejszego zdumienia — a co?

— Wojocy, nie strzylejcie! Czakejcie! A co tam robisz, Koterla?

— Na, tak se tu beromy... Tam jest Siedlorz, prawda?

— Tak. A co to są za jedni, ci w mundurach?

— To są sztudenci, mój synek, Bartecki i Kurpas.

— Nale, ludkowie złoci, cóż to robicie za gupoty? Podziwejcie się jeny, dyć wojocy wos już mieli zastrzelić.

— Wy myślicie, że my się bojemy wojoków — odpowiedział Francik — my są harcyrze!

Obecni na polance bawili się początkowo tą wiadomością o żołnierzach, ale za chwilę, gdy się wszyscy spotkali, przekonali się z przerażeniem, że to nie żarty.

— Jak to dobrze, żeście wy to są — rzekł Siedlorz — a nie szpijony.

— O, jak dobrze — potwierdził jeden z żołnierzy.

Nadaśany był tylko frajter, w którego znowu wstąpił duch wojowniczy i znowu plątały mu się po głowie myśli o medalu waleczności i awansie.

— No, a co wy macie do przechodzenia z mapą bez granicę? — strofował frajter.

— Z jaką mapą?

— Dyć wos widzieli — rzekł Cykała.

Jurek uśmiechnął się.

— Chodziliśmy do rzeki myć menażki.

— Sakerment z takimi szpijonami! Mój befer-

derunek fucz! Gemajnerzy, róbmy rykzug, bo nom jeszcze kto most wysadzi do luftu!

Taką minę, jak frajter w drodze powrotnej, mógł mieć Napoleon, gdy wracał z Rosji, natomiast żołnierze szli zadowoleni, że wyprawa ta skończyła się bez rozlewu krwi. Niebawem rozeszli się także do domów chłopci i druhowie. Kobiety u Siedlorza odetchnęły i, choć tyle najadły się strachu, nie gniewały się na sprawców tej bojaźni, przeciwnie również cieszyły się, że to oni, a nie szpiedzy. Zdawało im się poprostu, że tym właśnie harcerzom mają do zawdzięczenia ocalenie.

Nazajutrz pierwszy wstał Francik i najwcześniej w okolicy wyprowadził bydło na pastwisko. Był dumny z tego, że jako harcerz dotrzymał słowa i świecił przykładem pracowitości. Nie uważał się jednak z tego powodu bynajmniej za coś lepszego od innych pasterzy, bo rozumiał już, że główną oznaką harcerza jest nietylko sumienne spełnianie obowiązków, bo to powinno być cechą każdego człowieka, ale czynienie jeszcze ponad to. To też nie dokuczał, zwyczajem pasterskim, tym, którzy później wypędzali krowy, jedynie tylko pasterzowi sąsiada zaśpiewał donośnie.

Ospały je, ospały je,
Wyganio do pola, połednie je, połednie je,
Żynie po wołoczku, jeszcze drzemie, jeszcze drzemie...
Za gorami torcka ogibo sie, ogibo sie,
A ten Desków pastyrz wylygo sie, wylygo sie.

Przy paseniu rozmyślał często o wczorajszym wieczorze i o przykazaniach harcerskich. Obmyślał,

jakby codziennie spełnić jakiś dobry uczynek i układał sobie życie przyszłe tak, aby było zgodne z temi przykazaniami.

Jurek wybrał się tego dnia do siostry, zamężnej w Mnichu. Siostra wyszła naprzeciwko niego, jak go tylko zauważyła, i z niepokojem, zanim się zdążyła przywitać, zapytała:

— Żyjecie tam jeszcze?

— Dlaczegożbyśmy mieli nie żyć?

— Jak się tam tako sumeryjo porobiła na Zorzyczu.

— Jaka?

— Z tymi szpijonami. Dyc snoci chałupy pozapolali, ludzi pozabijali, wojoków postrzylali. Kaj się tam taki howada przemierzłe nabrały?

— Snoci — odparł Jurek — a w rzeczywistości nic nie było. Ludzie robią z igły widły.

Uśmiali się oboje z siostrą niemało przy opowiadaniu o tej przygodzie. Niebawem wpadła do izby zdyszana sąsiadka, która dowiedziała się od dzieci o przybyciu Jurka.

— Prowże o tych Rusach! To je straszno wiec!

— To są bojki — objaśniła siostra Jurka — tam nie było żodnych Rusów. Ludzie tak pletą.

— Taak prawicie. Eee... jak ludzie mówią, to jużćić tam cosik musiało być. Jo przeca wiem, bo mi to prawić jeden istny, a on to słyszoł od takiego, co tam był.

— Przy tych szpiegach? — spytał Jurek.

— Czy przy nich, czy na Zorzyczu, czy tam kajsik, tego już nie wiem, ale tam kajsik był i sły-

szoł napewne, bo jakby nie słysoł, toby nie wie-dzioł, a jakby nie wiedzioł, toby nie godoł — gesty-kulowała szeroko — a skoro to godoł, to to jest prawda. Jo wom prawie, trzeba uważować, bo tu mogą przyść roz-dwa. My tu są blisko koleje, to je niebezpieczne.

— Ależ ja wiem napewne, że nic nie było — przerwał Jurek.

— A właśnie, że nie wiysz, bo godosz nie-prowdę o prawdzie i bałamączysz ludzi, ale ci sie to na nic nie przydo, bo już wszyscy wiedzą, a wdo nie wiy, to jo mu powiem — oświadczyła i wybiegła, bo zobaczyła przez okno jakąś przechodzącą kobietę.

Niebawem również zarzeczanie dowiedzieli się od mieszkańców okolicznych wsi o tym strasznym wypadku, a uwierzyli w jego prawdziwość wtedy, gdy w gazecie pojawiła się notatka, że kursujące na ten temat pogłoski zostały wysrane z palce.

Mało kto wiedział, że cichym bohaterem i gło-wnym sprawcą tych pogłosek był Jurek i jego dwaj koledzy. Ale skoro już tak opinja publiczna przypie-czętowała szpiegostwem niewinne ćwiczenia skau-towskie, postanowili harcerze naprawdę urządzić sobie zabawę w szpiegów.

W kilka dni później wybrał się Jurek wraz z Barteckim do Strumienia. Nie ubrali się w stroje harcerskie, tylko cywilne, bo i bez tego można było łatwo być uznanym za szpiega, a liczyli się z tem, że mogą się przesiedzieć w kozie, więc nie chcieli przynieść sromu harcerstwu. Obejrzelii całe miasto, to znaczy obeszli rynek naokoło i stwierdzili, że

trawa na nim nie porosła od przeszłego roku, bo ją kozy starannie obgryzają. Zauważyli też wielki postęp i sprężystość w zarządzie miasta, gdyż zabronione już było pędzenie krów przez rynek luzem, a dozwolone tylko na powrozie i to „prędko — jak głosiła tablica — aby krowy nie miały czasu pozostawiać na rynku placków”. Postarzała się już także żydówka Jekerowa, największa osobliwość miasta, która bezprzerwy stała przed swoim sklepem bławatnym i nawoływaniem zwabiała wiejskie kobiety. Wyrzucała przy tem takie ilości śliny, że coraz bardziej schła i schła, kurczyła się i malała, ale krzyczała nie ciszej niż kiedyś. Jedyłą oznaką słabnięcia jej energji było to, że można było przejść swobodnie bez parasola koło niej w promieniu trzech metrów, gdzie przedtem była fontanna, a jeszcze dawniej lawa cebuli w stanie płynnym.

Niewiele przed dwunastą wyszedł Jurek z kolegą z miasta. Wybrali taką porę powrotu, w której mieszczenie strumieńscy wracali na obiad z pracy na polach. Gdy mijali pierwszego przechodnia, prowadzili bardzo ożywioną dyskusję, której przedmiotem były różne zapamiętane wyjątki i zdania z Cezara i Neposa. Przechodzień zdziwił się, poznał, że to jacyś cudzoziemcy, mówiący obcą mową, i przystanął kilka razy, oglądając się za nimi. Dzięki temu zdążył drugi mieszczanin prędko go dojsć. Szybkiemi krokami podszedł do pierwszego i zagadał.

— Słyszeliście?

— Słyszol. Po jakimu oni godają?

— Po nimiecku to nima, tóż po jakimuby to mogło być? Po rusku!

— A wy umiycie po rusku?

— Nie umiem, ale tela mogę poznać. Cóżby tu mogli być za insi, jak nie Rusy? Dyc sie tu kręcą kole pruskij granicy. Co to tam porobili w Zorzyczu.

— Szpijony, myślicie?

— Zapewne.

Szli odtąd razem i rozmawiali. Po chwili zatrzymali się, aby poczekać na dwie kobiety, które teraz właśnie mijaly się z cudzoziemcami. Już na kilka kroków przedtem Jurek i kolega poczęli umyślnie głośno deklamować naprzemian, jakby w formie namiętnej dyskusji, po jednym zdaniu te same wyjątki z Cezara i Neposa. Od czasu do czasu wtrącali też jakieś zdania greckie lub odmieniali w różnych przypadkach rzeczowniki greckie. Gdy się zbliżyli do kobiet, Jurek zapytał.

— Czy my dobrze iść miasta Strumień? — a ręką pokazał w stronę Zarzecza.

— Ale panoczku, źle. Tam jest Strumień; trzeba sie wrócić!

— Indicativus perfecti — zwrócił się Jurek z miną znaczącą do kolegi.

— Coniunctivus plusquamperfecti — odrzekł tenże, przygrządzając mu palcem tajemniczo.

— A jest to wielki miasta?

— Ale kataćteżtam; wilków tam nima.

— Ale czy wielki, duży, moc? — pomagał sobie Jurek gestykulacjami.

— O, tak, nasze miasto jest duże.

— Accusativus cum infinitivo! — zauważył Jurek.

— Participium praesentis passivi! — dodał Bartecki.

— Cóż to za dziwni ludzie — rzekła jedna kobieta, gdy się rozstali.

— Pytają się o drogę do miasta, a mają je za plecami i idą dali od miasta — dziwiła się druga.

— Co mówili z wami? — spytał ciekawie jeden z mieszczan, gdy kobiety zbliżały się do nich.

— Ap, szkoda rzeczy.

Następnie kobiety opowiedziały wszystko, a mężczyzna zadał im pytanie retoryczne.

— I wy im tak wszystko powiedziałyście? Nie bołyście się?

— Czemu?

— Dyć to są ruscy szpijoni!

— Jezusku kochany! — wykrzyknęła kobieta.

— Toć pewnie, bo tak jakoś sztuwernie godali — stwierdziła druga.

Mocno podniecone towarzystwo posuwało się powoli w stronę miasta, rozmawiając oczywiście wyłącznie o szpiegach rosyjskich.

Jurek i kolega szli także bardzo powoli, a od czasu do czasu schodzili z drogi i przystawali za krzakiem, aby zyskać na czasie i nie oddalić się zbyt od miasta. Niebardzo byli zadowoleni ze swoich sukcesów szpiegowskich. Jakoś nikt przed nimi nie uciekał, nikt ich nie ścigał. Postanowili więc przystąpić do prowokacji jawnej. Obydwaj przytle-

pili sobie przygotowane na ten cel wasy, które zdejmowali, ilekroć zbliżali się mężczyźni, a przylepiali przed kobietami. Gdy mijała ich samotna kobieta, doszli do punktu kulminacyjnego tragifarsy. Poczęli jej stawiać przeróżne pytania w języku łacińskim i greckim. Kobicina wzruszała ramionami, a wreszcie zapytała.

— Po jakimu wy mówicie?

— Pa ruski — odrzekł Jurek.

— Pa ruski — podkreślił mocniej Bartecki.

— Ale my nie są Rusy — zastrzegł się Jurek i zwrócił się do kolegi ze słowami: — Si vis pacem, para bellum!

— Ani szpijony — dodał kolega — O, mirabunda est filia pastoris!

— Mahabharata, Ramajana — wyrecytował z patosem Jurek.

— Bumcykcyk, bum! Imperativus, pars pro toto, ora et labora, pa ruski, fortuna variabilis, Cornelius Nepos, ta-a-r-r-r-ach! — wyrzucił jednym tchem Bartecki.

Wszystkie te słowa wywarły straszne wrażenie na kobietę. Zrozumiała ona, że mieściła się w nich zapowiedź jej śmierci i z przedśmiertnym strachem poczęła błagać.

— Nie strzylejcie mie! Darujcie mi życie! Jo nic nie powiem, zeście są ruscy szpijoni! Pyty, pyty! — złożyła ręce błagalnie.

Kiedy już poczuła się na wolności, westchnęła do Boga, dziękując za szczęśliwe wyjście z opresji, a potem pobiegła wdyrby. Gdy już była bliżej miasta

niż szpiegów, zaczęła wymachiwać rękami i wołać. Złączywszy się z poprzednim towarzystwem, oznajmiła.

— To są szpijoncy!

— Skąd wiycie? — pytano ją.

— Bo mówili, że nie są szpijonami.

— Ta-a-k?

— Tak!

— Nima co czakać, jeny prosto do szandarów! — zawołał ktoś.

Relacje o szpiegach na posterunku były takie niepokojące i z tyłu ust poważnych obywateli słyszane, że komendant posterunku musiał na nie jakoś zareagować, choćby tylko na wszelki wypadek. Wysłał więc dwóch żandarmów na rowerach w pogoń za podejrzanymi osobnikami.

— Oho, poskutkowało! — zauważył Bartecki.

Harcerze cieszyli się z tego powodu, odrzucili niebezpieczne wąsy i szli, prowadząc poważną rozmowę. Żandarmi nadjechali, wylegitymowali ich, stwierdzili, że wszystko jest w porządku i, nie podejrzewając ich o nic, zapytali, czy nie spotkali dwóch mężczyzn, mówiących po rosyjsku. Otrzymawszy odpowiedź przeczącą, pokiwali głowami, podkręcili wąsy i pojechali dalej aż do granicy Zarzecza. Tam się dowiedzieli od żołnierzy, pilnujących mostu, że nie zauważyli nikogo podejrzanego, i wrócili bez zakutych w kajdanki szpiegów, jak się tego spodziewali mieszkańcy Strumienia.

— Drzystu chlastu — odezwał się jeden z gromadki dysputujących namiętnie mieszczan — oni tu

bydą stroić błoznów z nos, kie my widzieli na włosne oczy, co i jak. Wiycie, obywatele, co wom powiem?

— Co?.. No?.. — ozwały się głosy. — Nie goďtejcie, jeny mówcie!

— Pojechali za miasto, skryli sie w krzoku, bo mieli pietra przed szpionami, i wrócili z próżnemi rękami.

— Tak jest. Szandary sie boją szpionów i bez to tak kręcą — potwierdził drugi mieszczanin.

— Ale sie nie wykręcą! — ozwał się trzeci.

W mieście zawrzało, jak w ulu.

Na ustach wszystkich byli tylko szpiedzy. Rozsądniejsi obywatele ostrzegali przed niebezpieczeństwem i poczęli się domagać przedsięwzięcia jakichś środków obrony. Z niepokojem myśleli o nocy. Pod wieczór z rynku spłoszone zostały warczeniem bębna wszystkie kozy, a ich miejsce zajęli mieszkańcy miasta obojej płci i różnego wieku. Zebrało się zbiegowisko, a pucułowaty policjant miejski ogłosił, co następuje.

— Podaje sie do publicznej wiadomości, że naszemu miastu zagrozo niebezpieczeństwo. Wzywo sie obywateli do pilnowanio w nocy. Na rotuzie bydzie zawdy kartka, na kierej bydą zawieszoni szanowni obywatele miasta, co sie mają stawić na nocnych stróżów i od kierej godziny do kierej.

Takie ogłoszenie spotęgowało jeszcze niepokój. Musiało to być coś straszego, bo nawet żydówka Jekerowa przestała wykrzykiwać i pluć na

przechodniów. Mąż jej pobiegł natychmiast do ratu-
sza, aby się dowiedzieć, czy stróżowanie należy wy-
konać osobiście, czy też można wysłać zastępcę.
Na szczęście otrzymał wyjaśnienia pomyślne dla
niego. Drażniło go tylko, że wojna się toczy jego
kosztem, bo będzie musiał zapłacić jakiemuś bieda-
kowi, co niepotrzebnie żyje na świecie, parę groszy
za zastąpienie go w stróżowaniu. Te darmozjady,
myślał, gotowe się zrobić hienami wojennymi i za-
żądać paskarskiego wynagrodzenia, które im przy-
chodzi bez kłopotu, podczas gdy on musi się dosyć
natrudzić nad ukrywaniem towarów, aby je po ja-
kimś czasie drożej sprzedać. Zamknął w tym dniu
wcześniej sklep i przez to powstały też pewne szkody.
Wogóle był to feralny dzień dla Jekera, bo w tym
dniu pojawiło się także zarządzenie władz, zabra-
niające samowolnego podwyższania cen. Gdy Jeker
myślał o stracie tego, co mógłby zarobić, ogarniała
go rozpacz i uważał się za najtragiczniejszą ofiarę
wojny. Należało rozmyślać nad tem, jakby nie po-
zwolić się oszukać władzom w wyzyskaniu konjunk-
tury wojennej, a tu klina w głowę zabili mu szpiedzy.

W nocy według ułożonego planu co dwie go-
dziny zmieniała się straż obywatelska. Gdy już
w mieście zapanował zupełny spokój, dwaj stróžu-
jący mieszczanie, przechodząc koło kościoła, posły-
szeli czyjeś kroki i, jakby na komendę, poczęli ucie-
kać. Nie mówili do siebie i nie oglądali się wcale,
tylko biegli, by konie na wyścigach. Dwaj żandar-
mi, bo to ich było słyhać kroki, zauważywszy
uciekających, poczęli ich ścigać, w przekonaniu, że

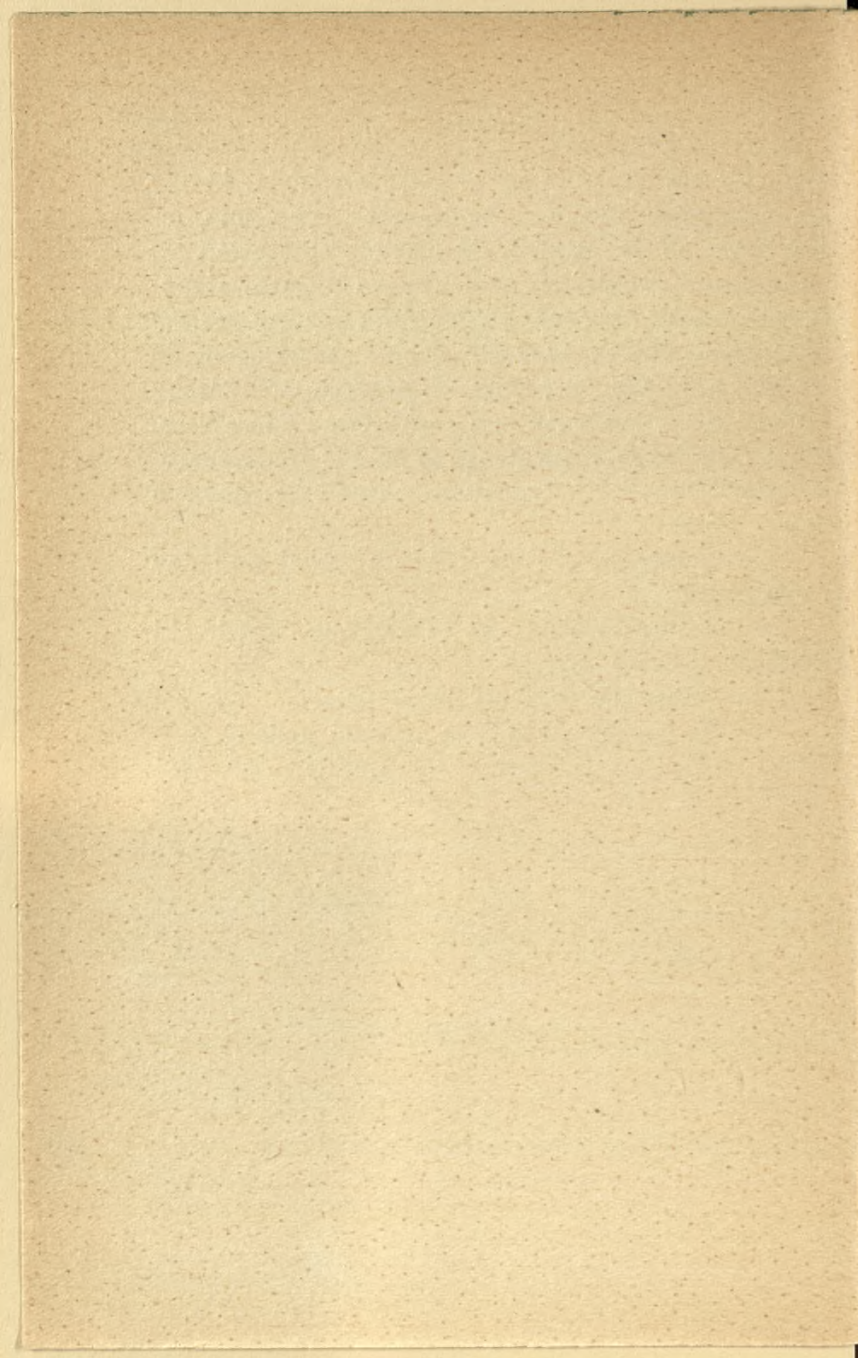
jeżeli nie szpiedzy, to są to jacyś złodzieje, którzy nie lubią nigdy bliskości żandarmów. Wytężony pościg trwał aż do ratusza, do którego skierowali się domniemani złoczyńcy, a w którym dyżurował policjant miejski. Zbudzony zeskoczył z bijącym sercem z pryczy i zdążył wpuścić straż obywatelską do środka przed samym nosem ścigających. W blasku jedynej lampy naftowej nad wejściem do ratusza, którą wyjątkowo i specjalnie na tę noc wyczyszczono, napełniono naftą i zapalono, poznali się wreszcie jedni i drudzy.

— Czemuście nos gonili? — odezwał się jeden z mieszczan.

— Bo my myśleli, że to szpijony — odrzekł żandarm, a drugi spytał.

— Czemuście uciekali przed nami?

— Bo my też myśleli, że wyście szpijony.



NA GRANICY.

Przewoźnik nie chodził w młodym wieku do szkoły, a jednak własną pilnością oraz niezmiernem zamięłowaniem do czytania zdobył dużo wiadomości i wiedzę przerósł otoczenie. Najulubieńszą jego lekturą były książki historyczne, z których czerpał nie tylko wiadomości, ale także naukę życia. Znał też dzieje Polski znakomicie i niejednokrotnie zapędział w kozi róg tych wykształconych, którzy umieli krytykować Polskę, nie znając należycie jej historycznego rozwoju.

Dzięki wrodzonym zdolnościom został Przewoźnik praktykantem u gajowego. Nie zagrzał tu jednak długo miejsca, a i później w życiu z niejednego pieca chleb jadał, aż wreszcie, wybudowawszy sobie dom, osiadł w nim nastąpił i prowadził przedsiębiorstwo robót ziemnych przy regulacji Wisły. Powodziło mu się nieźle.

Przewoźnik wstąpił się w okolicy jako nieustępliwy wróg niemczyzny, a przede wszystkim prusactwa. Prenumerował „Katolika” z Bytomia i interesował się bardzo losem rodaków na Śląsku Górnym. Łagodził też na każdym kroku rozdmuchwaną sztucznie przez władze pruskie nienawiść

między prusokami i cysarokami. Uświadomienie ludu i wewnętrzne jego poczucie przynależności do jednego narodu — było jednak silniejsze od granic państwowych i bałamuctw pruskich. Specjalną niechęć czuł Przewoźnik do Bismarka i do Wilhelma II, którego pospolicie nazywano Wilusiem, jak każdego we wsi, który miał to imię.

W niedzielę po rannem nabożeństwie przychodził zwykle Przewoźnik do gospody Przybyły, gdzie wstępowali także inni gospodarze, a również obywatele z sąsiedniej wsi Górnego Śląska, wiślanie, którzy z powodu odległości swego kościoła parafjalnego w Brzeszczach przychodzili na nabożeństwa do Zarzecza. Dzisiaj był także łączanin, Warzecha, co wszędzie chciał uchodzić za prowadzycy robotniczego i był używany przez Niemców do podrzędniejszych funkcij germanizatorskich.

Przewoźnik, jak zwykle, wodził rej przy długim stole pod ścianą, na którym często zjawiały się nowe sztwiertki i achtliki.

— Wiyecie co, prusocy, wy tam macie moc roz-tomańtych dobrych wiecy, ale takij gorzołki, jak my, ni macie — ozwał się.

— Ja, macie prawie — odrzekł Warzecha z Łąki — jeny tego jednego ni mamy, bo ze wszystkin inszem wy sie musicie skryć.

— No toć, ni mamy ani Bismarka ani Wilusia.

— Jo nie dom na nich nic godać, bo mi też je Wilhelm na miano. Dobrze, że ich mamy, bo w kraju jest porządek, są my bardzi kulturni, a wyście są taki Kuba, na bobu.

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się Przewoźnik — a w czym to widzicie tę kulturę?

— We wszystkim. Umiemy po niemiecku i możemy wos sprzedać we Pszczynie na jarmaku za dwa feniki.

— A jak wy myślicie, czy więcy warto czyste zielazo czy zardzewiałe?

— ??

— Bo waszo niemczyzna, to jest ta rdza na zielazie, na waszych duszach.

— A jobych jednak pedzioł, — wtrącił się do rozmowy zarzeczanin Szczypka — że dobrze jest umieć po niemiecku. Jo posyłam swojoka do szkoły do Wisły, bo u nas uczą się niemieckiego jeny piąte bez dziesiąte, a z niemiecką rzeczą se wszędzy człowiek do rady.

— Aaa, widzicie! — zatriumfował Warzecha — to je mądry człowiek! Ten zno świat i ludzi.

— Co tam długo godać — ozwał się jeden wiślanin — nie bydemy sie spiyrać; u nas i u was musi być inaczy, bo mychmy są prajzoki a wyście cysaroki.

— Dzisz go — wyśmiał się Przewoźnik — chcioł wystrzelić, a zapomnioł nabić. Pleciecie, a nie dzierży sie wom to kupy. Dyć nima między nami różnicy.

— O, jest — wtrącił Warzecha -- wyście sam, my tam, a dzieli nos rzyka Wisła.

— Włóśnie, że Wisła nos łączy — stwierdził Przewoźnik — bo to jest polsko rzyka i na jednym i na drugim brzegu mieszkają tacy sami ludzie. Je-

stechmy jedno. Przeca godocie tak samo, jak my, po polsku, a że tam kiery powonioł trochę niemczyzny, to jeszcze mało, bo jego matka, a już gor babka, rzykała se jeny piyknie po polsku. Dzisiok jaki taki snoplok szwandrze po nimiecku i zdo sie mu, że je pon.

Przemówienie to zrobiło silne wrażenie na obecnych i chociaż byli tacy, którzy chcieli oponować, nie odważyli się jednak uczynić tego głośno.

W tej chwili wszedł do gospody pruski strażnik graniczny, jako że gospoda była tuż nad granicą.

— Grüss Gott — burknął pod nosem, wchodząc, i zajął butnie miejsce za osobnym stołem.

— Gryż go — odpowiedział Przewoźnik ironicznie, poczem dodał poważnie — Dzieńdobry, panie zielonka. U nos sie mówi po polsku; pon pewnie nie umiy po polsku.

— Ja umiecz po polski — stwierdził zielonka i zadokumentował to odrazu — Dzendopry. — Ale nie mowicz polski, jeny schlesisch.

Przewoźnik skoczył, jak ukłuty szpilką. Chciał odrazu dokuczyć strażnikowi i spytał:

— Panie zielonka, jak sie miywo wasz Wiluś?

— Jaki Wilusz?

— No, wasz cysorz.

Oburzony strażnik zapytał.

— Na co wam to pytacz?

— Bo mu dobrze życzę.

Strażnik przygryzł warg i zamilkł, bo czuł się tu nieswojo, a bał się wszczynać awanturę. Aby zaś to milczenie nie wydało się sztucznem, zanurzył głowę

w bombie piwa, następnie startł pianę z wąsów a la Wilhelm II i wpatrzył się w jakieś pismo, wyjęte z kieszeni. Ponieważ ustały tymczasem docinki pod jego adresem, zamówił sobie drugie piwo. Ale Przewoźnik nie dał za wygraną i zaczął głośno opowiadać chłopom.

— Bo musicie wiedzieć, że ten Bismark, to strasznie żarłoczny zwiryz. Nima takij drugij bestyje na świecie. Miskę maślonki wychliptoł naroz, a do tego zjod kasek koniny. Surowe mięso żar, aż mu sie uszy trzęsły, a potem sie jeszcze napił siwotki.

Zielonka siedział początkowo, jak na rozpalonych węglach, a potem wstał i zabierał się do odejścia. Przedtem jeszcze zwrócił się do Przewoźnika.

— Jak wy nazywacz?

— Jak jo sie nazywom?

— No?

— Tak, jak napisane w metryce.

— Aha, dobrze — mruknął zielonka i wyszedł.

Po jakimś czasie zjawił się u Przewoźnika żandarm austriacki.

— Przewoźniku, obraziliście Bismarka.

— Co? Jo Bismarka? Ale, panie wachmajsterku, to jest jakosik myłka, bo po piyrsze, jo mom rod Bismarka, a po drugie, jego ni można obrazić, bo nimo rozumu.

— Jakto?

— No tak. Mo wielgi łeb, ale mało mózgu w nim.

Żandarm ze zdumienia wybałuszył oczy i, jakby nie dowierzając temu, co słyszy, spytał.

— A wy wiecie, kto to Bismark?

— Pewnie. Mo czorno w pysku i jest zły, jak lucyfer.

— Przewo-o-źnik — syknął żandarm — to wy nie wiecie, co to Bismark?

— Zaśby też.

— No, kto?

— Pies.

— Jaki? Czyj? — trząśł się z oburzenia żandarm.

— A mój, ten na łańcuchu.

— Nazy-y-wa się Bismark?

— Toć. Cóż to takiego?

— A kto mu dał takie miano?

— Na, dyć nie pon cysorz, jeny jo.

— Aaa! — zawył żandarm i chwycił się oburącz za głowę. — Pójdziecie do kryminału!

— Kryminoł je dło ludzi, nie dło zwierzów! — odparł Przewoźnik z udaną cichą rezygnacją, — ale za co?

— Dlaczegoście go tak nazwali?

— Bo je zły, a do takich złych stworzeń sie godo: ty bismarku! Może sie pon popytać we wsi, to sie pon przekonono.

Żandarm spisał protokół i odszedł. Były potem wielkie narady władz różnych instancyj, ale Przewoźnik wbił im takiego ćwieka, że uznały za stosowne zawiesić tę całą sprawę na kołku i nawet zniszczyć wszelkie ślady protokołów, by nie wywoływać szerszego skandalu, natomiast posterunek żandarmerji w Strumieniu otrzymał polecenie szukania

dziury w całym, aby tylko sprawca pod jakimkolwiek pozorem poniósł dosadną karę. Po kilku dniach zandarm zawitał znowu do Przewoźnika.

— Dzieńdobry, piyknie witom, panie wachmajsterku. Cóż tam dobrego?

— Komunikuję wam urzędowo, że pod grozą surowej kary nie wolno wam odtąd wołać na waszego psa Bismark. Musicie natychmiast zmienić jego miano!

— A, dobrze. Mogę na niego wołać: lucyper; to na jedno wyńdzie.

— Wołajcie, jak chcecie, tylko nie Bismark, bo Bismark, to był sławny polityk niemiecki.

— Aaa, tak — otworzył Przewoźnik usta z udanem zdziwieniem — jo zaś nie jest taki sztudyrowany, żebych to wiedzioł.

— To był największy człowiek na świecie. On pobił Francuzów i powiedział im, że Niemcy się nie boją nikogo, jeny Boga... w roku 1871.

— Trochęście se to pokitlali, panie wachmajsterku, jak fazole z kapustą, i zrobiła sie wom w głowie bryja, bo to pedzioł w roku 1888 i odnosiło sie to do Rusów. A nie była to prowda, jak o to chodzi, bo Niemcy nie boli sie ani Pana Boga, a tym tuplem Bismark, kie w roku 1871 rozpoczął wolkę kultur-ną, a w roku 1886 ustanowił konwisyją kolonizacyj-ną, a w roku 1887 zabronił we szkołach uczyć polskiego czytania i pisanio. Może mi powiycie, panie wachmajsterku, jak to ten Bismark kludził wojnę z naszą Austryją w roku 1866. To mi tak wypodo, jakbyście go za to tak chwolili.

Żandarm udał, że nie słyszy, ale przygryzł warg i nie wdawał się już w dalszą dyskusję, tylko zabierał się do odejścia ze słowami.

— Skończyłem urzędową rozmowę.

— Dowidzenia, panie wachmajsterku, dej Boże zdrowi i szczęści! — zawołał uprzejmie Przewoźnik za odchodzącym. — A kiedy to pójde do tego kryminołu?

Nie otrzymał odpowiedzi.

Odtąd jednak stosował się do polecenia władz policyjnych i tak wołał na psa: nie Bismark, tylko lucyfer. Również przy każdej sposobności opowiadał chłopom, że jego pies już nie jest na starość taki zły i dlatego się już nie nazywa Bismark, tylko lucyfer. Pies jednak nie respektował władz, a może był dumny ze swego dawnego imienia, bo reagował tylko na to zawołanie.

Pewnego razu późnym wieczorem, a ciemno było zupełnie, począł pies gwałtownie ujadać. Zdziwiło to jego właściciela i postanowił wyjść z latarnią na podwórze. Nagle rozległy się dwa strzały, a po nich urwał się szczekot psa, który teraz począł żałośnie skowyczeć, a po chwili umilkł. Przewoźnik przyskoczył do niego, a biedne zwierzę, zobaczywszy go, wyciągnęło pysk ku niemu i wykrztusiło parę bełkotów. Była to prośba o pomoc i skarga na złoczyńców, niestety nieuchwytnych.

— Bismark! — zawołał Przewoźnik rozczulony, ten jedyny raz w życiu wymawiając to brzmienie z głębi serca.

Niestety psina drgnęła już tylko parokrotnie, a potem głowa jej opadła do kałuży krwi i życie w niej zamarło.

Przewoźnik wiedział, że był to mord polityczny i że nawet biedny pies złożył swe życie w ofierze dla krwiożerczego molocha germańskiego. Zemsta jego musiała się jednak ograniczyć do przekleństw, które wyrzucił z siebie podniesionym głosem, aby doszły uchodzących sprawców.

Wypadek ten spowodował, że Przewoźnik jeszcze bardziej zawiązał się na przedstawicieli władz i dokuczał im, jak mógł. W kilka dni później udał się do Pszczyzny na kupią.

Wybrał taki dzień, w którym cesarz Wilhelm miał przyjechać na polowanie do księcia pszczyńskiego. Załatwiwszy sprawunki, wstąpił w rynku do gospody, w której dziś — jako w sobotę po południu — wrzało jak w garnku. Przy podłużnych stołach siedzieli na ławach chłopi o żylastych rękach, rozprawiając o tem i o owem, uderzaniem ciężką pięścią w stół uzasadniając od czasu do czasu swoje poglądy. Co chwilę powtarzał ten i ów, że trzeba iść do chałupy, gdyż dzieci wyglądają i nie położą się wcześniej spać, ale siedział dalej, bo sam nie pójdzie, a gromadzie wybrać się w drogę niełatwo. Siedzieli tam pospołu Górnoślązacy i Cieszyniacy, którzy razem pracowali w kopalniach i fabrykach, a teraz przyjechali pociągiem od strony Katowic, by stąd już piechotą rozejść się w różnych kierunkach z wyplatą do swych rodzin. Pracowali ciężko i dobrze zarabiali, więc mogli sobie pozwolić na kwaterkę

wódki. Chociaż byli zajęci rozmową, zauważyli wszyscy wejście Przewoźnika.

Przyjęli go życzliwie, bo go wszyscy znali i wiedzieli, że ma pieniądze i złote serce. Przeważnie witali go przeważnie, które sam sobie nadał i które mile schlebiało jego dumie.

— Witejcie, szlachcicu polski!

— Jo wos też witom, gnidy wieczne! — odpowiadał z uprzejmym uśmiechem.

Nikt się nie zżymał, gdyż chłopci byli przyzwyczajeni do tych określeń, a nawet przyjmowali je mile, bo oznaczały dobry humor Przewoźnika i widoki na poczęstną.

— Każ wos tu świńsko noga przyniosła? — zapytał znany już Warzecha z Łąki.

— To je prawda, że do Prus jeny świńsko noga przynosi — żartował Przewoźnik — ale jak pruski król tu przyjyżdżo, to szlachcic polski też może.

— Ej, zaś poletykujecie! — ozwał się ktoś, a inny ostrzegał.

— Żebyście jeny od tej poletyki nie spuchli!

— Eeh — machnął ręką — poletyki sie muszą boć wielcy ludzie i psy, ale prości ludzie niy. Napijemy sie, chłopci?

Nie odezwał się żaden głos sprzeciwu.

— Tóż, gospodzki, dejcie tu na każdy stół po trzy sztwiertki!

Szynkarz zrobił to w mig, w obawie, aby się zamawiający nie rozmyślił, chłopci spoglądali z podziwem na siebie, a nałogowski pijacy mlaskali językiem lub spluwali i wycierali szeroką dłońią gębą.

Po kilku kolejkach wszyscy rozochocili się i przytakiwali słowom Przewoźnika, który opowiadał o swym ulubionym temacie, o historii Polski. Siedzący obok niego Warzecha zniecierpliwił się i odezwał się.

— Zawdy jeny godocie o tej Polsce, a kaj ją mocie?

Przewoźnik uderzył się pięścią w pierś i zawołał.

— Tu! I tu! — powtórzył dobitnie i buchnął pięścią w pierś sąsiada — tu, a nie wiysz o tem i usnachtujesz Niemcom, gnido wieczno, gździe zatracony!

Warzecha zachwiał się, a potem rzucił się na Przewoźnika ze słowami.

— Na, ty pieronie, ty mie sam bydziesz kuniyrowo!

— Nie rozumiesz szpasu! — wtrącił się ktoś, a następnie inni przytrzymali go na miejscu.

Ostatecznie Warzecha, któremu mocno kurzyło się z czupryny, uwierzył, że to był żart i sprawa została załagodzona i zapita. Chłopi chcieli już iść, ale Przewoźnik zatrzymywał ich.

— To Wiluś przyjyżdzo do takij Pszczyny, a wom sie Pszczyna nie podobo. Podziwejcie sie hań na tego wojoka na rynku — wskazał ręką na pomnik — ten też jeszcze nie idzie.

— Co to jest za gibas? — zapytał ktoś.

— To jest snoci jakiś wojok — wyjaśniał inny — kiery pochodził od Pszczyny i we wojnie francusko-niemieckij wyrwoł Francuzom chorągwię. Dyć trzymo chorągwię w ręce.

— Jo wom powiem, jak to było — odezwał się Przewoźnik. — To jest pomnik Bartka Zwycięzcy.

— Co to za jeden? — ozwały się głosy.

— To był wojok pruski, ale Polok z Poznańskiego. Piyknie to o nim wszystko opisał Sienkiewicz. A że to był Polok, mocie najlepszy dowód, iż na pomniku nima jego miana. Jakby to był Niemiec, toby go byli roztrąbili na pięć stron świata.

Przewoźnik podsuwał najczęściej kieliszki na zgodę Warzesze, który też w krótkim czasie udobruchwał się, jako że nie lubił wylewać za ucho. Potem cała gromada wygarnęła się z szynku i jakoś automatycznie podeszła pod pomnik, który był znieawidzony przez bardziej uświadomionych rodaków, jako symbol buty w rozprusaczonej sztucznie Pszczynie. Tu Przewoźnik wmówił w niebardzo orjentującego się w sytuacji Warzechę, że jako urodzony mowca powinien wyjaśnić kolegom jeszcze raz o Bartku Zwycięzcy. Warzecha lubił istotnie przemawiać i zgodził się na to, a mówił to, co mu podszeptował Przewoźnik. Ale już po kilku zdaniach zjawiał się policjant miejski i wezwał ich do rozejścia się.

— Do chałupy, pijoki!

— Cóż tak na nos otwiyrocie gębę, jak trówłę?
— oburzył się Przewoźnik. — My słuchomy o tym pomniku.

Policjant zauważył teraz mowcę, którego znał doskonale z niejednego szynku i łagodnie począł tłumaczyć.

— Jo wiem, że Warzecha godo prowda, ale ciąćcie ku chałupie, bo dzisio je w Pszczynie majestat, nojjaśnijijszy cysorz i król, i nie wolno robić krawalu.

Wobec tego chłopci zabrali się w drogę. Niebawem cała okolica opowiadała sobie o Bartku Zwycięzcy, a nowela Sienkiewicza stała się na pewien czas ulubioną lekturą. Władze musiały aż wyjaśnić faktyczny stan rzeczy, ale fama była silniejsza od urzędowych sprostowań.

Na drugi dzień w gospodzie Przybyły prowadził Przewoźnik rozmowę na temat ostatnich wydarzeń politycznych.

— Wiycie, jaki jest ostatni wypadek w polityce? Wczora był Wiluś we Pszczynie.

— To nima nic takigo — odparł jeden z wiślan — on tam części bywo.

— Ale co sie wczora stało!

— No, co?

— Przydarzyło mu sie nieszczęści.

— Co takigo? — pytali chłopci z zaciekawieniem.

— Naszemu królowi? — zapytał ze zmartwieniem Szymczyk z Wisły.

— To sie tam każdemu może przytrefić — zagadywał Przewoźnik.

— Ale co-o-o? — nalegali.

— Ożroł sie niemoreśnik, jak dziod na kiermaszu.

Chłopci pootwierali gęby i pytali z niedowierzaniem.

— Ten pruski Wiluś?

— Toć, że pruski.

— Nale, nale — kiwali głowami chłopi, a ten i ów buchnął śmiechem. Po chwili jednak spoważniali i radzili Przewoźnikowi, aby nie dowcipkował głośno, bo może to odpokutować.

— Nie boję się, bo to prawda, a za prawdę nie korzą.

I rzeczywiście opowiadał o tem, gdzie tylko mógł. Niedługo też doszło to do uszu władz i pewnego dnia otrzymał wezwanie do sędziego śledczego przy sądzie okręgowym w Cieszynie. Gdy stanął przed obliczem sędziego, zastał tam również komendanta żandarmerji w Strumieniu, który przybył na wypadek, gdyby miał udzielić pewnych wyjaśnień. Po stwierdzeniu identyczności i personaljów sędziego streścił mu doniesienie żandarmerji. Przewoźnik potwierdził wszystkie stawiane mu zarzuty.

— Człowieku! — rzekł sędzia — czy to mówicie przytomnie?

— Tak, bo to wszystko jest prawda. Mogę podać świadków.

Sędzia i asystujący mu wachmistrz zdębieli.

— Kogo?

Przewoźnik wymienił kilka osób ze Śląska Górnego i Cieszyńskiego, poczem zaczął przedstawiać sprawę od początku.

— Popili my razem a potem my szli razem...

— Z kim — przerwał oszołomiony sędzia.

— Z Wilusiem...

— Z którym?

— No, z tym, coch go doł o nim, z Warzechą Wilusiem.

— Z Warze-e-e-chę? Z jakim?

Przewoźnik opowiedział dokładnie, co i jak było. Zkolei spytał go sędzia, jak to było z pomnikiem i z Bartkiem Zwycięzcą.

— To prawil Warzecha a policjant pszczyński potwierdził, że tak jest.

Po przesłuchaniu został Przewoźnik narazie zwolniony. Odbyły się potem długie dochodzenia w Pszczyńcu, do których powołano Warzechę i licznych świadków. Doraznym skutkiem tych wszystkich rzeczy było przeniesienie wachmistrza ze Strumienia do Chybia. Nie zrobiono mu wprawdzie krzywdy, a jednak tam musiało być jakieś ale, z którego cieszył się Przewoźnik.

Wszystko to działo się niedługo przed wybuchem wojny światowej. Gdy poczęły się organizować legjony polskie, syn Przewoźnika, Augustyn, podówczas student, zaciągnął się do grupy w Dziedzicach. Ten syn legjonista jeszcze bardziej rozentuzjazmował ojca, który teraz stał się mocno politycznie podejrzany w oczach c. k. żandarmów i niebezpiecznym dla całości Prus. Pruska żandarmerja i straż graniczna otrzymała nawet jego rysopis i nakaz przytrzymania go, gdyby się znalazł na terytorjum pruskim. Dowiedział się jednak o tem i wszelkie próby podstępnego przeciągnięcia go przez granicę

spełżyły na niczem. Odtąd żył niemal wyłącznie wiadomościami wojennymi, a zwłaszcza listami od syna. W gronie chłopów mawiał obecnie zwykłe.

— Widzicie, teraz już będzie Polska, bo już mamy wojsko polskie i wodza, — a przy tych słowach wyjmował noszoną pieczętówicę na piersiach podobiznę Komendanta wśród grupy legionistów, pomiędzy którymi był także jego syn. — Oby im Bóg doł, żeby wrócili szczęśliwie i już nie do Austryje, ale do Polski! Chłopi, to będzie radość nad radościami, jak będziemy w Polsce! — powtarzał nieraz z rozczuleniem.

A to uczucie udzielało się innym, bo wszyscy, którzy stykali się z Przewoźnikiem, podlegali jego wpływom i uświadomienie narodowe wnikało w ich serca, jak złote promyki słońca do ich chłopskich izb... i czyniło tam cuda.

Ale Austriacy poczęli wyszukiwać wrogów wewnętrznych, a do nich zaliczyli także i Przewoźnika. Podczas wojny wystarczyło rzucić na kogoś podejrzenie nielojalności, a czekał go sąd doraźny, to też różne indywidua zastawiały i na niego sieci. Przewoźnik, chociaż dużo działał i nawet dużo gadał, czynił to ostrożnie i zawsze umiał znaleźć furtkę wyjścia. Szykanowano go jednak na każdym kroku.

Pewnego dnia w roku 1917 był Przewoźnik w Strumieniu. Niestety chciało, że odbywał się tam właśnie wiec patriotów austriackich. Przewoźnik z ciekawości przystanął i słuchał, a robił wrażenie,

jakby się interesował wywodami mowców. Na zakończenie wiecu rozległy się gromkie okrzyki na cześć monarchy i monarchji, w których uczestniczyli wszyscy, jedni dobrowolnie i ochotnie, inni pod przymusem. Do tych należał także Przewoźnik, który miał nawet zatarg z tego powodu z jakimś hurrapatriotnikiem strumieńskim. Bezpośrednio po wiecu został aresztowany przez żandarma i oskarżony za wznoszenie okrzyków antypaństwowych. Zarzucano mu, że gdy wszyscy wołali „niech żyje Austria!” — on wołał „niech zgnije!” Zarzuty te opierały się na świadectwie owego mieszczucha oraz żandarma, który go aresztował, a który podniósł także zniewagę swojej osoby podczas pełnienia służby. Tłumaczenie uwięzionego, że była to samoobrona i reakcja na kopnięcie go, nie została uwzględniona wobec raportu służbowego, że przy stawianiu oporu Przewoźnik uderzył się przypadkiem o but żandarma. Jeszcze tego samego dnia wywieziono go i osadzono w więzieniu w Morawskiej Ostrawie.

Tam osiwił doreszty. Mimo kilku rozpraw nie zdołano udowodnić mu winy, ale trzymano go jako politycznie podejrzanego i niebezpiecznego dla całości państwa. Ponieważ opinja władz o jego lojalności była jak najgorsza, miał mieć pobyt w więzieniu odpowiednio uprzyjemniony. Wyprowadzano go, jak również innych więźniów, do każdej egzekucji na podwórze więzienne. Strażnicy więzienni zapowiadali przytem, iż ma się oswoić z tym widokiem i nabrać wprawy do osobistego zawiśnięcia na szubienicy, a zdarzało się, że wyprowadzali więźnia

rzekomo już na szubienicę. Nic też dziwnego, że życie w takich warunkach wywołało siwiznę w przeciągu krótkiego czasu.

Ale więzień się nie ugiął i nie przestraszył, aż dożył szczęśliwie jesieni 1918 roku i po upadku Austrii odzyskał wolność. Wrócił do rodzinnej wioski, zahartowany w cierpieniach patriotycznych, na początki Polski i na walkę plebiscytową. Odrazu też rzucił się w wir pracy państwowo-twórczej, a słowem i czynem zbliżył niejednego obywatela do polskości. Nie ograniczył się przytem do terytorjum swojej wsi, ale działał poza nią, a głównie na Śląsku Górnym. Jak tylko mógł przekroczyć jego granicę, dążył do Pszczyny, a serce jego radowało się budzącym się duchem polskim w tem gnieździe hakaty. Na rynku spotkał Warzechę, który, zoczywszy go, podbiegł i rzucił mu się na szyję ze słowami.

— Przewoźniku kochany, niech wom Bóg do zdrowie i wszystko dobre! Wyście mi otworzyli oczy, bo od tego czasu, jakeście mie gichnęli w pierś, poczułem, żech jest Polok.

— Wyboczycie mi to?

— Szkoda, żeście mie bardzi nie naprali!

— Na co, kiedy to starczyło? Cóż teraz porobiecie?

— Pracuja w komitecie plebiscytowym. Dotychczas Polska była sam ukryto w sercach, a terazki bydzie i u nos tak samo, jak we Warszawie. Germanom już sam jest ciepło.

— Wilusia nie żol wom? — zażartował Przewoźnik.

— Do czasu zbon woda nosi — odrzekł Warzecha — terazki sie ucho urwało.

— A wiycie, dzięka komu Śląsko bydzie przy Polsce?

Warzecha podał szereg słusznych zdań, ale Przewoźnik nie zadowolilił się tem i oświadczył.

— To jest wszystko prawda, ale nejbardzi dzięka Bismarkowi i Wilusiowi.

Warzecha najpierw zdziwił się niezmiernie, a potem rzekł z uśmiechem.

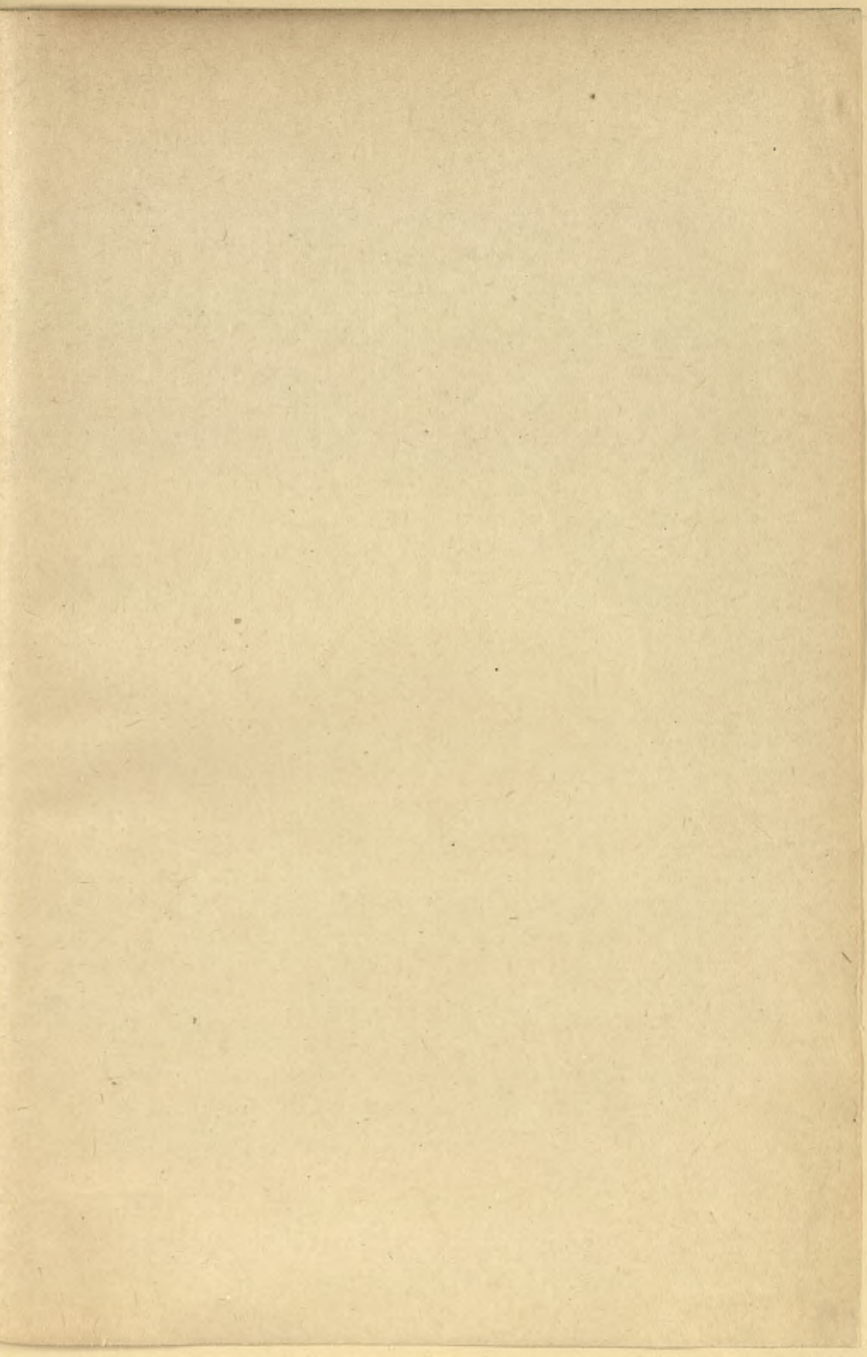
— Vos jeszcze figle nie opuściły.

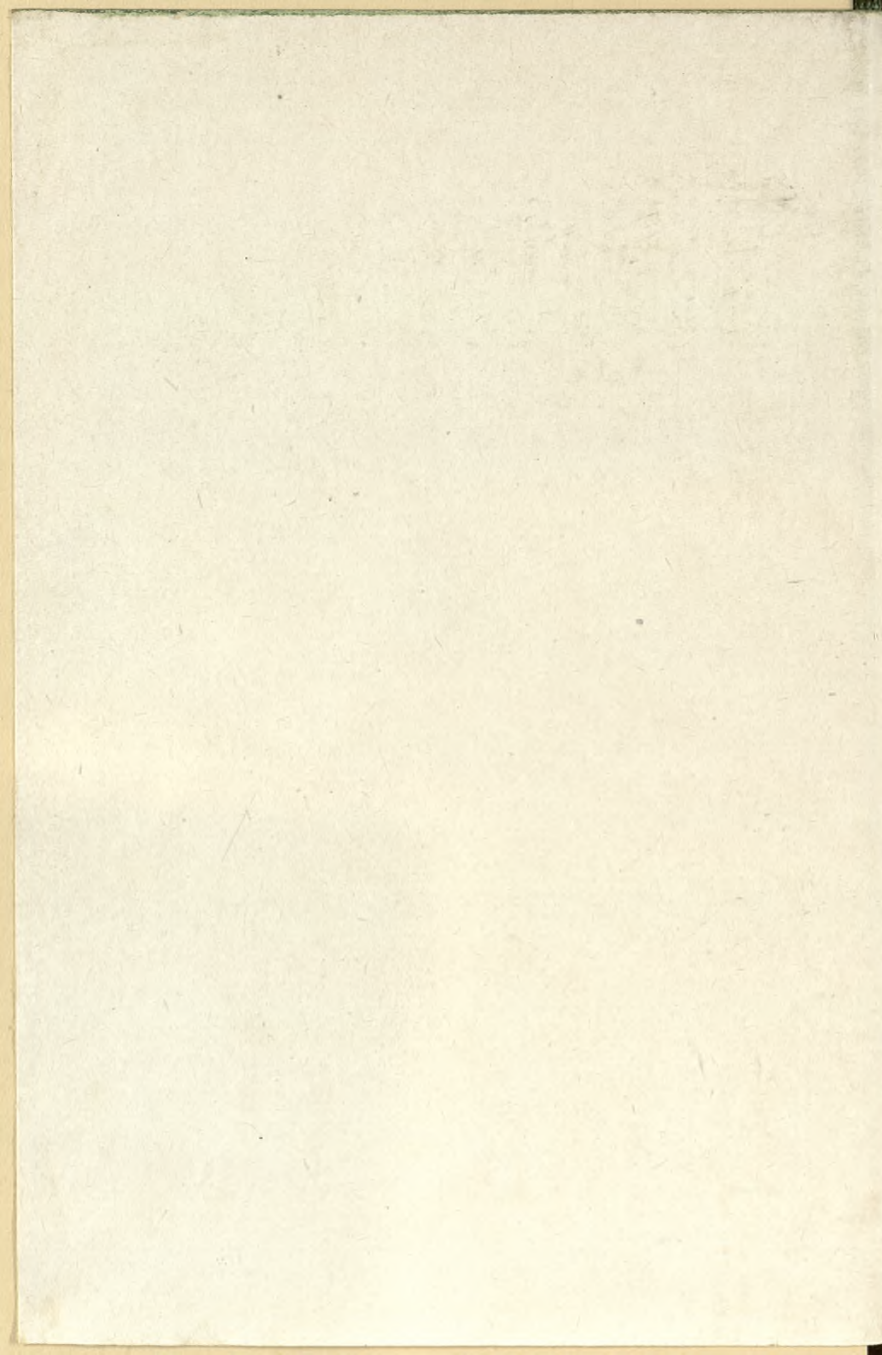
— Doprowdy. Kieby nie poletyka Bismarka i Wilusia, toby Ślązocy mogli zapomnieć o Polsce. Gupy Prusocy gasili ogień oliwą.

Ogień ten rozgorzał ostatecznie trzykrotnym płomieniem w powstaniach śląskich. Przewoźnik dożył jeszcze tej radości, że syn jego z bliznami legjonowemi poszedł do walki ze znenawidzonym Prusakiem, a obok niego Warzecha. Przewoźnik widział w tem oprócz idei wyższej, ogólnonarodowej, także spełnienie swych marzeń regionalnych, aby cysarocy i prusocy działali ręka w rękę i by zrozumieli, że niema między nimi różnicy, że wyszli z jednego pnia i dążą do jednego celu.

Przewoźnik cieszył się z przynależności Śląska Cieszyńskiego do Polski, ale podwójnie cieszył się

i płakał z radości, gdy patrzył na wkraczające wojsko polskie do Pszczyny. Ilekroć przychodził odtąd do tego miasta, przystawał — jak przedtem — przed pomnikiem na rynku, gdzie na miejscu dawnego butnego żołnierza pruskiego patroluje miastu i całej Polsce... pierwszy żołnierz i wódz legjonowy.





Zakład Inżynierski
Józef Witoszek
Racibórz, ul. Chopina 19
Telefon 32-68

Biblioteka Śląska *Komp*

C 003454

I

U4